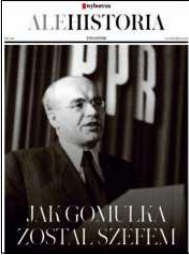


WOLNA
SOBOTA

TV Republika
czy Kanał Zero?
Gdzie pójdą
sieroty po TVPiS



ALE
HISTORIA
Jak Gomułka
został szefem
Nowa analiza
starych dokumentów



WYSOKIE
OBCASY
Po co
dyplom
romskiej
dziewczynie



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

FOT. UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS SERVICE / AFP/EAST NEWS

Chwała Ukrainie

Wojna trwa już dwa lata

Co czeka Ukraińców, ich przyjaciół i Rosjan, zastanawiają się

- Lesya Vakulyuk • Wiktoria Bielaszyn • Paweł Kowal • Dmitrij Muratow
- Michał Olszewski • Ziemowit Szczerek

Wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

9 770860 908167



• Czerwiec 2022, w podkijowskim Irpieniu po ostrzale
FOT. SERGEI CHUZAVKOV / AFP

Czy otworzylibyście serca po raz drugi

Nadal jesteśmy rodziną?

24 lutego 2022 r. telefon zadzwonił po czwartej nad ranem. Właściwie nie musiałem odbierać, by wiedzieć, że się zaczęło. Że Putin najechał na Ukrainę. Na Twitterze zobaczyłem, jak potok rosyjskich czołgów wlewa się przez przejście na granicy z Białorusią, jak w Kijowie wybuchają rakiety, jak arterie ukraińskiej stolicy zatkał potok tysięcy ludzi uciekających przed tym, co wydawało się nieuniknione. Nad Kijowem rosyjska flaga miała zawisnąć 72 godziny po rozpoczęciu walk – twierdził amerykański wywiad. Wywiad, który od pół roku bił na alarm, bo zdobył niezbita dowody, że Rosja szykuje się do wojny.

W listopadzie 2021 r. Amerykanie pokazali je premierowi Morawieckiemu. Mimo to PiS miesiąc później przyjmował w Warszawie klub przyjaciół Putina z finansowaną przez Kreml Marine Le Pen na czele, którą traktowano, jakby była prezydentką Francji.

Pamiętacie, jak dwa lata temu w lutym rzuciliśmy się do pomocy uciekinierom? Mówiło się, że ta mobilizacja w przyduszonej przez autorytarną władzę Polsce była jak w czasach pierwszej „Solidarności”. System pomocy Ukraińcom powstawał od dołu, błyskawicznie objął cały kraj. Każdy pomagał, jak tylko mógł, dzielił się żywnością, ubraniami, pieniędzmi, oferował schronienie, na tydzień, na miesiąc, na stałe. W obliczu tragedii Polacy i Ukraińcy stali się wielką rodziną. Wspólnie oplakiwaliśmy ofiary rosyjskich bombardowań i egzekucji w Buczy, Irpinu, Izumie. Wspólnie świętowaliśmy ukraińskie sukcesy w walce, zatopienie krążownika „Moskwa”, wyzwolenie Kupiańska i Chersonia. Pamiętacie?

Pytam, bo właśnie przejrzałem filmy z protestów rolników. Z zatrzymanego przez traktory autobusu gdzieś we wschodniej Polsce wysiadają Ukraińki. „Wypierdalać na Ukrainę” – słyszą od ludzi w odbłaskowych kamizelkach. A pod Gorzyczkami któryś z protestujących przyczepił do traktora flagę Związku Radzieckiego i transparent z hasłem „Putin, zrób porządek z Ukrainą i Brukselą, i naszymi rządzącymi”.

Ku zdumieniu świata Ukraina nie rozsypała się jak domek z kart. Kijów nie został nawet okrażony, po miesiącu Rosja musiała się spod ukraińskiej stolicy wycofać. Putin w ciągu dwóch lat Ukraińców nie pokonał, za to stracił kilkaset tysięcy żołnierzy, tysiące czołgów, dziesiątki samolotów i aż 27 okrętów. Ale co zostało z naszej polsko-ukraińskiej rodziny?

Może to i tak cud, że między nami układało się tak długo. A może to nie mogło się skończyć dobrze. Setki tysięcy uchodźców, nawet kulturowo bliskich, to wyzwanie dla każdego kraju. A w przypadku Polski nagonkę na Ukraińców podkreślały przez swoje przekazy nie tylko Rosja, ale też poprzedni polski rząd.

Czy gdyby w Ukrainie teraz odwróciła się karta, gdyby Rosja zbrojona przez Iran i Koreę Północną przewała linię frontu i rozbijając ukraińskie brygady jedna po drugiej, zaczęła tak jak w pierwszych dniach wojny zagarniać terytorium, gdyby do Polski napłynęła kolejna fala przerażonych ludzi, otworzylibyśmy serca po raz drugi?

Słyszę, że w Polsce jesteśmy znuzeni trwającą drugi rok wojną. Poważnie, znuzeni? Czym? Patrzeniem w monitor i czytaniem coraz rzadszych informacji o przebiegu walk?



Bartosz T. Wieliński

Jesteście już zmęczeni wojną w Ukrainie? Czym? Patrzeniem w monitor?

Jeśli ktokolwiek ma prawo być znudzony, to Ukraińcy. Jeśli narzekają, to na niewdzięczność Zachodu, który przestaje pomagać, bo politycy wykrzystują ich walkę w wewnętrznych politycznych sporach. Tu nie chodzi tylko o Trumpa, który przez swoich ludzi w Kongresie blokuje pomoc dla Ukrainy. W Niemczech od miesiąca politycy SPD wstrzymują wysłanie Ukraińcom pocisków manewrujących. Gorliwość, z jaką pomoc Ukrainie blokuje Węgry, potwierdza tezę, że premier Orbán jest agentem Rosji.

Słyszę też, że w Polsce jest coraz więcej obaw, że Rosja mogłaby zaatakować Polskę. Taką opcję za realną uważa prawie połowa społeczeństwa. W to, że Ukraina wygra i nie będzie musiała iść na ustępstwa, wierzy tylko 10 proc. badanych. Jak to połączyć z faktem, że antyukraińskość za sprawą protestu rolników jest na fali wznoszącej? Chaos na drogach przekłada się na chaos w głowach? Rosyjska propaganda patrzy i szaleje z radości. A ja zastanawiam się, czy człowiek, który przypiął sowiecką flagę do traktora i przywał Putina na pomoc, faktycznie chciałby żyć pod rosyjskim jarzmem, w kraju, gdzie za najmniejszy przejaw nieposłuszeństwa można skończyć w łagrze.

W drugą rocznicę napaści Rosji na wielki europejski kraj, naszego sąsiada, trzeba tym głośniejsze powtarzać, że Putin wypowiedział wojnę całemu cywilizowanemu światu. I choć jego armie utknęły w Zaporozu, ciągle ma dość sił, by wojnę eskalować. W innych zakątkach globu, w przestrzeni kosmicznej (czytaliście pewnie o nowej rosyjskiej broni do niszczenia satelitów), a także w krajach NATO, gdzie przecież rosyjskie operacje specjalne trwają od dawna.

Dlatego tym bardziej nie można odwracać od Ukrainy oczu, zostawiać obrońców samych. Dlatego protesty rolników muszą się skończyć, a ludźmi, którzy ciągle się w Polsce rosyjską propagandę, muszą się zająć służby specjalne.

W zasadzie sprawa sprowadza się do tego, że Ukraińcy giną w walce, by ginąć nie musieli polscy czy niemieccy żołnierze. Jeśli przegrają, Putin pójdzie dalej na Zachód, rosyjskie rakiety nie będą już spadać na Charków czy Kijów, ale na Kraków i Warszawę. Spod Królewca albo Brześcia dolecia góra w kilka minut. Z sondaży wynika, że zrozumieliśmy już to zagrożenie. Kiedy przestaniemy być znuzeni? ●

Kod dostępu do Wyborcza.pl

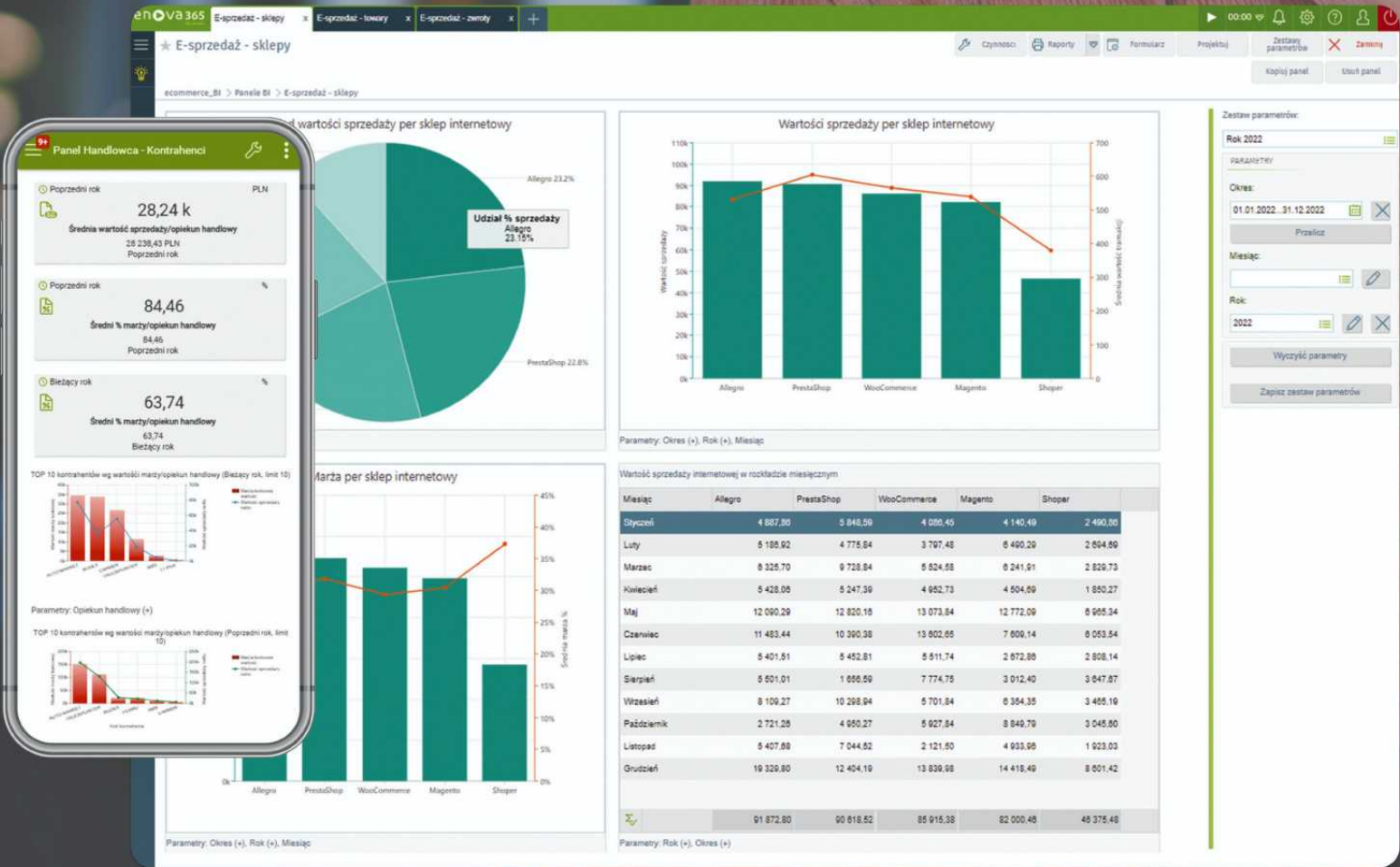


KLASA BIZNES

wśród systemów ERP



automatyzacja procesów biznesowych
cyfryzacja i obieg dokumentacji
samoobsługa pracownicza



Od pierwszych dni rosyjskiej inwazji fotoreporter „Wyborczej” Jakub Włodek dokumentuje życie Ukraińców – siłę woli, hart ducha, bohaterstwo, również momenty rozpacz i trudną do wyobrażenia skalę zniszczeń. Bardziej od pierwszej linii frontu interesuje go codzienność Ukrainy, która nie zamierza się poddać.

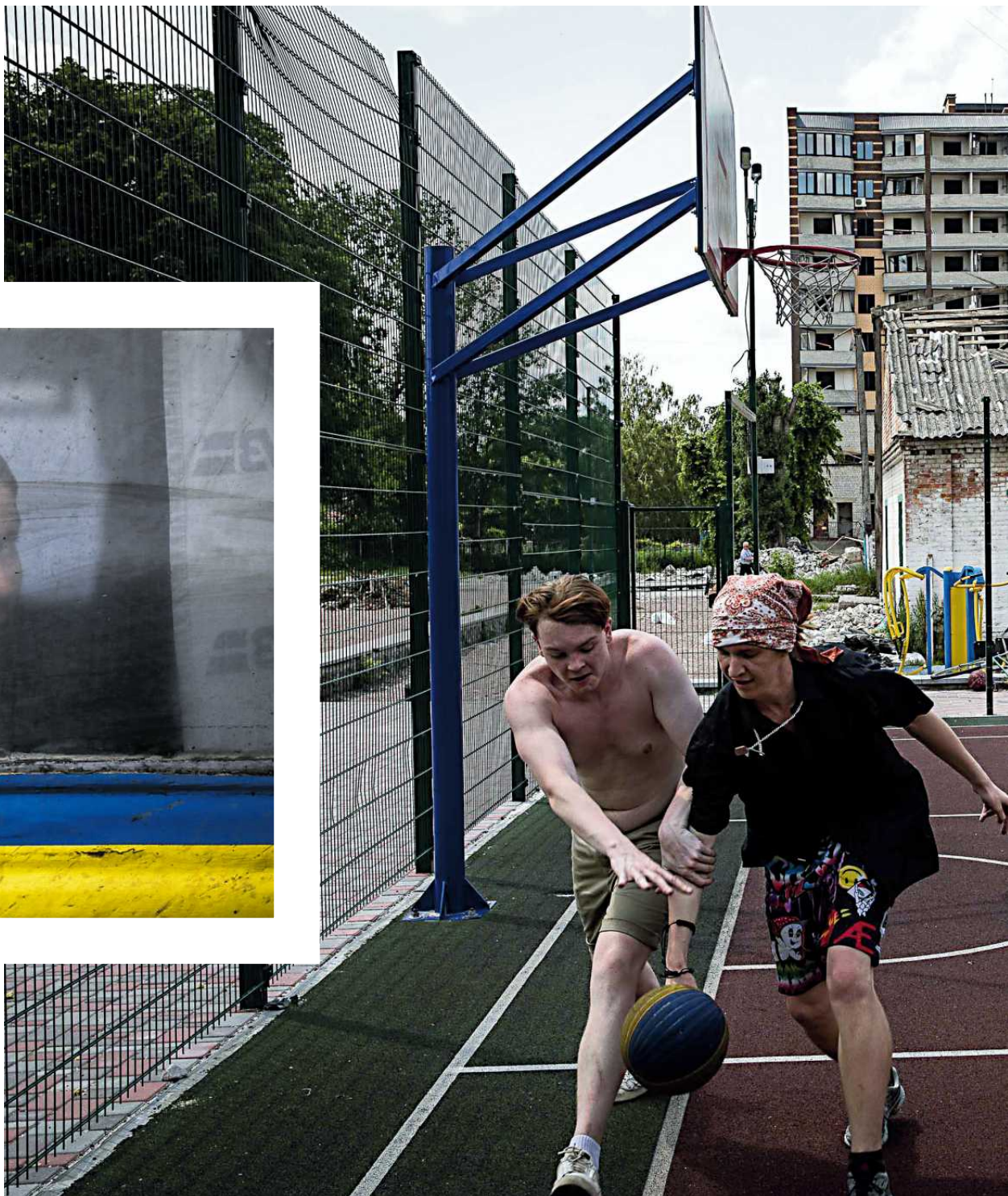
Zdjęcia: Jakub Włodek/agencja wyborcza.pl



▲ Dworzec we Lwowie, pierwsze dni wojny, luty 2022
To największy exodus ludności w Europie od czasów II wojny światowej. Przez perony i poczekalnie przechodzi ok. 50 tysięcy uchodźców w ciągu doby

► Żytomierz, lato 2022

Młodzież gra w koszykówkę w pobliżu szkoły zbombardowanej w pierwszych dniach wojny



▲ Słatyne, 20 grudnia 2023

Pani Irena, pielęgniarka z ośrodka zdrowia, w ruinach swojego domu zniszczonego przez pociski zapalające



► Schron w domu dziecka w Tarnopolu, grudzień 2022

Na początku wojny dzieci i personel przeprowadzili się do piwnic: – Pierwsze dni były straszne, mimo że sąsiedzi bardzo nam pomagali. Przychodziły całe rodziny pracowników, żeby nas wesprzeć w najtrudniejszym momencie, nie wiadomo było przecież, czy nie trzeba będzie zbierać się w kilka minut i uciekać – wspomina dyrektorka Inha Kubei. Tarnopol to jedno z miejsc, gdzie „Wyborcza” dostarcza pomoc humanitarną



▲ Centrum Lwowa, luty 2023

Handel przed kościołem garnizonowym, gdzie odbywają się ceremonie pogrzebowe lwowskich żołnierzy. Na straganie najlepiej sprzedają się świece

▼ Kijów, grudzień 2023

Ukraina próbuje żyć normalnie, ale wojna wrosła w krajobraz i widoczna jest na każdym kroku



► Lwów, luty 2022
Weterani marines uczą ukraińskich ochotników pomocy przedmedycznej



RZECZYWISTOŚĆ NACISKA

Wolałbym nie testować swojego przekonania, że jak przyjdzie co do czego, zostanę, zamiast zwać z rodziną A4 przez Zgorzelec do Niemiec.

Michał Olszewski

W a przelomie 1940 i 1941 roku, kiedy mieszkańcy Londynu żegnali się słynnym „Good Night and Good Luck”, nie wiedząc, czy przeżyją kolejną noc niemieckich bombardowań, George Orwell napisał jeden ze swoich najważniejszych tekstów publicystycznych. „Lew i jednorożec” to esej w całości wstrząsający, nawet jeśli nie wszystkie prognozy pisarza okazały się trafne, a marzenia o zbudowaniu w Wielkiej Brytanii socjalizmu z ludzką twarzą pozostały jedynie marzeniami. Sedno tekstu nie zestarzało się ani na jotę, przeciwnie, od 24 lutego 2022 nabrało ponurej aktualności, nie tylko dlatego, że mieszkańcy Charkowa i Kijowa musieli przenieść swoje życie pod ziemię, tak jak londyńczycy w czasie nalotów.

Teza Orwella jest brutalna i w dzisiejszych czasach wcale nieoczywista: nie można wygrać wojny bez wyrzeczeń, a kraju trzeba bronić inaczej niż pustosłowiem, wymachiwaniem szablą czy stosowaniem metod z poprzedniej wojny (są to metody, jak trafnie przestrzega Orwell, zawsze przestarzałe). W związku z tym konieczna staje się gruntowna transformacja gospodarki, ale również umysłowości obywateli. Gospodarka? „Do mobilizacji wojennej na współczesną skalę konieczne jest przekierowanie 1/2 części dochodu krajowego na zbrojenie, a to wymaga ograniczenia dóbr konsumpcyjnych. Jeden bombowiec, dajmy na to, kosztuje tyle, co pięćdziesiąt małych samochodów, osiemdziesiąt tysięcy par jedwabnych pończoch lub milion bochenków chleba. Bez obniżenia narodowego standardu życia nie ma zatem co liczyć na pokazną flotę powietrzną. Albo broń, albo masło, jak ujął to marszałek Göring”. Społeczeństwo? „Należy na powrót sprząć ze sobą inteligencję [jako klasę społeczną] i patriotyzm. Być może umożliwi nam to udział w tej – jakże szczególnej – wojnie”. Orwell – gorący patriota brytyjski, który kocha pudding z lojem, społeczeństwo obłudników z popsutymi zębami, a widok najtańszych róż w ogródku robotniczego domu budzi w nim rozrzewnienie, ma tu pogląd jednoznaczny: trzeba się bronić za wszelką cenę.

Jeśli przyjąć, że ostatnie ostrzeżenia analityków nie są przesadzone, jeśli zrealizuje się czarny scenariusz, jeśli uznajemy, że apetyt reżimu rosyjskiego jest nienasycony, a Donbas to ledwie zakąska, po dwóch latach wojny powinniśmy postawić sobie w Polsce kilka niewygodnych pytań rodem



Przedmieścia Iziumu, listopad 2022

Bezdomne psy są stałym elementem pejzażu wojennego. Bawią się wśród ruin i resztek pocisków. Na zdjęciu szczątki pocisku Toczka-U, zestrzelonego przez obronę przeciwlotniczą

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

z „Lwa i jednorożca”. Ani doktryna obronna NATO, ani podrywanie myśliwców, które ma pokazać, że wojsko znajduje się w gotowości, nie powinny nas uspokajać, tylko prowokować do dyskusji dla wszystkich stron wojny polsko-polskiej ze wszech miar niewygodnej. Może się bowiem okazać, że mimo zobowiązań holenderska armia nie będzie miała ochoty umierać za przesmyk suwalski, a podrywanie naszej minieskadry lotniczej wystarczy na tyle heroiczną, co krótkotrwałą potyczkę. Przeciwnikiem jest bowiem armia nieustępliwa i zdeterminowana, armia, którą trafnie opisał w „Ziemia! Ziemia!...” Sándor Márai, świadek przejmowania Budapesztu przez Rosjan z rąk Niemców: na miejsce zorganizowanej, dobrze zarządzanej, logicznej, a mimo to przegranej armii wkroczyła na Węgry niesprawna, nie logiczna, wiecznie popsuta, a jednak zwycięska machineria. Przeciwnikiem jest również rosyjskie społeczeństwo, na razie gotowe do wielkich wyrzeczeń w imię zwycięstwa.

Pytam zatem po lekturze „Lwa i jednorożca”, na ile polski patriotyzm, budowany szczególnie za czasów rządów prawicy, ma charakter deklaracyjny, a na ile zda egzamin w, jak to się pięknie mówi, godzinie próby. Czy indoktrynacja, jakiej poddawani są uczniowie, okaże się wydmuszką, czy też sprawi, że będą gotowi oddać życie za polodowcowe pagórki za Suwałkami? Czy wszystko to, co przez lata budziło moją głęboką niechęć i kojarzyło się jak najgorzej – odzież tożsamościowa, kibicowska subkultura, rosnąca fascynacja wojną i krwią, romantyczna opowieść o powstaniu warszawskim, kotwica na lądzie i husaria na plecach, głupia miłość do wszystkiego, co polskie, i ślepa nienawiść do obcych – przyniesie jakiegokolwiek zysk? Czy też okaże się, że zwycięży wola życia i większość patriotycznego towarzystwa zwinie się do miejsc, na które tak ochoczo pluje: Berlina, Amsterdamu czy Madrytu. I czy w ogóle można iść dobrowolnie na front bez tępej propagandy i indoktrynacji, ot tak, na trzeźwo? Orwell był przekonany, że można, ja tej pewności nie mam.

Wolałbym pozostać w bezpiecznej sferze fantasmagorii bezkarnie uprawianych przed snem, wolałbym nie testować swojego przekonania, że jak przyjdzie co do czego, zostanę, zamiast zwać z rodziną A4 przez Zgorzelec do Niemiec.

Tyle tylko, że od dwóch lat te pytania są czymś więcej niż spekulacją.

Tak się potoczyło, że jestem od dwóch lat w miarę bezpiecznym, bo przelotnym świadkiem dramatów i tragedii, które wynikają z przekonania, że ojczyznę trzeba bronić. Widzę na przykład przemianę R., z którym zaprzyjaźniłem się niedługo po wybuchu wojny. R. energicznie oddawał swój czas i pieniądze, żeby w rodzinnej wsi pod Lwowem przez dwadzieścia cztery na siedem organizować transporty żywności, sprzętu, odzieży dla chłopaków na froncie. Ale kiedy zaczęło brakować żołnierzy i przyjechali z wojenkomatu po jego syna, mojego rówieśnika i imiennika, R. wraz z żoną przyplacili to ciężką nerwicą, a potem interwencją kardiologiczną. Ich syn pracuje teraz z dronami niedaleko Kupiańska i każdy dzień może być dla niego ostatnim.

Widziałem też, jak kruszy się poddana ciśnieniu wojny wspólnota pomocowa w wiosce S. Ile jeszcze można dołożyć ze swoich na drona albo samochód dla naszych chłopaków? W ilu pogrzebach uczestniczyć? Jak to możliwe, że X., zdrowy chłop w wieku poborowym, wyjechał do Francji, podczas gdy jego sąsiada zgarnęli z domu? Ktoś schował się w domu i nie odbiera telefonu – po kolejnym wyjeździe z rzeczami na front, kiedy dostali się pod ostrzał, żona zagroziła rozwodem; tamten obraził się na śmierć, inny po prostu miał dość. Szuka się winnych, rośnie złość – ty, człowieku, żebrzesz pod kościołem o dwieście hrywien na drona, a potem słyszysz, że we Lwowie albo Kijowie są magazyny wypełnione po sufit wojskową pomocą z zagranicy. Ty ciągniesz się z przetworami i kolejnym generatorem przez całą Ukrainę do swojego chrześniaka, który od półtora roku nie miał rotacji, a jego koledzy

siedzą cicho jak myszy pod miotłą w Szczecinie czy Hamburgu. Albo J., mój rówieśnik. Staliśmy ostatnio na ostatniej stacji benzynowej przed polską granicą, w ciemności, tam gdzie od dwóch lat wymieniamy nowiny, pieniądze i przelewamy oszczędzony diesel z naszych kanistrów w ich kanistry.

J. opowiadał o swoim 18-letnim synu, który na początku wojny wyjechał z matką do Holandii. Syn chce wracać i zaciągnąć się do armii. J. powiedział mu, że w takim razie więcej się nie zobaczą. Jeśli ruszy w drogę, ojciec szybciej stawi się w wojenkomacie i pójdzie na pierwszą linię. A to znaczy, że syna już nie wezmą.

Po dwóch latach wojny widać wyraźnie, jak wygląda kraj postawiony przed tragicznym dylematem mobilizacji. Rozpaczliwie brakuje żołnierzy, blokposty zniknęły, kto żyw, poszedł na front. Na granicy po ukraińskiej stronie stoją kolejki mężczyzn w wieku poborowym, którzy próbują uciec przed powołaniem.

Jestem również świadkiem rosnącego zmęczenia i zobojętnienia na śmierć. Na początku wojny Z., u której zatrzymujemy się na popas niedaleko granicy z Białorusią, każdy hałas przyprawiał o szybsze bicie serca – może to czołgi, może samoloty. Nie odchodziła od ustawionego w kuchni telewizora, komentując mapy kolejnych ataków. Ostatnio opowiadała, że nad domem przeleciał helikopter. Czy on był nasz, czy on był ich, kto go tam wie. Co za różnica. Co ma być, to będzie. Jest tak jak u Orwella: „Wojna ta prawdopodobnie potrwa trzy lata i przyniesie ze sobą długie godziny katorżniczej pracy, lodowate, ospałe zimy, byle jakie jedzenie, brak rozrywek oraz ciągnące się miesiącami naloty”. Jeszcze trafniej opisuje ten stan w swojej najnowszej książce „W mieście wojna” Serhij Żadan, który odbierając Nagrodę Pokoju, precyzuje: „Co przede wszystkim zmienia wojna? Poczucie czasu, poczucie przestrzeni. Bardzo szybko zmieniają się kontury perspektyw, kontury czasowego trwania. Człowiek w przetrzeźnieniu wojny stara się nie snuć planów na przyszłość, usiłuje za dużo się nie zastana-

wiać nad tym, jaki ten świat będzie na drugi dzień. Wagę i znaczenie ma tylko to, co się z tobą dzieje tu i teraz, sens mają tylko rzeczy i ludzie, którzy będą z tobą jutro rano – jeśli przeżyjesz i się obudzisz. Głównym zadaniem wciąż jest to, by przetrwać, przedeść się na pół doby do przodu. Potem się okaże, jak daleć działać, jak się zachowywać, na czym w tym życiu się opierać, od czego się odpychać. Dotyczy to i wojskowych, i tych, którzy w charakterze »cywilów« (czyli – nieuzbrojonych) pozostają w strefie bliskości śmierci. Właśnie to poczucie towarzyszy ci od pierwszego dnia wielkiej wojny – poczucie załamania czasu, braku ciągłości, poczucie sprasowanego powietrza, kiedy trudno oddychać, dlatego że rzeczywistość naciska, starając się wyprzeć cię na drugą stronę życia, na drugą stronę tego, co widzialne. Sprasowanie wydarzeń i emocji, rozpuszczenie w gęstym krwawym potoku, który obejmuje i niesie – rzeczywistość wojny diametralnie różni się od rzeczywistości pokoju właśnie tym ciśnieniem, sprasowaniem, niemożnością swobodnego oddychania i mówienia. Bez względu na to – mówienie jest potrzebne. Nawet w czasie wojny. Szczególnie w czasie wojny”.

Do tego rosnąca obojętność świata. Wszyscy mądrale, specjaliści od historii anegdotycznych, ci, co ich chata znówu z kraja, rosnąca masa zmęczonych wojną. Wojna, jaka wojna, szwagier był z humanitarką, widział, jest chleb, prąd, woda, samochody jeżdżą, mają wszystko. A przecież nie ma w Ukrainie bezpiecznego miejsca. Tam, gdzie stał blok, dziś zieje czarna dziura; był biurowiec, nie ma biurowca; był dworzec, dworca nie ma; nie ma twojego kościoła, twojej szkoły, stacji benzynowej i zakładu zegarmistrzowskiego. Siedzisz na schodkach na placu Peremogi w Winnicy, grzejąc się w promieniach słońca, tydzień później dokładnie w to miejsce uderza rakietą Kaliber; chodzisz po spokojnej Odessie – kilka dni później Odessa płonie. Oglądasz Izmail i Reni, gdzie ruskie rakiety jeszcze nie dotarły, a one docierają w końcu i tam, niszcząc nadrzeczny port. A potem wracasz do kraju i czytasz Łukasza Warzechę i jemu podobnych specjalistów od Realpolitik, którzy nie zamierzają palcem w bucie kiwnąć, żeby pomóc sąsiadowi w potrzebie, za to chętnie wskażą palcem „ukrainofilkę” (obelga największa), która ściągnęła na front sprzęt za miliony złotych. Ponieważ w dupie mają wojnę, a ich modus operandi to święty spokój. I zapominają, że polski święty spokój okupiony jest ukraińską krwią.

Zarówno Orwell, jak i wszystko, co dzieje się za wschodnią granicą, pozwalają zapytać: co jest dla nas najcenniejsze?

Czy jeśli czarny scenariusz stanie się faktem, uznamy, że warto walczyć o Suwałki, Olecko, Białystok, Warszawę, o kemy, równiny lessowe, projekty aspiracyjne i rozproszoną zabudowę?

Że istnieje wartość większa i silniejsza niż indywidualny los? Czy też wybierzemy życie, prywatne, pojedyncze życie, jedyne, jakie jest nam prawdopodobnie dane, tak jak wybrali je ukraińscy dekonwnicy, którzy zamiast siedzieć w śmierdzących okopach, uciekli za granicę. Ja również wolalbym,

żeby zlurowali swoich kolegów i wrócili do kraju, meldując się po przekroczeniu granicy w pierwszym wojenkomacie.

Bardzo łatwo namawiać zamożnych Ukraińców, którzy uciekli do Polski, żeby wymienili swoje samochody na tańsze, a nadwyżkę oddali na rzecz armii. Albo żeby poszli na front. To są oczekiwania zrozumiałe, jestem jednak bardzo ostrożny w ferowaniu wyroków. Co zrobiłbym na ich miejscu? Jak zachowałbym się, wiedząc, że mój rodzinny blok z wielkiej płyty, z oknami wystawiony w sam raz w stronę obwodu kaliningradzkiego, raptem siedemdziesiąt kilometrów od granicy, właśnie przestał istnieć – wziąłbym karabin na ramię czy raczej zwił się w bezpieczne miejsca, najchętniej do Szwajcarii, która woli widzieć płonący Kijów, niż utracić swój słynny święty spokój i przekazać Ukraińcom amunicję. A przecież Ukraińcy przygotowywali się do wojny osiem lat i tego czasu nie przespałi. Aneksja Krymu i zajęcie przez Rosjan części Donbasu sprawiły, że nie tylko wojsko, ale również społeczeństwo przeszło transformację, bez której nie byłoby tak skutecznego oporu.

Na indywidualne losy nakładają się mechanizmy niezmiennie, trafnie opisane przez Orwella i widoczne również w Ukrainie. „Choć po nadejściu katastrofy w Anglii brakowało każdego rodzaju sprzętu wojskowego, może poza okrętami, nie odczuwano wówczas niedoborów samochodów, futer, gramofonów, szminek, czekoladek czy jedwabnych pończoch. Czy ktokolwiek ośmieliłby się stwierdzić, że podobne przeciąganie liny pomiędzy prywatną korzyścią a publiczną koniecznością przestało mieć miejsce? Anglia walczy o przetrwanie, biznes zaś – o własne zyski” – pisze autor „Folwarku zwierzęcego”.

Czy jesteśmy na te dylematy gotowi? Na spekulantów, dekonwników, maruderów, zdrajców? Na śmierć, inwalidów, centra rehabilitacyjne, traumatologię, stres pourazowy, na ludzi, którym dźwięk odkurzacza włączanego za ścianą kojarzy się z alarmem przeciwlotniczym, na zbombardowane domy i opowieści o niewyobrażalnych tragediach? Można w ogóle się na nie przygotować, przewidzieć wybór podejmowany w momencie wybuchu wojny czy też zawsze będzie on niewiadomą i dziełem przypadku?

A może nie ma sensu wybiegać aż tak daleko i wystarczy zapytać inaczej: czy chcemy wykonać chociaż pierwszy krok? Ponieważ – i tu od czasów Orwella nie zmieniło się nic – bez wyrzeczeń i transformacji nie zbudujemy armii rzeczywistości gotowej na starcie z wrogiem. Wojsko jest dziś inne niż trzydzieści lat temu i świat trepów, fali, dyktatu generałów, brudnych koszar oraz eszelonów ciągnących na poligony raczej nie powróci. Załapałem się końcówkę ery, w której o przeszłości osiemnastolatka mogli zdecydować obrzmiali lekarze z wojskowej komendy uzupełnień i nie tęsknię za nią zupełnie. Stałem przed nimi nago, co było jednocześnie upokarzające i nie do końca poważne, a oni sami (znałem bodaj dwóch) sprawili wrażenie, jakby myślami byli już w swoich domkach, wybudowanych nad zaciśniętym jeziorem. Wojna odchodziła w niepaamięć, wojny miało już nie być, armia zwiłala przyczółki, a z mojego miasta, które od

czasów krzyżackich było miastem garnizonowym, wycofywały się ostatnie oddziały saperów, z poboru do armii trafiali nieudacznicy albo abnegaci, którym nie chciało się nawet zapisać na chwilę do prywatnej szkoły wyższej. Wspomnienia na bok: świat, w którym wojsko ma większe znaczenie w życiu publicznym, jest światem większych ograniczeń, nie mam co do tego wątpliwości, choćby nie towarzyszył mu smród peerelowskiej armii. Zatem równie istotne jak pytanie o sprawę ostateczną jest pytanie o zgodę społeczną na powrót do świata militarnego i rozwiązania doraźne. Nie słyszę, żeby w przedstawianych programach miało się znaleźć miejsce dla pomysłu na nowo przysposobienia obronnego, przedmiotu, który odszedł ze szkoły po cichu i w zasłużonej niesławie. Obrońcy cywilna w Polsce nie istnieje, chyba że uznać za jej namiastkę Ochotniczą Straż Pożarną. Jakość zarządzania kryzysowego poczuł na własnej skórze każdy, kto znalazł minimalnej niedogodności, jak awaria lokomotywy. Nowo powstające budynki nie są wyposażane w schrony. Przypuszczam, że wiedza o podstawowych procedurach ratowniczych dla większości obywateli to egzotyka. Napisana ad hoc i właśnie nowelizowana ustawa o obronie ojczyzny pełna jest dziur i znaków zapytania, na co wskazują choćby samorządowcy. Pytanie o potencjalną wojnę jest również pytaniem o szkolenia wojskowe – te organizowane w ubiegłym roku przez wojsko cieszyły się tak wielkim zainteresowaniem, że dla części chętnych zabrakło miejsc. Owszem, przez dwanaście godzin z cywila nie powstanie żołnierz. Czas jednak się zastanowić, jak ośwoić społeczeństwo z wojskiem i sytuacjami kryzysowymi.

Jeden bombowiec kosztuje tyle, co osiemdziesiąt tysięcy par jedwabnych pończoch

Ten proces już się rozpoczął. Czytam w Interii napisany wojskowym żargonem tekst Marcina Ogdowskiego „Jak się bronić przed Rosją, gdyby rzeczywiście napadła na Polskę?”. Mowa o „oddawaniu terenu przy jednoczesnym skrwawianiu przeciwnika”, „rubieżach oporu”, „elastycznej, manewrowej operacji”, „wschodzie kraju jako głębi operacyjnej”, „rozbudowie potencjału odstraszania”. Język analityków wojskowych, którzy zamiast „rzeż” mówią „teatr działań wojennych”, rozlewa się coraz szerzej. Język wojny to również język cenzury i autocenzury, o czym dobrze wiedzą (i niechętnie mówią) pisarze ukraińscy. Nie mówi się i nie pisze o wszystkim, żeby nie podkopywać morale; wątpliwości i rozpacz chowane są jak najgłębiej; na zewnątrz należy prezentować niezachwianą wolę zwycięstwa.

W ostateczności lepiej wybrać milczenie. Świat wojny nie jest dobrym miejscem dla wątpliwych i chwiejnych.

Gdybym miał zestawiać Polskę z Ukrainą, powiedziałbym, że jesteśmy mniej więcej w tym miejscu, w którym społeczeństwo ukraińskie znajdowało się przed rokiem 2014. Rozumiećmy ryzyko i powagę sytuacji, ale jednocześnie nie jesteśmy przygotowani do obrony. Wizja zajętej przez Rosjan Goldapi jest nadal trudna do wyobrażenia. Stoimy na początku drogi wyłożonej wyłącznie nieprzyjemnymi dla społeczeństwa decyzjami. Polska armia ma charakter w dużej mierze papierowy – nie istnieje na morzu i w powietrzu. Nie będziemy nigdy militarną Ameryką, ale trudno nie czuć niepokoju, kiedy na strzelnicy były żołnierzy amerykańskiej armii opowiada, że podczas jednego wyjazdu na poligon wystrzelił więcej nabołów niż jego polscy koledzy przez

cały pobyt w armii. Marzą nam się fabryki samochodów elektrycznych i elektrownie atomowe, chociaż powinniśmy się skupić na odbudowie przemysłu zbrojeniowego.

Potrzebujemy zatem przekierowania myślenia o państwie na nowe tory, podobnie jak liderów, którzy tę niewygodną prawdę będą w stanie społeczeństwu zakomunikować. Churchill nie jest bohaterem z marzeń Orwella, ale pisarz przynajmniej mu w swoim eseju jedną zaletę: „rozumiał przynajmniej, że wojen nie wygrywa się bez walki”. Tę niewygodną i gorzką jak stepowy piolun prawdę Ukraińcy pojęli już dawno, pytanie, czy jesteśmy gotowi na nią i my.

Chwila przed świętami Bożego Narodzenia, błąkamy się z fotoreporterem Jakubem Włodkiem po Saltiwcę, wielkim charkowskim osiedlu, zdemolowanym przez rosyjskie pociski. Po dwóch latach od rozpoczęcia wojny straszą tam wypalone jany okien, dziury po raketach, w śniegu przy jednym z roztrzaskanych wieżowców widać kamień, a na nim pluszowe zabawki, bućki dziecięcy, but na wysokim obcasie, uschnięty pęk kwiatów i wypaloną świeczkę, kłapek spod prysznicza i zawilgły planer.

Ale na Saltiwkę wraca życie. Słychać pracę dźwigów, wind, wiertarek, gdzieś kuja młotem. Niektórych budynków uratować się nie da – pracują przy nich ekipy wyburzeniowe. Ale w innych widać nowe okna. Jest prąd, są światła i gaz. Trochę samochodów zaparkowanych tu i ówdzie.

Potem stoimy na dachu jednego z wieżowców, mając pod stopami osiedle wielkości Ursynowa, a Anatolij Biezszzaszny, szef brygady remontowej, pokazuje spokojnie, ile już odbudowali. Tu, gdzie stoimy, uderzyła bomba, wybijając od góry krater, tłumaczy Biezszzaszny, a teraz, proszę, nowy dach, na klatce schodowej pachnie farbą i świeżym cementem, na dachu nowa papa i nowe kominy. Ludzie się wprowadzą.

Chciałbym zapytać, czy to nie za szybko, bo przecież rakiety z Rosji dolatują na Saltiwkę szybciej niż alarm przeciwlotniczy i cały trud odbudowy może się obrócić szybko wniwecz. Ale nie pytam, bo chyba rozumiem, po co to wszystko.

I chciałbym, jeśli przyjdzie co do czego, mieć w sobie tyle woli walki i tyle pogardy dla wroga co snajper 163. batalionu 119. Samodzielnej Brygady Obrony Terytorialnej Obwodu Czernihowskiego Oleksandr Ihorewicz Maciejewski, bezbronny jeniec rozstrzelany przez rosyjskich żołdaków po tym, jak wypowiedział słowa „Chwała Ukrainie”.

I tyle wiary w zwycięstwo co władze Charkowa, które odbudowują Saltiwkę. I tyle patriotyzmu co Żadan, który zamiast wyjechać z rodziną na stypendium, od dwóch lat pracuje w zaopatrzeniu, dowodząc na pierwszą linię czyste skarpety, samochody, drony i jedzenie. Ale to tylko pobożne życzenia.

Po dwóch latach, zadając sobie pytanie: „Czego nauczyła mnie wojna?”, odpowiadam bez wahania – niewiele. Potrafię jeździć vanem, poznałem bohaterów, ukraińskie załki, rodzaje broni, rozmawiałem z prawdziwymi bohaterami, wiem, jak wygląda twarz żołnierza, który od dwóch lat tkwi na przyczółku. Przeszkolenie wojskowe sprawiło, że potrafię (w teorii) złożyć stazę na oderwaną odłamkiem kończynę, obsługiwać karabinek Grot i moździerz. Wiem, że wojny nie wygrywa się bez walki. Mało, tyle co nic, zawsze coś, pojęcia nie mam.

Wiem też na pewno, że w sytuacji takiej jak J., z którym gadałem w grudniowych ciemnościach, postąpiłbym tak samo. ●

Korzystałem z: George Orwell, „Lew i jedno-rożec. Najlepsze eseje i felietony”. Wybrał i przełożył Dawid Czech. Karakter 2023 Serhij Żadan, „W mieście wojna”, przełożył Michał Petryk. Czarne 2024 Marcin Ogdowski, „Jak się bronić przed Rosją, gdyby rzeczywiście napadła na Polskę?”, Interia, 14 lutego 2024



◀ Lato 2022

Krzysztof Muszak, snajper z batalionu Azow o polskich korzeniach, wrócił właśnie do rodzinnej wsi pod Lwowem. Do końca obłożenia przebywał w zakładach Azowstał. Miał złamany kręgosłup i roztrzaskaną nogę. Po rekonwalescencji chce wracać na front

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jestem z Ukrainy. Wyczuwam, że widząc to zdanie, część czytelników szybko przeleci kolejne strony. „Ile można mówić o tej Ukrainie i Ukraińcach? To już nie ma na świecie innych problemów niż rosyjska wojna w Ukrainie? Nam też jest ciężko!” – od pół roku coraz częściej widzę podobne komentarze w portalach społecznościowych. Piszą je różni ludzie w różnych językach. Przekaz pozostaje ten sam: świat zmęczył się wojną w Ukrainie. Stała się ona czymś zwykłym, nawet irytującym jak mucha, czymś, od czego chciało się odsunąć. Muszę przyznać, że Ukraińcy też zmęczyli się wojną.

NAWET IWANKA MA W GŁOSIE ROZPACZ

„Jakoś bardzo to wszystko smutne, Lesyu... Trzymam się ostatkiem sił, żeby nie stracić wiary w przyszłość. Odpędzam od siebie myśl, że znów trzeba będzie uciekać” – napisała do mnie niedawno koleżanka ze szkoły. Nie poznałam w niej mojej Iwanki, z którą na początku inwazji na pełną skalę kłóciłyśmy się, jak długo to potrwa. Obie jesteśmy z Chodorowa,

NASZ LUTY SIĘ NIE KOŃCZY

Życie można zapauzować na rok, dwa, ale czy można nie zakochać się, nie rodzić dzieci, nie robić remontów itd., itp. pięć lat czy nawet dłużej?

Lesya Vakulyuk

żowej dzielnicy Nowego Jorku, z widokiem na Central Park. Dziennikarze śledczy próbowali się dowiedzieć, w jaki sposób były doradca Kancelarii Prezydenta, człowiek w wieku poborowym, który nazywa siebie nie tylko wojskowym ekspertem, ale też podpułkownikiem, wyjechał z Ukrainy [wszyscy mężczyźni w wieku od 18 do 60 lat potrzebują na to specjalnego pozwolenia]. Ponoć odbyło się to z pomocą ukraińskiego Głównego Zarządu Wywiadu (HUR). Zaprzeczył. Jednak żaden z zainteresowanych organów nie udzielił jasnej odpowiedzi na pytania dziennikarzy. Zaslaniało się „tajemnicą państwową”.

W ciągu ostatnich dwóch lat było mnóstwo przypadków mężczyzn w wieku poborowym, którzy bez uzasadnienia znaleźli się i pozostają za granicą dzięki koneksjom lub korupcji. Ukraińcy to widzą i to ich oburza. Oczywiście jest też wielu mężczyzn, którzy wyjeżdżają za granicę zupełnie legalnie. Na początku października, wracając do Lwowa z Warszawy, gdzie byłam służbowo, spotkałam na polsko-ukraińskiej granicy właśnie taką grupę. Byli ubrani „w piksel”. W różnym wieku. Na ich twarzach nie było ani krzty radości z zagranicznej podróży. Był to bowiem wyjazd nie na wakacje, tylko na szkolenie, wojskowe. Ukraina obchodziła właśnie Dzień Obrońcy i Obrończyni, więc



• Winnica, plac Zwycięstwa. Tu 14 lipca 2022 spadły rosyjskie rakiet, zabijając 24 osoby, m.in. czteroletnią dziewczynkę, i raniąc kilkadziesiąt

miasteczka w obwodzie lwowskim, a po ukończeniu szkoły rozjechałyśmy się na studia: ja – do Lwowa, Iwanka – tysiąc kilometrów dalej, do Charkowa. Tam wyszła za mąż i tam została. Ja z czasem przeniosłam się do Kijowa, aby pracować jako dziennikarka, a później zamieszkałam w przytulnej Buczy pod Kijowem.

Rosyjska napaść sprawiła, że obie wróciłyśmy do Chodorowa. Tymczasowo. Jakoś latem 2022 roku spotkałyśmy się w kawiarni w naszym miasteczku. Iwanka była pełna optymizmu, mówiła coś o Zwycięstwie, o tym, że nasi chłopcy z SZU [Sił Zbrojnych Ukrainy] szybko wypędzą wroga, że wojna niedługo się skończy. Powtarzała to, o czym mówiono w oficjalnym telemaratonie, programie, w którym rząd, w związku z inwazją, połączył najważniejsze ukraińskie kanały telewizyjne [informacyjny program „Jedynie wiadomości”, United News, do dziś jest nadawany przez całą dobę, także na YouTube; każda z współtworzących kanał telewizji codziennie przygotowuje własny kilku-

godzinny blok]. Powtarzała to, o czym totem wtajemniczonego opowiadał Oleksij Arestowycz, popularny wtedy doradca szefa Kancelarii Prezydenta: wszystko zakończy się w dwa-trzy tygodnie, maksymalnie dwa-trzy miesiące. Iwanka nie chciała słuchać moich błagań, żeby nie spieszyła się z powrotem do Charkowa z córkami, bo miasto będzie pod ciągłym ostrzałem. „Wszystko będzie dobrze” – powtarzała.

Od tamtej pory Rosja wielokrotnie ostrzeliwała Charków. Ostrzał artyleryjski wprawdzie ustał po udanej ofensywie wojsk ukraińskich, ale rosyjskie rakiet, bomby i shahedy nadal terroryzują miasto. Nieraz pisałam do Iwanki z pytaniem: „Jak się masz?”. Nieraz odpowiadała: „Jest bardzo głośno”, „Ściany drżą” albo „Boję się”... Przed 24 lutego 2022 Charków był drugim co do wielkości miastem Ukrainy. Teraz jego populacja zmniejszyła się o połowę. Ludzie przenoszą się do bezpieczniejszych miast w obwodzie, w kraju lub nawet

za granicą. W połowie lutego w wyniku rosyjskiego ataku we własnym domu spłonęła żywcem cała rodzina: tata, mama i trzech synów. Najmłodszy miał kilka miesięcy. Spalone szczątki niemowlęcia z trudem dało się zidentyfikować.

Mimo że Iwanka pochodzi z miasteczka położonego nie więcej niż 15 kilometrów od granicy z Unią Europejską, pozostaje lojalną mieszkanką miasta, z którego do granicy z Rosją jest tylko 50 kilometrów. Jednak coraz częściej w głosie tej zagorzałej charkowskiej patriotki zamiast: „Wszystko będzie dobrze!”, słyszę nutę rozpacz.

MARZENIA MAMY MAKSYMA

Jeżeli u kogoś jest naprawdę dobrze, to właśnie u Oleksija Arestowicza. Wiadomo, że od mniej więcej pół roku mieszka w Stanach Zjednoczonych. Wynajmuje mieszkanie w presti-

opuściłam szybę samochodu, by krzyknąć: „Wszystkiego dobrego! I dziękuję!”. Szybko zamknęłam okno. Dławiły mnie łzy, bo uświadomiłam sobie, że kiedy już wrócą ze szkoleń na front, nie wszyscy z nich wrócą do domu żywi.

Ilu już poległo, nikt nie wie. Ukraińskie władze już 24 lutego 2022 roku postanowiły nie ujawniać strat wojennych. Ale coraz bardziej wymowne są komentarze. W ukraińskich miastach, miasteczkach i wsiach wciąż przybywa grobów, nad którymi powiewają flagi. W dużych miastach pogrzeby obrońców odbywają się codziennie. W mniejszych prawie co tydzień wzdłuż ulic ludzie rozwieszają lampki, które towarzyszą w ostatniej drodze kolejnemu krajnowi-bohaterowi. To cena, którą Ukraińcy płacą tylko za to, żeby zatrzymać rosyjskie wojsko tam, gdzie ono zdążyło dojść, albo tam, gdzie ukraińska armia je odepchnęła. Nie ma tak wielu chętnych do obrony Ukrainy jak na początku inwazji na pełną ska-

łę i nie ma tak wielu chętnych, by walczyć o granice z 1991 roku.

Jedyny syn mojej przyjaciółki, też dziennikarki, już trzeci raz trafił do szpitala. Tym razem z poparzeniami, których doznał podczas ostrzału. W lutym 2022 roku Maksym oznajmił matce, że porzuca prestiżową pracę i idzie bronić kraju. Ola mówi, że od tamtej chwili nie oddycha i żyje od wiadomości do wiadomości od syna na komunikatorze. Z jednej strony jest dumna z Maksyma i jego wyboru, a z drugiej chciałaby, żeby mógł wreszcie normalnie żyć: rano spacerował z ich dwoma psami, bez pośpiechu pił kawę, chodził na randki z dziewczyną. Ale kiedy to nastąpi? Ola nie spodziewa się odpowiedzi. Ustawa o mobilizacji na razie przeszła pierwsze czytanie. Nikt na szczytach ukraińskiej władzy nie chce wziąć odpowiedzialności za niepopularne decyzje. Tymczasem ukraińscy obrońcy zgłaszają braki kadrowe, podczas gdy wróg, mimo ciężkich strat, ludzi wciąż ma pod dostatkiem.

Dwa lata temu walczyć z Rosją poszli głównie mężczyźni po czterdziestce. „Idziemy do wojska, aby nasze dzieci nie musiały tego robić” – mówili. Ukraińska armia okazała się w dużej mierze armią ojców. Jednak po dwóch latach aktywnych działań bojowych jest skrajnie wyczerpana. Dziś armia potrzebuje żołnierzy w wieku 20–30 lat. Jednak na razie w Ukrainie zmobilizować można tylko 28-latków i starszych. Dlatego syn mojej przyjaciółki, jako ochotnik z pierwszego roku wojny, należy raczej do wyjątków. Obecnie wśród rówieśników Maksyma perspektywa pójścia na front budzi przede wszystkim strach.

Dlaczego z kolejek przed komisjami wojskowymi z lutego 2022 w lutym 2024 roku niewiele zostało? Po części dlatego, że oczekiwania Ukraińców związane z letnią kontrofensywą okazały się mocno na wyrost. Rząd obiecał, że niedługo będziemy pić kawę na Krymie, który odbiją dzielne Siły Zbrojne Ukrainy. Większość ludzi odetchnęła, zasiadła przed telewizorami – w których chór głosów opowiadał o rychłym Zwycęstwie – i po prostu wierzyła w nasze koty bojowe (jak pieszczotliwie nazywano ukraińskie wojsko). Stało się to jedną z linii podziału w społeczeństwie: na walczących i ich rodziny oraz tych, którzy tylko „kibicują”.

WILLE, LIMUZINY I BARDZO DROGIE JAJKA

Dzisiaj jedność, którą Ukraińcy demonstrowali i z której tak byli dumni od początku inwazji na pełną skalę, pęka w szwach. Linii podziału przybywa. Na przykład w styczniu doradca szefa Kancelarii Prezydenta Serhij Łeszczenko w wywiadzie dla szwajcarskiej prasy wezwał kraje UE do ucięcia pomocy dla ukraińskich uchodźców, aby szybciej wrócili do Ukrainy – co miałoby poprawić stan gospodarki. Jakby było tu już bezpiecznie. W tym samym czasie Danyło Hetmanecw, poseł rządzącej partii Sługa Narodu, umieścił w deklaracji majątkowej 142-metrowe mieszkanie we Francji, które opisał jako tymczasowe miejsce zamieszkania swojej żony Olhy i ich dzieci. Latem Ukraińcami wstrząsnęły informacje o ogromnym bogactwie szefa obwodowej komisji wojskowej w Odessie. Dziennikarze portalu Ukraińska Prawda dowiedzieli się, że w trakcie inwazji na pełną skalę rodzina Jewhena Borysowa kupiła luksusowe limuzyny, a także wille i przetrzębiła biurową w Hiszpanii. Organy śledcze badają teraz, skąd członkowie rodziny komisarza wzięli pieniądze na te kosztowne nabytki.

A skoro o ukraińskich dziennikarzach mowa. Urzędnicy państwowi chętnie rozmawiają z prasą zagraniczną, podczas gdy dialog z mediami krajowymi prawie nie istnieje. W Radzie Najwyższej nie wolno im pracować. Już od dwóch lat nie mają możliwości śledzenia tego, co dzieje się na sali obrad, ani komunikowania się bezpośrednio z wybrańcami narodu w kularach. Wszystko to rzekomo ze wzglę-

dów bezpieczeństwa. Gdy tylko dziennikarze dowiadują się o faktach, które są wyraźnie nie na rękę władzom, natychmiast spotykają ich prześladowania. Na przykład dziennikarza śledczego Jurija Nikołowa, który między innymi ujawnił, jak ministerstwo obrony Ukrainy kupowało kurze jaja dla armii za 300 proc. ceny rynkowej, kilka miesięcy temu odwiedzili nieznani mężczyźni. Próbowali się włamać do jego mieszkania, przestraszyli jego starą matkę i zostawili na drzwiach napisy, żeby poszedł na wojnę. Z kolei jego kolegów z redakcji Bihus.Info, którzy regularnie publikują wyniki dziennikarskich śledztw (dotyczących m.in. nadużyć władzy), przez rok obserwowało 30 pracowników Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Wszyscy oni należeli do Departamentu Ochrony Państwa i powinni chronić suwerenność kraju, integralność terytorialną i porządek konstytucyjny. Zamiast tego szukali haków na pracowników mediów, m.in. instalując ukryte kamery w pomieszczeniach ośrodka rekreacyjnego, do którego dziennikarze przyjechali na szkolenie.

Ukraińscy biznesmeni również przeżywają trudne chwile. Gdy tylko ośmielił się skrytykować rząd, wszczynane są przeciwko nim postępowania. Opozycja parlamen-

Wynajmuje mieszkanie z widokiem na Central Park. Dziennikarze próbowali się dowiedzieć, jak były doradca Kancelarii Prezydenta, w wieku poborowym, wyjechał z Ukrainy

tarna skarży się, że niewiele zostało z jedności ponad politycznymi podziałami, która panowała w Radzie Najwyższej w pierwszym roku wielkiej wojny. Deputowani z partii Europejska Solidarność, której liderem jest poprzedni prezydent Petro Poroszenko, nie zawsze otrzymują od kierownictwa parlamentu pozwolenia na delegacje zagraniczne. Samemu Poroszenke kilkakrotnie odmówiono zgody, a to z powodu problemów z ważnością jego dokumentów, a to dlatego, że chciał się rzekomo spotkać z prorosyjskim Orbánem, co według SBU wykorzystalaby Rosja. Niedawno Poroszenko twierdził, że pod pretekstem zagrożenia życia nie pozwolono mu uczestniczyć w Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Rzekomo powiedział mu o tym przewodniczący parlamentu Ruslan Stefanczuk, którego z kolei miał ostrzec szef wywiadu Kyryło Budanow. Natomiast Sekretariat Rady Najwyższej wyjaśnił, że po prostu nie otrzymał od lidera partii opozycyjnej żadnych oficjalnych dokumentów wskazujących, że za granicą ktoś oczekuje jego wizyty.

Bodaj największe oburzenie wywołała dymisja głównodowodzącego SZU Walerija Żaluźnego. Na początku lutego Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii opublikował wyniki badania, komu spośród osób publicznych Ukraińcy ufają najbardziej. Na pierwszym miejscu z wynikiem 94 proc. znalazł się właśnie generał Żaluźny. Kiedy został zdymisjonowany, Ukraińców ogarnęła rozpacz. Wiele osób (i wojskowych, i cywilów) odebrało to jak utratę ojca, który ich bronił, który wiedział, co robić, i na którym można było polegać. A najgorsze jest to, że nikt w rządzie nie poinformował społeczeństwa, dlaczego i w jakim celu Żaluźny został zwolniony.

NAWET POLACY WYSYPUJĄ NASZE ZBOŻE

Wiadomości z zagranicy też nie dodają Ukraińcom otuchy. Z powodu politycznych sporów Stany Zjednoczone nie przegłosują pakietu pomocy dla Ukrainy. Kolejnym prezydentem USA może zostać Donald Trump, wielokrotnie oskarżany o grę z Kremlm. Odrażający dziennikarz Tucker Carlson nagrywa wywiad z Władimirem Putinem. Rosyjski dyktator przez dwie godziny opowiada mu własną wersję historii Ukrainy, a Carlson nawet nie próbuje się sprzeciwiać. Putin mówi też, że to nie Rosja rozpoczęła tę wojnę, ale zakończyć jej też nie zamierza, bo nie osiągnęła swoich celów. Znowu żadnego „ale”. Najbliższe, sąsiednie kraje jeden po drugim wydają niepokojące oświadczenia: lider skrajnie prawicowej węgierskiej partii mówi, że jak tylko Ukraina upadnie, Węgry natychmiast zajmą Zakarpacie; szef rumuńskiej partii nacjonalistycznej twierdzi, że w zamian za ukraińskie ziemie jego kraj jest gotów pożegnać się z członkostwem w NATO; słowacki premier ocenia, że w stolicy Ukrainy nie ma wojny i „toczy się tam absolutnie normalne życie” (i to w dniu, gdy Kijów znalazł się pod ostrzałem).

Tymczasem w Polsce rolnicy wysypują z ciężarówek ukraińskie zboże. I to wła-

być rakietą, którą Rosji sprzedawała Korea Północna. Ile takich rakiet znajduje się w arsenale Kremla – nie wiadomo. Przeraża nawet próba wyobrażenia sobie, co by się wydarzyło, gdyby taka rakietą uderzyła w dzielnicę mieszkalną.

W KOŃCU KUPIĘ KOLOROWE GARNKI

„Wkrótce wrócisz do domu – powiedział mi z uśmiechem polski dziennikarz gdzieś pod koniec wiosny 2022 roku. – Wasze siły zbrojne walczą tak zaciekle, że szybko wypędzą Rosjan”. Minęły dwa lata. Nasi obrońcy rzeczywiście wygnali Rosjan z Buczy. Ale siłę do tego, by tam wrócić, znalazłam w sobie dopiero w maju 2023. Nie na długo. Spojrzałam na mój dom, podziurawiony odłamkami rosyjskich pocisków. Spojrzałam na plot, który zamienił się w sito. Spojrzałam na dziury w ramach okien. Popatrzyłam na to, jak umiejętnie wymienili nam okna, załatali dach i naprawili sufit ciekący po ostrzałach. Pierwszy raz usiadłam na nowiuteńkiej kanapie, zamówionej jeszcze przed inwazją. Rozejrzałam się po pokojach, które wyremontowaliśmy, żeby stworzyć tu miejsce do życia. Okazało się, że nie mieszkaliśmy tam znacznie dłużej, niż mieszkaliśmy.

Kończy się drugi rok, od kiedy jestem we Lwowie, bo teraz tu mam pracę. Pierwsze kilka miesięcy przemieszkałam u przyjaciół ze studiów, potem w końcu wynajęłam mieszkanie. Kiedy zaczynaliśmy remont w naszym domu w Buczy, pomyślałam, że kupię do nowej kuchni nowe emaliowane naczynia – w jasnych kolorach, by rozweselały nas przy gotowaniu. Przypadkowo natknęłam się na nie na Instagramie. Bardzo się ucieszyłam, gdy okazało się, że sklep ma siedzibę w Buczy. Wystarczyło dokończyć remont i pójść na zakupy. Ale wydarzył się 24 lutego... Przez pierwszy rok nie mogłam nawet myśleć o nowych garnkach. Jakie garnki, przecież w kraju giną ludzie! Lepiej wpłacić te pieniądze na zrzutki dla wojska – mówiłam sobie. A później pomyślałam, że gdy kupię wreszcie te garnki, przyleci rakietą i nie będzie ani mnie, ani garnków. Dopiero latem 2023 roku w końcu pozwoliłam sobie znowu o nich pomarzyć. Bałam się tylko, czy wciąż istnieje tamten sklep i czy jego właścicielka przeżyła okupację. Na szczęście się odezwała. Powiedziała, że musiała razem z córką uciec przed wojną do Bułgarii. „Na razie boję się wracać, ale nie martw się, prowadzę sklep zdalnie, moja mama jest na miejscu, wszystko spakuje i wyśle do ciebie pocztą”.

W ten sposób zeszłego lata w kuchni wyjmowanego mieszkania, dawno temu odremontowanego na szaro, pojawiły się nowe kolorowe naczynia. Bo nie wiadomo, jak długo tu będę. Może ta wojna niedługo się skończy, a może jej koniec jest jeszcze bardzo daleko. Życie można zapauzować na jakiś rok, dwa, ale czy można zapomnieć o wszystkim na świecie (nie zakochiwać się, nie wychodzić za mąż, nie rodzić dzieci, nie rozwijać biznesu, nie robić remontów itd., itp.) na pięć lat czy nawet dłużej?! Wszystko może się wydarzyć. W końcu 20 lutego 2014 roku minęło dokładnie 10 lat od aneksji Krymu przez Rosję i początku okupacji Donbasu. W takich okolicznościach trudno jest o czymś marzyć i cokolwiek planować. To również wymaga siły.

Psychologowie twierdzą, że luty jest prawdopodobnie najtrudniejszym miesiącem dla ludzkiej psychiki, bo jest to trzeci miesiąc zimy. Oprócz tego, że tradycyjnie mało jest słońca, to jeszcze święta były dawno. Dla Ukraińców luty to nie tylko niedobór witaminy D i radości. Niestety, nasz luty nie kończy się z nastaniem marca. Nasz luty skończy się dopiero wtedy, gdy zakończy się wojna z Rosją. A sami, choćbyśmy nie wiem jak twardo walczyli, nie wygramy jej bez pomocy świata, a przynajmniej tej jego części, dla której wolność, demokracja i prawa człowieka są wartościami, dla których warto nie tylko żyć, ale też za nie umierać. ●

Z języka ukraińskiego przeł. **Jacek Świąder**

Z **PAWŁEM KOWALEM***,
PEŁNOMOCNIKIEM DS.
ODBUDOWY UKRAINY,
ROZMAWIA **AGNIESZKA
LICHNEROWICZ TOK FM**

Co dla rządzącej ekipy jest priorytetem w polityce zagranicznej?

– Bezpieczeństwo. Teraz oznacza to superkonkretny postulat: zwiększenie produkcji amunicji w Europie. Takie czasy.

Kraje Unii przekażą Ukrainie zaledwie połowę obiecanego miliona sztuk, więcej nie są w stanie wyprodukować. Co my możemy?

– Symbole mają znaczenie, więc kiedy polski premier jedzie do Berlina i Paryża, gdzie jest wręcz ostentacyjnie dobrze przyjmowany, to w świat idzie sygnał, że Warszawa jest bardziej w grze niż wcześniej. To nas wzmacnia.

Nie chodzi o samozadowolenie. Korzystając z koniunktury, rozwijamy politykę, która umożliwi nam wpływanie i osiąganie celów. Dziś tym celem jest właśnie zmobilizowanie państw unijnych do produkcji amunicji.

Ma pan intensywne kontakty z ukraińskimi politykami. Jakie są tam nastroje po dwóch latach wojny?

– Na pewno jest więcej pesymizmu, również u części ukraińskiej elity. Ale utrzymuje się pełna mobilizacja. Ten, kto dziś zaproponowałby poddanie się, skończy zhańbiony. Koncesje terytorialne są wykluczone.

Rosyjska agresja na Ukrainę trwa już dekadę. Właśnie zaczyna się trzeci rok pełnoskalowej wojny. Czy 2024 r. będzie rozstrzygający?

– Samo tylko utrzymanie status quo na froncie będzie wymagało zmobilizowania całego zapowiedzianego wsparcia europejskiego i amerykańskiego, a na razie z tym drugim jest problem, pakiet utknął w Kongresie. Nic więc nie wskazuje, żeby rok 2024 okazał się pozytywnie rozstrzygający.

A negatywnie?

– A co to w ogóle znaczy – rozstrzygnięta wojna? Można przecież powiedzieć, że rozstrzygnięła się w marcu 2022 r., kiedy Putinowi nie udało się zdobyć Kijowa. Każda wojna rozstrzyga się na polu bitwy, ale kończy przy stole negocyjnym. Z tą też tak będzie. Pytanie, czy już w tym roku i czy rozmowy doprowadzą do przejściowego rozejmu, czy też do układu pokojowego.

Ukraińcy nie chcą tylko rozejmu, bo będzie jedynie przerwą, którą Moskwa wykorzysta do wzmocnienia się przed kolejnym atakiem.

– Jeśli rozejmowi będzie towarzyszyć zmiana władzy w Rosji, to może być korzystny dla Ukrainy. Ale rzeczywistość jest zagrożenie, że do przerwania działań wojennych dojdzie na warunkach niekorzystnych dla Ukrainy, że porozumienie będzie oparte na prowizorycznych rozwiązaniach i odzyskanie terytoriów przez Kijów potrwa długo. Jednak najgorszy wariant na tym etapie nie wchodzi w grę. Nie ma dziś możliwości, żeby ktoś znaczący na Zachodzie poparł układ pokojowy z Rosją uznający zmianę gra-

nic i efektywnie zmusił do czegoś takiego Ukrainę.

Naprawdę nie ma polityków w Europie, którzy chcieliby, by Ukraina zrezygnowała z Krymu czy Donbasu, byle jak najszybciej zapanował święty spokój?

– Uznanie siłowej zmiany granic w Europie byłoby otwarciem nowego rozdziału w dziejach kontynentu. Ci, którzy prowadzą na ten temat jakiegokolwiek dywagacje, nie mają chyba świadomości, do czego to może prowadzić.

Do czego?

– Pierwszy w kolejce do kombinowania przy granicach byłby Viktor Orbán. Od dawna uważam, że istotą jego polityki w Europie Środkowej i Wschodniej jest rewizja granic. A że celem jego polityki wewnętrznej jest utrzymanie się przy władzy jego oligarchii, on diagnozuje, że zmiana granic dodatkowo by legitymizowała jego „wieczne” władanie Węgrami.

Innymi słowy, jest w Europie średniej wielkości państwo, którego obecne przywództwo może mieć żywotny i głęboko zakorzeniony interes, żeby do oficjalnego uznania rosyjskich zaborów nie doszło. Tym państwem jest Polska. Dopóki istniejemy jako poważny podmiot w Europie, to nikt poważny na Zachodzie nie uzna rosyjskich zaborów Ukrainy.

Uznanie aneksji Krymu przetarłoby Orbánowi drogę na Zakarpacie?

– Z perspektywy Europy Środkowej prawne uznanie rosyjskiego zaboru oznaczałoby, że każdy może wystąpić o zmianę granic i jeżeli ma siłę militarną albo jest w stanie zmontować koalicję, może próbować osiągnąć ten cel. Nie mówię tego, żeby straszyć, tylko po to, żeby ostrzec.

Entuzjaści „pokoju z Putinem” zaczęli przekonywać, że sprawa

wa Krymu jest „specyficzna” i „nadzwyczajna”.

– Sprawa Krymu to co najwyżej największy sukces rosyjskiej propagandy. Już mniej po prostu nudzi i słabo mi się robi, jak muszę po raz setny powtarzać, że...

...Rosjanie zajęli Krym w mniej więcej tym samym czasie co Białystok...

– ...a niewiele przed Warszawą, w każdym razie tuż po pierwszym rozbiórze Polski. Nie ma czegoś takiego jak „rosyjskość” Krymu, to kserokopia kremłowskiej propagandy. Krym był rosyjski tylko w takim rozumieniu, że został zajęty przez imperium carów, tak jak wiele innych terytoriów – przykładowo Finlandia, żeby już nie powtarzać o Białymstoku czy o Warszawie. Tym samym wypadł z imperium, kiedy się rozpadło w 1918 r., przez chwilę był nawet częścią ukraińskiego państwa, ale – tak jak wiele innych ziem – został włączony do Związku Sowieckiego. Kiedy w 1991 r. rozpa-

dło się sowieckie imperium, Krym stał się częścią Ukrainy. Rzeczywiście, w czasach sowieckich zaszła tam duża rosyjska kolonizacja, a wcześniej Sowietci brutalnie wypędzili stamtąd odwiecznych mieszkańców półwyspu – Tatarów.

Niepodległa Ukraina przyznała Krymowi pewną autonomię.

– To atut w potencjalnych rozmowach, w przyszłości być może będzie z tym pracować negocjatorzy. Na Ukrainie mówi się nawet, słyszałem to m.in. od lidera Tatarów Krymskich, że Kijów może poszerzyć tę autonomię – już na zasadach dodatkowej autonomii narodowościowej. Kluczowe jest to, żeby półwysep pozostał częścią Ukrainy, tu zmiany nie będzie. Nikt poważny nie uzna aneksji Krymu.

Czy w takim razie w tym roku dojdzie do oficjalnych rozmów rozejmowych?

– To zależy od kilku czynników. W marcu odbędą się wybory w Ro-

sji, o tyle istotne, że otoczenie Putina będzie obserwowało, jakie jest realne poparcie dla władzy. Wynik może przynieść różne konsekwencje: osłabienie Putina, zaostrzenie działań wojennych, ale też większe otwarcie Moskwy na rozmowy, co niektórzy zachodni politycy mogą uznać za korzystne i naciskać na Kijów, by zasiadł do stołu.

Jakie znaczenie dla wojny mają późniejsze, bo czerwcowe, wybory do Parlamentu Europejskiego?

– One są najmniej ryzykowne, nie zapowiada się, żeby doszło do dużych przesunięć w polityce unijnej, instytucje pozostaną w rękach mainstreamu europejskiego. Kluczowe będą oczywiście wybory prezydenckie w USA – one mogą zdecydować o losach tej wojny.

Czy dla pana jest oczywiste, że gdyby wygrał je Trump, to Waszyngton będzie prowadził politykę niekorzystną dla Europy Wschodniej?

– Problemem w przypadku Trumpa nie jest to, że wiadomo, jaką będzie prowadził politykę, ale właśnie to, że nie wiadomo. A jeżeli coś jest szczególnie szkodliwe dla Europy Środkowej, to niestabilność.

Trump niedawno ogłosił, że USA będą bronić tylko części państw NATO, a niektóre Putin może atakować – bo nie wypełniają zobowiązań finansowych. – Część senatorów Republikanów po tej wypowiedzi otrzeźwiała i deklaruje, że sytuacja zabrnęła za daleko. Konserwatywny komentator Marc Thiessen zwracał uwagę, że wypowiedź Trumpa uderza nie tylko w strategiczne interesy Ameryki, ale też po prostu w interesy poszczególnych stanów, gdzie producenci broni i amunicji czekają na uchwalenie przez Kongres wsparcia militarnego dla Ukrainy. Chodzi więc o miejsca pracy i podatki.

Czy ta krytyka wpłynie na republikańskich wyborców? Trudno powiedzieć. Ale oprócz niepewności Trump wprowadza do amerykańskiej polityki coś nawet gorszego – możliwość kwestionowania obecności USA w Europie. A od 1918 r. Europa nie poradziła by sobie bez Stanów. Próba zmiany tej trwającej już ponad 100 lat polityki jest naprawdę groźna. Dla wszystkich. Jak zwraca uwagę Thiessen – późniejsza cena za bezpieczeństwo będzie znacznie wyższa. To Putinowi trzeba zwiększać cenę jego zbrodniczej polityki, a nie sobie podnosić cenę za obronę.

Czy to nie są głębsze trendy w USA? Czy nie wraca stary dobry izolacjonizm? A jednocześnie czy na radykalizującej się prawicy republikańskiej nie wzmacnia się polityczno-psychologiczna bliskość z Putinem – w opozycji do „zdegenerowanej” liberalnej Europy? – Izolacjonizm nie jest niczym nowym w amerykańskim milieu, problem polega na tym, że od 100 lat nigdy nie powrócił z takim natężeniem jak teraz, gdy może się stać głównym nurtem.

Ile jeszcze potrwa wojna? – Jeszcze pół roku temu wydawało mi się, że skończy się w 2024 r., ale wówczas nikt nie przewidywał, że będzie tak duży problem z amerykańskim wsparciem. Jeśli wygra

Trump i postawi na twardy izolacjonizm, to Europa będzie musiała uzyskać jakiś poziom autonomii strategicznej, albo przynajmniej mikroautonomii, bo w pełniejszą autonomię strategiczną słabo wierzę.

Polityka izolacjonistyczna Trumpa to zagrożenie dla Ukrainy i Polski. Ostatnie 100 lat nauczyło nas, że zachodnie gwarancje bez Ameryki nam nie wystarczą. Ta lekcja wzmocniona dzisiejszą wiedzą o technice wojskowej nakazuje pilnować sojuszu transatlantyckiego, dbać o gwarancje amerykańskie i mieć armię.

A jeśli Trump zostanie prezydentem, ale nie będzie forsował izolacjonizmu?

– Jeśli wojna nie skończy się w tym roku, a w USA górę weźmie opcja wspierająca Ukrainę – czyli wygra Biden albo wpływ odzyskają Republikanie o poglądach neoreaganowskich – to przyszłość wojny będzie zależała od tego, czy Putin utrzyma się u władzy. Na froncie będzie mniej więcej, jak jest. Jak w I wojnie światowej, walka pozycyjna na wyczerpanie będzie trwała do załamania się którejś ze stron.

Scenariusz „Biden albo trzeźwi Republikanie” oznacza zwiększenie pomocy dla Kijowa?

– Więcej, oznacza, że Ukraina dostaje jakąś wunderwaffe. To mogłyby być rakiety dalekiego zasięgu, np. niemieckie taurusy. Lecz w tym pozytywnym scenariuszu Ukraina musi też przeprowadzić z sukcesem mobilizację, a Unia – zwiększyć produkcję amunicji.

To jest możliwe. Plan pewnej autonomii, czyli wzmocnienia przemysłu obronnego na Starym Kontynencie, jest realistyczny. Kluczowe jest to, czy Unia Europejska zdoła zintegrować produkcję broni w taki sposób, by zwiększyć swoją niezależność. Natomiast nie warto roztaczać wizji wielkiej autonomii strategicznej. W poczuciu rzeczywistości, ale też mając świadomość, że problem z autonomią strategiczną polega na tym, że sensowne intencje są tylko kroczek od gaulizmu.

Na pisowskiej prawicy słychać głosy, że Polska nie ma się czego bać, bo Trump zaatakował jedynie tych, którzy nie dają 2 proc. PKB na obronność. A my już wydajemy prawie dwa razy więcej.

– Państwa europejskie powinny płacić więcej, to oczywiste, ale Trump instrumentalizuje tę kwestię, sednem jest jego antyniemiecka i antyfrancuska polityka.

Obawiam się nawet, że wywiad Tuckera Carlsona z Putinem był przełomem i będziemy o nim czytali w podręcznikach do historii, tak jak w podręcznikach Związku Sowieckiego czyta się, że pierwszego wywiadu „Literaturnej Gazietie” udzielił kardynał Glemp, co było jednym z sygnałów otwarcia Sowietów. Mam obawę, że wywiad Carlsona też okaże się momentem otwarcia dla Putina drzwi na Zachód.

To była duża operacja specjalna, której istotą było przemycenie historyjek Putina na Zachód. Wiemy, że Putin jest jak Stalin – nie snuje tych opowieści dlatego, że jest starszym dziadkiem, który pali fajkę i się zagadał o historii. Każda jego sfalszowana opowieść

Dopóki Polska istnieje jako poważny podmiot w Europie, to nikt poważny na Zachodzie nie uzna rosyjskich zaborów Ukrainy

Wybory prezydenckie w Rosji będą o tyle istotne, że otoczenie Putina będzie obserwowało, jakie jest realne poparcie dla władzy

Problemem z Trumpem nie jest to, że wiadomo, jaką będzie prowadził politykę, ale to, że nie wiadomo

Putin jest jak Stalin – nie snuje tych opowieści dlatego, że jest starszym dziadkiem, który pali fajkę i się zagadał o historii

Ukraińska próba omijania rządu w Warszawie i rozmawiania wyłącznie z Komisją Europejską była problematyczna. Obowiązują pewne zwyczaje

Do Republikanów dociera, że Trump uderza w interesy poszczególnych stanów, producentów broni i amunicji. W miejsca pracy i podatki

Poza kompletnymi autarkiami, nie jest znany przypadek ciągnięcia gospodarki wojennej przez dekadę lub więcej. Rosję czekają kłopoty

historyczna jest próbą uzasadnienia kolejnego zaboru.

Trudne do przyjęcia są wypowiedzi polityków PiS-u, którzy powtarzali za Trumpem dyrdymały, że gdyby Biden nie został prezydentem, to Putin by nie zaatakował. Rozumiem, że takie głupoty może opowiadać jakiś polityk z zachodniej Europy, który słabo zna historię Imperium Rosyjskiego, ale to polscy politycy najwyraźniej nie rozumieją, że gwałt jest istotą tego imperium, a pierwszą kandydatką na ofiarę jest od 200 lat Polska.

Z czego wynikają takie wypowiedzi polityków obecnej opozycji?

– Dla nich ważniejsze jest, że w Trumpie upatrują szansy na odbudowę osi, do której Kaczyński na szczęście nie zdążył doszusować. Chcieliby powstania czegoś w stylu osi Erdogan – Trump – Orbán. Ubocznym produktem takiego zbliżenia będzie jednak jakiś parasol nad Putinem i to okazuje się dla nich do przyjęcia. To bardzo niepokojące.

Wśród części polskiej prawicy od początku XIX w. krąży szalone złudzenie, czasem przedstawiane prymitywnie, czasem w sposób niesłychanie inteligentny jak u Stanisława Stommy, że jeżeli my nie będziemy prowadzili polityki wschodniej, to Rosja zostawi nas w spokoju. Nie jest jednak znany żaden taki przypadek przez ostatnie 200 lat.

Walka Ukrainy ma kluczowe znaczenie dla polskiego bezpieczeństwa. A jakie znaczenie Polska ma dla Ukrainy?

– Wszelakie – jako państwo sąsiadujące i do tego duży kraj. Polska jest potencjalnie partnerem w tysiącach przedsięwzięć, jest członkiem Unii Europejskiej i będzie miała wpływ na proces negocjacyjny.

Przede wszystkim jednak w polityce ważna jest, nie powiem: wdzięczność, ale pamięć. Po 24 lutego Polska jako pierwsza odpowiedziała z pomocą, obozy dla uchodźców nie były potrzebne, większość znalazła schronienie w domach Polaków. Na Zachodzie też wielu ludzi wpuściło by uchodźców do swoich domów, ale oni najczęściej mają dodatkowe kuchnie, łodówki, łazienki. Warunki mieszkaniowe w Polsce są statystycznie znacznie gorsze.

**Ukraińcy widzą jednak, że dziś to Niemcy goszczą najwięcej ukraińskich uchodźców, a z gro-
na państw europejskich Berlin daje najwięcej uzbrojenia.**

– Trzeba Niemcom oddać sprawiedliwość, że dziś zachowują się znacznie lepiej niż wcześniej, w sprawach taktycznych i działaniach średniookresowych dużo się zmieniło, i dobrze. Nie zmienia to faktu, że urząd kanclerski wciąż blokuje to, co mogłoby zmienić los tej wojny, czyli dostarczenie taurusów. Niemcy nie są też wciąż gotowe na szybkie rozszerzenie Unii.

W Polsce jest coraz więcej obaw w związku z wejściem Ukrainy do Unii.

– Problemy są i będą, to normalne, że bronimy naszego rynku przed nadmiarem niektórych produktów, powinniśmy to robić, sam się w to angażuję. Ale Polska na ukraińskiej akcesji bardzo skorzysta. Polski biznes zdobędzie doświadczenie w ku-

powaniu, magazynowaniu i przetwórstwie ukraińskich produktów, a potem ich sprzedawaniu. Przejdziemy tę samą „handlową” drogę, którą przy rozszerzeniach przeszła na przykład Holandia. Musimy tylko przygotowywać się do skorzystania z tej historycznej okazji, a doraźnie bronić zagrożonych branż.

Polska zyskuje też na ekspansji na ukraiński rynek. Obyśmy tylko się tak nie pospierali o taktyczne kwestie, że Ukraińcy nie będą chcieli kupować polskich produktów.

W Sejmie widzę, że niektórzy posłowie uważają, że proces wprowadzania Ukrainy do Unii przyniesie same straty, nie dostrzegają korzyści, choćby właśnie w przetwórstwie i handlu.

Natomiast po stronie ukraińskiej widzę problematyczną kulturę negocjacji. Wszystkim znajomym Ukraińcom powtarzam, że negocjacje będą polegały na tym, że Polska albo inne państwo będą nieustannie przedstawiać swoje stanowiska i walczyć o swoje interesy, na tym polega negocjowanie wejścia do Unii. Odpowiadanie na każde żądanie negocjacyjne Zachodu: „Nie możecie nam tego robić, bo trwa wojna”, to nie będzie efektywna strategia.

Nie było jeszcze negocjacji akcesyjnych z państwem prowadzącym wojnę obronną.

– Każdy zachodni negocjator wie, że to nie są negocjacje na najbliższe dwa lata, jest świadomość, że amunicja jest potrzebna na teraz, ale jeśli chodzi o dostęp do wspólnego rynku, standardy sanitarne czy ekologiczne – to już podlega normalnej procedurze negocjacji akcesyjnych. Protesty czy blokady rolników też są elementem tego procesu. Ukraińcy muszą efektywnie negocjować w tych sprawach, a nie tylko powtarzać, że jest wojna, i żądać, by to partnerzy czynili koncesje. Oczywiście tego rodzaju metoda negocjacji bywa efektywna, ale raz czy drugi i przestaje działać. Czasem, kiedy słucham niektórych ukraińskich polityków, to mam wrażenie, że oni uznają taki typowy proces negocjowania za działanie antyukraińskie.

Po kryzysach – zbożowym i transportowym – polsko-ukraińskie rozmowy twarzą w twarz są trudniejsze?

– Od początku przekonywałem, że trzeba Ukraińcom jasno nasze stanowisko wyłożyć, tak żeby nie było wątpliwości – i moim zdaniem to się udało. W ukraińskim rządzie jest parę osób, które dobrze znają regulacje unijne i uznały, że wystarczy pojechać do Brukseli, by sprawę rozwiązywać. Ale politycznie to nie wystarczy, trzeba poważnie po- traktować sąsiadów.

Domyślam się, że odnosi się pan do wiceministra rolnictwa Tarasa Kaczki.

– Nie powinien był publicznie tak ostro się wypowiadać. Mam świadomość, że był zaangażowany w dialog polsko-ukraiński, zakładam, że jeszcze będzie, i uważam, że byłoby lepiej, gdyby tak poważni politycy jak Taras Kaczka powstrzymali się od tak ostrych wypowiedzi. Ja się powstrzymuję. Politycy powinni unikać reagowania na każdy kryzys, jakby się świat kończył albo doszło do politycznej zdrady. Kryzysy są naturalną częścią relacji między państwowych, pojawiające się pro-

blemy trzeba po prostu rozwiązywać. W obu krajach rozgrywa się wewnętrzna polityka, ale relacje polsko-ukraińskie zależą również od odpowiedzialności grupy osób, które są w nie zaangażowane i nie dodają za każdym razem do pieca.

Oczywiście, wojna oznacza, że ludzie są zdenerwowani, jest więcej traumy i jest większa skłonność także wśród ludzi opiniotwórczych do tego, żeby za dużo powiedzieć. Do tego wszyscy mają dostęp do tych diabelskich urządzeń, jakimi są dawny Twitter i inne media społecznościowe.

Brak zrozumienia jest po obu stronach. Na przykład, czy my w Polsce rozumiemy, jakie dla Ukrainy i Ukraińców są konsekwencje blokowania granicy albo wysypywania ukraińskiego zboża?

– Uważam, że w Polsce również niszczenie żywności, a już szczególnie zboża, powinno pozostać tabu. Zapewniamy rolników, że rozumiemy ich żądania, jeśli trzeba, sam jestem gotów negocjować w ich imieniu, ale nawet jeśli na Zachodzie protestujący wysypują zboże, to w Polsce nie powinniśmy tego robić, apelowałbym o to do każdego rolnika polskiego. Moje babcie i moi dziadkowie spod Rzeszowa nie mogliby na to patrzeć. U nas tak się nie robi. Nie muszę cytować argumentów z Ukrainy, gdzie jest pamięć o Wielkim Głodzie, wystarczy, że pochodzę z Podkarpacia, z tamtejszej wsi, i jako dzieciak nauczyłem się szacunku dla ziarna i dla chleba. Z różnych powodów historycznych – to też jest nasze uwarunkowanie kulturowe i warto przy tym zostać.

Oczywiście rolnicy mają prawo protestować, a rząd ma obowiązek ich wspierać i bronić poszczególnych branż. Ale ja mam też obowiązek informować opinię publiczną, że rozszerzenie będzie całościowo korzystne dla Polski. Powinniśmy wyciągać wnioski z doświadczeń państw zachodnich, Francji, Niemiec czy Holandii, które mimo turbulencji i problemów skorzystały na kolejnych rozszerzeniach.

Przyjąłem też taką zasadę, że ponieważ zajmuję się Ukrainą i nikt chyba nie ma wątpliwości, że jestem za wspieraniem militarnym sąsiadów, to nie mogę być nie-szczery wobec Ukraińców. E-kolejka, którą wprowadzili na granicy, była niekorzystna dla polskich przewoźników i Ukraińcy powinni ją dostosować także do naszych potrzeb – są powody, by polscy przedsiębiorcy działający na styku z Ukrainą czuli się komfortowo i bezpiecznie. Poza tym z naszej perspektywy problematyczna była próba omijania rządu w Warszawie i rozmawiania wyłącznie z Komisją Europejską. Obowiązują pewne zwyczaje polityczne i żadne państwo nie chce być pomijane, szczególnie jeśli już jest w Unii.

Jaka będzie rola pełnomocnika ds. odbudowy, na którego został pan mianowany?

– Szczegóły tego stanowiska jeszcze są dopracowywane. Ale gdy dzisiaj mówimy o obudowie Ukrainy, mamy na myśli znacznie szerszej zakrojoną aktywność. Chodzi o rozwiązywanie pojawiających się kryzysów i uchronienie w relacjach polsko-ukraińskich dobrych emocji, które się narodziły po 24 lutego 2022.

Czyli kryzys zbożowy i dotyczący przewoźników spadnie właśnie na pełnomocnika?

– Nie, pełnomocnik nie będzie zastępować ministrów, nie byłoby to efektywne, żeby za ministra infrastruktury organizował budowę dróg albo za ministra rolnictwa negocjował na granicy. Zadaniem pełnomocnika jest mobilizowanie i zachęcanie, on i jego zespół powinni widzieć relacje całościowo. Z perspektywy administracji państwowej relacje polsko-ukraińskie, szczególnie w warunkach wojny, można porównać do integracji europejskiej, wątki ukraińskie dotyczą niemal każdej działki, są również w agencji kosmicznej i w Ministerstwie Kultury.

Czyli to bardziej pełnomocnik ds. Ukrainy.

– Do spraw relacji z państwem, które jest w szczególnej sytuacji, bo prowadzi wojnę obronną i wymaga szczególnej uwagi.

Są dwie liczby, które dobrze opisują to, co się dzisiaj dzieje w Europie Środkowej. Premier Polski w exposé 35 razy wymienia słowa: Ukraina, Ukrainki lub Ukraińcy, w pozytywnym świetle. Putin w wywiadzie dla Carlsona 34 razy mówi: Polska, zazwyczaj negatywnie. Wygra to 35 Tuska, bo za tym stoi pozytywny plan, nie resentment, ale gotowość do działania.

Czy Polska powinna wyjść naprzeciw władzom w Kijowie i deportować mężczyzn obywatelstwa ukraińskiego w wieku poborowym?

– Są różne sposoby, żeby zachęcać albo jakoś tę mobilizację subtelnie wspierać, ale nie możemy wykonywać zadań, które są istotą działania państwa ukraińskiego. Wiem, że może niektórzy uważają nawet, że Polska sama powinna prowadzić mobilizację wśród Ukraińców, którzy u nas mieszkają, ale przecież nikt nie będzie wywoził ich do ich kraju. Poza tym do wygrania wojny potrzebne są zapal i gotowość do walki. Nie sądzę, żeby siłowe zaangażowanie państw Unii na tym polu mogło być efektywne.

Jak długo demokracja ukraińska może wytrzymać w warunkach wojny?

– W czasie wojennej mobilizacji całkowicie normalne życie polityczne, a więc ostra dyskusja o wszystkim i ostra krytyka, jest bardzo trudne. Ale Ukraina ma naprawdę mocny demokratyczny gen. Dyskusja polityczna się toczy na tyle, na ile to jest możliwe w czasie wojny.

Ukrainę i jej demokrację może wesprzeć proces wchodzenia do Unii. Negocjacje akcesyjne wymuszają przyjmowanie standardów i szybkie dostosowanie. Ten proces aktywizuje niezliczonych urzędników, kraj zamienia w swoiste mrowisko, w którym jest cały czas coś do zrobienia.

Co dziś składa się na naszą politykę wobec Rosji?

– Dobra polska polityka wschodnia zawsze zaczyna się na Zachodzie. Albo innymi słowy, zawsze zaczyna się w Hotelu Lambert u księcia Adama Czartoryskiego. Efektywna polityka wobec Rosji oznacza: wsparcie wojenne dla Ukrainy, utrzymanie tego wsparcia na Zachodzie, wciąganie w sprawy wschodnie Unii i rozwijanie relacji NATO z przynajmniej trzema państwami: Ukrainą, Mołdawią i Gruzją.

Do tej listy należy dopisać nowy element – aktywność w Azji Środkowej. Jeśli Zachód nie dogada się z Kazachstanem, a potem z całym regionem, to tam nie zostanie pustka strategiczna, tylko wzmocnią się Chiny.

Nie mamy żadnej możliwości albo ambicji wpływać na sytuację w samej Rosji?

– Mamy tradycyjne instrumenty, czyli wspieranie rosyjskiej opozycji na Zachodzie, co wbrew pozorom ma wpływ na sytuację wewnętrzną. Możemy też prowadzić politykę prometejską, czyli wspierać ruchy odśrodkowe w Rosji, szczególnie na Kaukazie Północnym. Dodatkowo mocne wsparcie Armenii czy Gruzji będzie oknem wystawowym Zachodu na Kaukaz Północny.

Czy zabicie Aleksieja Nawalnego zmobilizuje rosyjską opozycję? Albo Zachód?

– Dla mnie Nawalny jest bohaterem. Wiem, że kiedyś miał imperialne poglądy, ale potem zrewidował stanowisko. Zdecydował się wrócić do Rosji nie po to, by go Putin zabił. Chciał być blisko, gdyby coś się działo. Znał ryzyko. Takie postawy w polityce inspirują – boję się bardzo o życie mojego przyjaciela Władimira Kara-Murzy, który też wrócił i też jest za kratami.

Zabicie Nawalnego kompromituje operację Tuckera Carlsona i to jest chyba największe szcześnie w tym nieszczęściu. Dodatkowo pewnie wpłynie na konsolidację rosyjskiej emigracji: środowisk Chodor-

kowskiego, Kasparowa, współpracowników Nawalnego.

Czy Zachód jest gotowy na bardziej aktywną politykę w tym zakresie?

– Po 24 lutego 2022 wydawało się, że tak. W ostatnich latach dość często jeździłem do USA i w drugiej połowie tamtego roku wydawało mi się, że ta dyskusja przebiła się do elit w Waszyngtonie, było poczucie, że Putin jest słabszy.

W 2023 r. nastroje opadły, Ukraińcy nie zdołali przeprowadzić skutecznej kontrofensywy, a zachodnie wsparcie osłabło.

– Nie było wielkich sukcesów, ale też – to najważniejsze – nie było wielkich strat. Ukraińcy przetrzymali 2023 r., bardzo zmodernizowali armię, tyle tylko, że rok 2022 przyzwyczail Zachód do zwycięstw – były aż trzy, pod Kijowem, Chersoniem i na Charkowszczyźnie.

Rok 2024 zaczął się od ostrzeżeń płynących m.in. z niemieckiego resortu obrony o możliwym rosyjskim ataku na państwo europejskie, jedni szacują, że za dwa-trzy lata, inni – że pięć-osiem lat.

– Czy trzeba powtarzać, że Rosja jest groźna i że jeśli wojna pozostanie bez rozstrzygnięcia, to Moskwa w ciągu kilku lat tylko się dozbroi? Ukraińcy mają dzisiaj w wojsku około miliona ludzi, na froncie jest prawie 300 000, kluczowe jest powodzenie mobilizacji, Kremlowi jest w tym zakresie dużo łatwiej. Jestem sceptyczny wobec taktyki niektórych polityków na Zachodzie, która polega na prognozowaniu rosyjskiego ataku.

Chyba dobrze, że także na Zachodzie rozumieją zagrożenie ze strony imperialnej Rosji?

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Jasiński*

Żądamy amunicji

*Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier,
Tu u nas nikt nie płacze w walczącej Warszawie:
Tu się Prusakom siada na karkach okrakiem
I wrogów gołą garścią za gardło się dławi.*

*A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej,
Że w dymie pożarów niszczyje Warszawa,
A my tu nagą piersią na salwy armatnie,
Na podziw wasz, na śpiewy i na wasze brawa.*

*Czemu żałobny chorał śpiewacie wciąż w Londynie,
Gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto?
U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta
I małe dzieci walczą, i krew tu dumnie płynie.*

*Halo! Tu serce Polski! Tu mówi Warszawa!
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!
Nam ducha starczy dla nas i starczy go za was!
Oklasków też nie trzeba! Żądamy amunicji!*

***Zbigniew Jasiński** – 1908-84, poeta, dziennikarz. W młodości zawodowo związany z morzem, autor utworów o tematyce morskiej. Walczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Żołnierz AK, w czasie powstania warszawskiego redaktor rozgłośni Błyskawica. Autor wierszy powstańczych, z których najstynniejszy jest powstały w sierpniu 1944 r. wiersz-apel „Żądamy amunicji”. Po upadku powstania więziony w obozie jenieckim Sandbostel. Po wyzwoleniu dotarł do Londynu, od 1952 r. mieszkał w Australii. Publikowany przez nas wiersz wykorzystała grupa Lao Che na albumie „Powstanie Warszawskie”.

Utwór za antologią Jana Szczawieja „Imię nam Polska”, „Wspólna Sprawa” – Wydawnictwa Oświatowe, Warszawa 1958.

– Urząd kanclerski jest jak zawsze – konserwatywny, działa, ale dopiero kiedy już naprawdę musi, bo jest pod ogromną presją. W Bundestagu jest wielu ludzi, we wszystkich partiach poza Alternatywą dla Niemiec, którzy są przekonani, że trzeba aktywniej wspierać Ukrainę. Natomiast to, co mówi minister obrony Boris Pistorius, w sumie można odczytywać na różne sposoby. Niedawno się z nim spotkałem, on rozumie się z Polakami, jakbyśmy zawsze rozmawiali o polityce wschodniej. Ale pytanie, czy jego publicystyczne wypowiedzi o tym, że Rosja może zaatakować kolejne państwo za dwa-trzy lata, mają za zadanie zmobilizować, czy jednak wystraszyć Rosję.

Na czym polega różnica?

– Kiedy polski polityk ostrzega przed atakiem, to w Polsce zazwyczaj prowadzi to do społecznej mobilizacji. Ale kiedy takie słowa padają w Niemczech czy we Francji, mogą mieć też odwrotny skutek. Celem Rosji jest straszenie. Strach może prowadzić do apasementu, a nie mobilizacji. Z całą sympatią, ale być może lepiej, żeby ludzie postawieni tak wysoko jak Pistorius nie podawali dat ataku, a skupili się przykładowo na motywowaniu Jensa Plotnera, doradcy kanclerza ds. międzynarodowych, i samego kanclerza, żeby szybciej działali w kwestii militarnego wspierania Ukrainy.

Jako historyk, polityk i baczny obserwator sytuacji na wschód od Polski, kiedy czuł pan największe zagrożenie?

– Przez pierwsze trzy tygodnie po 24 lutego 2022. To był jedyny moment w tej wojnie, w którym wydawało się, że nikt nie kontroluje jej potencjalnej skali. Odczuwałem wtedy, że jeżeli jest jakaś stopniowość nieprzewidywalności, to miała najwyższy stopień w moim życiu.

A dziś? Czy Kijów może jeszcze upaść?
– Jeżeli Zachód nie pomoże w tym roku amunicją, to za pięć lat zapłaci znacznie wyższą cenę. W ciągu tych pięciu lat mogłoby dojść do przerwania linii frontu, a nawet nowego ataku na Kijów czy jego oblężenia. Ale to duże miasto z bardzo zmobilizowanymi mieszkańcami, trudno mi sobie wyobrazić upadek stolicy Ukrainy.

Upadek Rosji wciąż może sobie pan wyobrazić?
– Niczego nie jestem tak pewien jak opatrności Bożej i upadku Rosji. Rosja, jaką ją dzisiaj znamy, na pewno się rozpadnie, w takim sensie, że odpadną od niej terytoria. Wiadomo nawet, ile to może trwać – około 10-14 lat, wiem, bo ten model rozpadu imperium jest dobrze przetestowany. Upadało dwa razy w XX w. – między 1905 a 1918 r., a potem od końcówki Breżniewa, czyli powiedzmy między 1978 a 1991.

Badacze, którzy odrzucają możliwość rozpadu Rosji, przekonują, że sytuacja jest dziś inna, bo skolonizowane narody zostały silnie zsowietyzowane i zrusyfikowane.
– Ale przecież motorem poprzednich rozpadów nie był jedynie czynnik narodowościowy. Taka diagnoza jest za bardzo uproszczona. Wpływ miały też zapóźnienie techniczne i ogromne ambicje, szczególnie gospodarcze, lokalnych establishmentów. Jeśli lokalny oligarcha w Buriacji, nawet bardzo zrusyfikowany albo po prostu etniczny Rosjanin, zorientuje się, że polityka rządu centralnego zagraża jemu i majątkowi oraz bezpieczeństwu jego rodziny – to on będzie działał na maksymalne odciążenie regionu od rządu centralnego.
Czy to się skończy wypadnięciem Buriacji z Federacji Rosyjskiej – nie wiem. Wiem na pewno, że na południu Federacji Rosyjskiej wypadną jedne państwa, a inne po prostu będą dużo bardziej autonomiczne.

Imperium weszło w proces kolejnego upadku?
– Dzisiejsze procesy osłabiają Rosję – demograficznie i gospodarczo. Rosja przestawiła się na gospodarkę wojenną i przez dwa-trzy lata będzie dostawała zastrzyk. Ale poza kompletnymi autarkiami nie jest znany przypadek ciągnięcia gospodarki wojennej przez dekadę lub więcej. Rosję czekają więc potężne kłopoty, ten kurs doprowadzi do odpadnięcia pewnych regionów, na przykład na Kaukazie Północnym, oraz do zmiany władzy w Moskwie. To plan minimum. ●



FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Paweł Kowal**

• pełnomocnik ds. odbudowy Ukrainy, poseł KO, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych, profesor Instytutu Studiów Politycznych PAN. Wiceminister spraw zagranicznych w latach 2006-07, przez kilka kadencji wiceszef komisji spraw zagranicznych. Bliski współpracownik Lecha Kaczyńskiego, odszedł z PiS w 2010 r. Znacząca polityki wschodniej, od lat zajmuje się relacjami polsko-ukraińskimi.

Niedawno ukazała się książka „**Spokojnie już nie będzie. Koniec naszej belle époque**” – zapis rozmów Pawła Kowala i Agnieszki Lichnerowicz o niegdysiejszym Międzymorzu, Polsce, Ukrainie i Rosji (dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl).



Chcecie pokoju, dorzućcie się do wojny

Andrzej Lubowski

Putin dziś bardziej niż rok temu wierzy, że czas działa na jego korzyść, że zdola zadręczyć Ukrainę, a wsparcie Zachodu dla Kijowa eroduje. Ci sami amerykańscy politycy, którzy w grudniu 2022 zgotowali Zelenskiemu owację w Kongresie, dziś odwracają się od niego. Przypadek o tyle zdumiewający, że chodzi nie tylko o względy czysto humanitarne, o rzeź w Rwandzie czy czystki etniczne w Serbii, ale też o ewidentny interes narodowy Ameryki.
Spora część Republikanów wydaje się nie rozumieć, że poparcie Ukrainy to najlepsza inwestycja USA, jeśli nie w historii, to na pewno w ostatnim ćwierćwieczu, że zwycięstwo Putina ośmieliłoby wrogów Ameryki, jeszcze bardziej spopularyzowałoby narrację o „upadku Zachodu”, byłoby ciosem dla NATO, zwiększyłoby wpływy Rosji i Chin i ryzyko wojny o Tajwan. Osłabiając Rosję, Ukraina oszczędza Ameryce wydatków na obronę Europy – bez narażania życia Amerykanów. Zwycięstwo Ukrainy pozwoliłoby Stanom Zjednoczonym przeznaczyć więcej środków na rejon Pacyfiku, aby przeciwstawić się Chinom, jednocześnie tworząc warunki pokoju i stabilności w Europie.
A koszty zwycięstwa Rosji w Ukrainie byłyby dla USA ogromne. Wymagałoby ono rozmieszczenia większej liczby wojsk w Europie i wzrostu ogólnych wydatków na obronność.
Bez zdecydowanego wsparcia świata demokracji niemożliwe będzie nie tylko wyzwolenie całego okupowanego terytorium Ukrainy, ale nawet utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania. Rok temu na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium premier Szwecji mówił: „Nie czekajmy, aż będzie za późno”. Premier Estonii wezwała Unię do wspólnego zakupu amunicji artyleryjskiej dla Ukrainy. Tego samego dnia szef polityki zagranicznej UE zapewniał, że tak się stanie. Skończyło się na deklaracjach.
Na tegorocznej edycji tej samej konferencji, zakończonej tydzień temu, duńska premier Mette Frederiksen oświadczyła: „My, Dania, zdecydowaliśmy się przekazać Ukrainie całą naszą artylerię”. Godne uznania słowa, ale duńska artyleria to, umówmy się, kropla w oceanie potrzeb. „Jeśli jakkolwiek rosyjski żołnierz postawi stopę na terytorium NATO, będziemy bronić każdego jego centymetra” – powiedział niemiecki minister obrony Boris Pistorius, który wezwał sojuszników z NATO do wykroczenia poza zobowiązanie wydawania na obronę 2 proc. PKB. To też słowa godne odnotowania. Po warunkiem, że pójdą za nimi czyny.
Z drugiej strony, holenderski admirał Rob Bauer zauważa: „Gdybyście w 1942 r. zapytali w Europie: »Jak przebiega wojna?«, nie sądzę, żebyście znaleźli wielu optymistów. A jednak wygraliśmy”. ●

Cała geopolityczna analiza **Andrzeja Lubowskiego** „Po dwóch latach wojny już wiemy, że ciesząc się sukcesami Ukrainy, widzieliśmy to, co chcieliśmy widzieć” na **Wyborcza.pl/magazyn**

1,16

mld euro

• wydała UE w 2023 r. na obronę, sześć razy mniej niż na europejską administrację publiczną. Na programy „Spójność, odporność, wartości” – 58,6 mld

4

proc.

• o tyle skurczyła się gospodarka Rosji w pierwszym roku wojny. W drugim wzrosła o 4 proc.

100

przeszło 100 mld dolarów miesięcznie

• to suma narodowych budżetów obronnych krajów wspierających Ukrainę. Wsparcie Ukrainy kosztuje te państwa niespełna 6 mld miesięcznie

75

ponad 75 mld dolarów

• wyniosło wsparcie USA dla Ukrainy od początku wojny, z czego 46 mld to wsparcie wojskowe



Pokój już się rozpoczął

Chrześcijanie – szerzej, wszyscy ludzie – muszą zrobić wszystko, co możliwe, aby ratować ludzkie życie

kard. Matteo Zuppi

Jako młody ksiądz usłyszałem z ust św. Jana Pawła II przy okazji wielkiego dnia modlitwy o pokój w Asyżu: „Pokój jest warsztatem pracy otwartym dla wszystkich”. W czasach napięć zimnowojennych i zagrożenia atomowego on wezwał przedstawicieli różnych Kościołów i wielkich religii świata do miasta św. Franciszka na dzień pielgrzymki, postu i modlitwy o pokój. I poprosił o pracę w tym warsztacie, który nie jest przeznaczony „dla specjalistów, uczonych i strategów”; „pokój czeka na swoich proroków i rzemieślników”.

To była odważna wizja dialogu. Jej owocem jest m.in. encyklika papieża Franciszka „Fratelli tutti”.

To było Boże Narodzenie wojny w Ukrainie. 29 grudnia zmasowane, kolejne bombardowanie uderzyło jednocześnie w odległe od siebie miasta: Kijów, Donieck, Dniepr, Charków, Odesę, Zaporże, a nawet Lwów.

Atak, który trwał przez pierwsze dni nowego roku, spowodował śmierć 120 cywilów, 480 było rannych. Uszkodzone zostały setki budynków mieszkalnych, ale też dziesięć przychodni i szpitali, szkoły, centrum handlowe, stacja metra i elektrownie, w wyniku czego – w sezonie, gdy temperatura spadała do 20 stopni poniżej zera – kilka dzielnic ukraińskiej stolicy pozostawało w ciemności, bez wody i ogrzewania. W tym czasie inni świętowali w domach Boże Narodzenie.

Zbliża się smutna, druga rocznica tej wojny. Niektóre liczby pomagają zrozumieć dramat, jakiego doświadczają miliony Ukraińców: od 24 lutego 2022 r. co trzecia rodzina musiała opuścić dom; 6 mln ludzi przebywa w różnych krajach europejskich, około miliona w Polsce; 5 mln to emigranci wewnętrzni.

Możemy wyobrazić sobie cierpienie kogoś, kto stracił wszystko. W Ukrainie liczba ubogich podwoiła się w ciągu dwóch lat, a ONZ twierdzi, że 7 mln Ukraińców doświadcza tej zimny kryzysu żywnościowego. Niestety, międzynarodowe zainteresowanie Ukrainą i pomocą humanitarną dla niej osłabło, tak jakby opinia publiczna zmęczyla się śmiercią innych i wojną, która trwa już tak długo.

Włoski dziennikarz, który poznał światowe konflikty i przez kilka miesięcy był więźniem tzw. Państwa Islamskiego w Syrii, napisał: „Jest to powrót do normalności, a raczej obojętności. Martwi są niewygodni, zwłaszcza gdy jest ich zbyt wielu. Po prawie dwóch latach bezużytecznej i zbrodniczej wojny zaczyna się patrzeć na »konflikt, który zmienił świat« jak na wieczny pożar, z którym nic nie można zrobić, jedynie powstrzymywać jego postępy. Albo jak góral patrzy na śnieg: naturalny żywioł, z którym da się jakoś żyć”.

Śniegu jest coraz mniej, zarówno w Bolonii, jak i w Warszawie... To niepokojące w środku zimy. Ale powinniśmy być bardziej zaniepokojeni tym, że wojna nam spowszedniała. Gdy osoba zmarła staje się liczbą, bo śmierć pięciu osób można sobie wyobrazić, ale 300 tys. już nie, jest to już tylko czysta statystyka.

Nie możemy zaakceptować tego, że ofiary cywilne – które stanowią większość w każdej wojnie – stają się jedynie „szkodami ubocznymi”, jak z bólem zauważył niedawno papież Franciszek.

„Są mężczyźnami i kobietami, z imionami i nazwiskami, którzy tracą życie. To dzieci, które zostają osierocone i pozbawione przyszłości. To osoby cierpiące głód, pragnienie i zimno lub które zostają okaleczone z powodu mocy nowoczesnej broni” – powiedział papież, zachęcając nas do „spojrzenia w oczy” ofiar, do nazwania ich „po imieniu i przywołania ich osobistych historii”, aby zrozumieć, że wojna „jest niczym innym jak ogromną tragedią i »niepotrzebną rzezią«”.

Dlatego warto zejść do schronów w Ukrainie i wsłuchać się w jęki i modlitwy kobiet i dzieci, które spędzają tam noce podczas bombardowań. Spójrzeć na ich twarze, utożsamić się z nimi i poczuć czułość do dzieci, małych, bezbronnych, niewinnych ofiar niesprawiedliwej przemocy. Ich cierpienie wymaga zaangażowania wszystkich, aby mogły znaleźć pocieszenie i ochronę.

We Włoszech jako Konferencja Episkopatu chcemy zaprosić w wakacje dzieci z Ukrainy, by mogły spędzić chociaż trochę czasu we włoskich rodzinach i byśmy doświadczyli tego, czego doświadczyliście wy w Polsce, przyjmując uchodźców.

Jednym z pierwszych przystanków podczas mojej podróży do Ukrainy była Bucza – aby pomodlić się nad masowymi grobami. Wróciłem tam myślami do słów, które Franciszek wypowiedział 8 grudnia 2022 r.:

„Niepokalana Dziewico, chciałbym dziś móc przynieść Ci podziękowania narodu ukraińskiego za pokój, o który tak długo prosimy Pana. Zamiast tego muszę przynieść Ci błaganie dzieci, osób starszych, ojców i matek, młodych ludzi z tej udręczonej ziemi, którzy tak bardzo cierpią”.

Wojna zaraża wrogością i jej strasznymi owocami: nienawiścią, przemocą, śmiercią, torturami, pogardą, zniszczeniem, wysiedleniem, murami. I myśleniem, że my jesteśmy bezpieczni. Leczenie tych ran zabiera miejsce konfliktowi i pokazuje, że możliwa jest inna logika.

Wierzę, że ze złamanego serca papieża Franciszka, co jest przykładem jego uczestnictwa w cierpieniu innych, zrodziła się idea misji humanitarnej. Nie ma żadnego planu ani mediacji ze strony Stolicy Apostolskiej, ale – mówiąc słowami kardynała sekretarza stanu Pietra Parolina – „jest troska papieża, aby stworzyć wszystkie możliwości, dostrzec, usłyszeć i zachęcać do wszystkiego, co może prowadzić do rozwiązania konfliktu”.

Pomimo wielkiego zainteresowania, które towarzyszy jej od samego początku, misja ta odbywa się poza telewizyjnymi talk-show, gdzie wszyscy wszystko wiedzą i nikt nie słucha drugiego. Nie, praca nad dialogiem przebiega z dala od światła reflektorów, w pełnej i owocnej współpracy Sekretariatu Stanu oraz nuncjatur w Kijowie i Moskwie. I przynosi owoce. Oczywiście ciągle zbyt mało.

Myślę o nieletnich, którzy bezpiecznie wrócili do swoich rodzin w Ukrainie. Przypominam historię Bohdana Jermochina, 18-letniego sieroty z Mariupola, który po wywiezieniu do Rosji musiałby odbyć tam służbę wojskową, a zamiast tego, dzięki cierpliwej pracy z władzami rosyjskimi, mógł ponownie uściskać swoją siostrę w Kijowie.

Jego powrót do domu był znakiem konkretnej nadziei, promykiem światła wśród ciemnej nocy. Nadzieja jest obecna nie tylko wtedy, gdy wszystko jest piękne i jasne, ale także wtedy, gdy trzeba zmierzyć się z ciemnością.

Potrzebne są twórcze wysiłki i tylko pasja i miłość mogą nam pomóc je wzbudzić. W Budapeszcie, w kwietniu 2023 r., papież Franciszek mówił: „Zdaje się, że jesteśmy świadkami smutnego schyłku harmonijnego marzenia o pokoju, ustępującego miejsca solistom wojny. Na szczeblu międzynarodowym wydaje się nawet, że efektem polityki jest podburzanie do agresji zamiast rozwiązywania problemów i cofanie się do swoistego wojennego infantylizmu”.

To analiza, która stawia nam pytania, bo dla nas, chrześcijan, pokój nie jest tylko życzeniem, ale rzeczywistością Kościoła, która wyrasta – jako znak pokoju – z Eucharystii i Ewangelii. Kościół i chrześcijanie wierzą w pokój, tym bardziej wśród straszliwej burzy konfliktu.

Podczas II wojny światowej Kościół był pośród ludzi. Ważne jest, aby powtórzyć to na tej ziemi, gdzie tysiące księży, zakonników i zakonnic, a nawet biskupów, przelało krew podczas okupacji hitlerowskiej, broniąc życia i stojąc u boku swoich wiernych.

Przypominam historię Bohdana Jermochina, 18-letniego sieroty z Mariupola, który po wywiezieniu do Rosji musiałby odbyć tam służbę wojskową, a zamiast tego, dzięki cierpliwej pracy z władzami rosyjskimi, mógł ponownie uściskać swoją siostrę w Kijowie

W Kijowie odwiedziłem jeden z ośrodków pomocy humanitarnej dla emigrantów wewnętrznych, otwarty przez Wspólnotę św. Idziego. Jej ludzi znam od lat: byłem poruszony ich odpornością. W ciemnościach wojny i rozpacz podtrzymują światło miłości, oferując konkretne odpowiedzi i stawiając czoła problemom większym niż oni sami. Jesli owocem wrogości jest nienawiść, to owocem solidarności jest pokój.

To właśnie w Kijowie pomyślałem, że pokój już się rozpoczął. A przyjęcie, jakie nasze kraje i europejskie Kościoły zaoferowały m.in. ukraińskim uchodźcom, jest wielką pracą na rzecz pokoju.

Przyjęcie innych może być konkretnym słowem pokoju, prawdziwie ewangelicznym doświadczeniem, bo czyni solidarność możliwą dla wszystkich, rodzi więzi braterstwa i opatruje wojenne rany. Dlatego musimy się skupić na przyjęciu i solidarności.

Chrześcijanie – szerzej, wszyscy ludzie – muszą zrobić wszystko, co możliwe, aby ratować ludzkie życie. Jedną śmierć na Morzu Śródziemnym to porażka wszystkich. Papież Franciszek prosił o zarządzanie wyjątkowym w swej skali zjawiskiem migracji, którego nie powstrzymają zamknięte porty czy mury.

Można zarządzać migrantami, pomagając ludziom pozostać, realizując

projekty rozwojowe w krajach ubogich, ale też pomagając legalnie i bezpiecznie opuścić kraj. Konferencja Episkopatu Włoch promuje korytarze humanitarne, wraz z Kościołami protestanckimi, Wspólnotą św. Idziego i we współpracy z rządem włoskim: z Etiopii, Libii i Nigru, dla uchodźców z Afryki Subsaharyjskiej, dla uchodźców afgańskich z Pakistanu i Iranu.

Potrzebujemy architektury pokoju. I narzędzi, które mogą rozwiązywać konflikty nie za pomocą broni, ale za pomocą prawa, sprawiedliwości, multilateralizmu.

Organy utworzone po II wojnie, np. ONZ, z trudem są nadal punktami odniesienia w skali globalnej. W trudnej sytuacji jest również Unia Europejska, której budowa, owoc dalekowzroczności wielkich chrześcijańskich polityków – De Gasperiego, Schumana i Adenauera – wymagała czasu i poświęceń ze strony wszystkich państw członkowskich.

Jednak w naszych czasach Europejczycy zrobili zbyt mało dla pokoju w kraju, który historycznie i geograficznie jest częścią ich własnego kontynentu.

Modlitwa „jest ukrytą siłą zdolną poruszyć świat”, jak nauczał prymas Wyszyński. Pamiętam te słowa, wypowiedziane właśnie w jego Warszawie, gdzie i ja doświadczyłem zmieniającej mocy modlitwy.

1 września 1989 r. byłem tu na spotkaniu zorganizowanym przez Wspólnotę św. Idziego na zaproszenie kard. Glempa, w 50. rocznicę wybuchu II wojny. Tego roku po raz pierwszy modlitewne spotkanie religii w intencji pokoju, zwołane przez św. Jana Pawła II w 1986 r. w Asyżu, odbyło się poza Włochami, a papież nagrał przesłanie wideo, wyemitowane na pl. Zamkowym:

„50 lat później na ulicach Warszawy rozbrzmiewa już nie echo ciężkich żołnierskich kroków wojsk okupacyjnych, ale lekkich i przyjacielskich kroków pielgrzymów, mężczyzn i kobiet wyznających różne religie”.

Ludzie płakali, bo pamiętali cierpienia II wojny, ale byli pełni nadziei, bo bliskie były zmiany ważne dla Polski i Europy. Na scenie siedzieli obok siebie gen. Jaruzelski i Tadeusz Mazowiecki, który tydzień wcześniej został premierem. Wtedy właśnie solidarność, pokojowe zaangażowanie i modlitwa tak wielu ludzi doprowadziły do pokojowej transformacji.

Jesteśmy wezwani do żarliwej i wytrwałej modlitwy o pokój: módlmy się żarliwie o pokój w naszych kościołach! „Módlmy się gorąco do Boskiego Odkupiciela o pokój. Niech oświeci Swym światłem umysły przywódców narodów, aby zapewniali obywatelom – wraz z należnym im dobrobytem – także i wspanialszy dar bezpiecznego pokoju”. Tak pisał na zakończenie encykliki „Pacem in terris” Jan XXIII. ●

przet. atw

****Wystąpienie kard. Zuppiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Włoch i wystannika papieża Franciszka na Ukrainę, podczas konferencji „Masowe uchodźstwo z Ukrainy w efekcie rosyjskiej agresji. Polski i litewski model recepcji”.** Odbyła się ona 5 lutego na UKSW w Warszawie.
Tytuł – „Wyborcza”

WYPADA SIĘ BACĆ



Strach przed wojną to nie tylko nowa moda, importowana z Zachodu jak wszystkie mody klasy średniej. Oczywiście, że NATO pokona Rosjan. Ale co zdążą zrobić przez te kilka dni w Dyneburgu, Wilnie czy Suwałkach?

Ziemowit Szczerek

Od kiedy w pierwszej połowie stycznia premier Szwecji, naczelny dowódca sił zbrojnych tego kraju oraz szefowie ministerstw obrony i obrony cywilnej ogłosili, że społeczeństwo musi być gotowe na zmianę „teoretycznego spojrzenia na wojnę” na o wiele bardziej praktyczne – w tym duchu wypowiadać się zaczęła cała Europa.

O potencjalnej wojnie coraz częściej mówi się w Niemczech, a rząd Olafa Scholza zdaje się zajmować miejsce Polski w kategorii „najbardziej poświęcający się dla Ukrainy kraj europejski”. Macron w lutym podpisał z Ukrainą dwustronne porozumienie o bezpieczeństwie. Niemiecki minister obrony Boris Pistorius i brytyjski sekretarz obrony Grant Shapps ogłosili, że „świata nie stać na zwycięstwo Rosji”, na co były prezydent Dmitrij Miedwediew wygłosił kolejny nuklearny rant z frazami o „tysiącletnim kraju”, „wielkiej ojczyźnie”,

„ręce”, która nie „drży” nad guzikiem atomowym, oraz „idiotach” z Zachodu.

Skąd ten nagły powrót strachu przed rosyjskim atakiem, który przecież w dużym stopniu zniknął, gdy Rosjanie ugrzęźli na wschodzie Ukrainy? Czy to dlatego, że – podobnie jak Rosjanie – ugrzęźła również ukraińska kontrofensywa i rozpoczęła się ofensywa rosyjska? Czy to dlatego, że Republikanie blokują amerykańską pomoc dla Ukrainy, a mający duże szanse na powrót do Białego Domu Trump ma mocne powiązania z Rosją, podważa sens istnienia NATO i „bezwzględność” użycia artykułu piątego? Ale to wszystko wiedzieliśmy już wcześniej. A więc deklaracja pacyfistycznych Szwedów jak domino uruchomiła podobną reakcję w innych krajach Zachodu? Na zasadzie: „jeśli ci hygge, opanowani i odpowiedzialni Skandynawowie postanowili przypakować, to musi być coś na rzeczy”.

Zbigniew Parafricanowicz, dziennikarz od dawna zajmujący się Ukrainą i autor głośnej insajderskiej książki „Polska na wojnie” o działaniach władz Rzeczypospolitej związanych z konfliktem

zbrojnym tuż za naszą miedzą, twierdzi, że owszem, deklaracja Szwedów, kojarzących się przecież z wyważoną retoryką, mogła się przyczynić do powrotu strachu.

Inna rzecz, że niektórzy serio mają się czego bać. Na przykład Białowie.

– Choć nie wierzę za bardzo w otwartą rosyjską inwazję na NATO – mówi Parafricanowicz – bo Rosjanie umieją liczyć i wiedzą, że są o wiele słabsi, to jednak Putina trudno do końca traktować racjonalnie. Jest hazardzista, więc to, że liczy dywizje, nie znaczy, że się powstrzyma przed uderzeniem w jakiś element NATO. Zresztą raz już to prawie zrobił, czyli próbował wywołać pucz w Czarnogórze, żeby ta do Sojuszu nie przystąpiła. I dalej będzie sprawdzał, gdzie nas może uszczypnąć. Bo co się stanie, jeśli, powiedzmy, będzie próbował wzniecić separatyzm Rosjan na wschodniej Łotwie, w Łatgalii, podobny jak ten w Donbasie w 2014? Co, jeśli wejdą tam „zielone ludziki”? Może się wtedy zacząć dziesięć lat negocjacji i rozważań na temat tego, czy nastąpiła rosyjska interwencja, czy nie, czy zostały spełnione warunki do uruchomienia artykułu piątego NATO.

Natomiast w otwarte uderzenie, twierdzi Parafricanowicz, uwierzyć trudniej. Szczególnie jeśli Putin będzie widział, że się do niego przygotowujemy. Polska nie jest przeciwnikiem łatwym: dużo wydajemy na zbrojenia, jesteśmy stosunkowo gęsto zaludnionym, zwartym etnicznie krajem, w którym wciąż są żywe tradycje obrony przed wrogiem, nie przeważa duch pacyfistyczny.

Jacek Tarociński, zajmujący się w Ośrodku Studiów Wschodnich sprawami bezpieczeństwa, uważa, że powrót narracji o możliwej wojnie ma wiele poziomów.

– Szwecja jest tego częścią, jasne. Ale tam jest specyficzny kontekst, Szwecja musiała odkręcić coś, czego nie musiała robić na przykład Finlandia. Po zakończeniu zimnej wojny poczuła się na tyle bezpiecznie, że rozwiązała wiele formacji wojskowych i zrezygnowała z polityki gotowości zbrojnej. Dziś wraca do zniesionej w 2010 roku obowiązkowej służby wojskowej, stara się o wejście do NATO, już w zeszłym roku zgodziła się na rozmieszczanie wojsk. Przywróciła służbę cywilną, powo-

łała ministerstwo obrony cywilnej, na razie koncentruje się na ludziach z zawodów związanych z energetyką i medycyną, będzie organizować dla nich szkolenia na wypadek wojny i tak dalej.

Ale jednak o wiele ważniejszym powodem powrotu narracji wojennej jest to, że Rosja, po początkowych niepowodzeniach, odtwarza militarny potencjał, remontuje stare czołgi i wyciąga kolejne z przepastnych radzieckich magazynów, produkuje nowe, zwiększa produkcję amunicji, a Zachód głównie koncentruje się na zapowiedziach takiego zwiększenia.

– Pięknym przykładem są Niemcy, którzy cały czas mówią o powiększaniu zdolności produkcyjnej, ale jeśli chodzi o czołgi, to zamówili tylko 18 nowych maszyn – mówi Tarociński.

Niemcy sami produkują czołgi. Polska, która ich nie wytwarza, zamówiła ich, dla porównania, 500: w USA i Korei, bo to dwa ostatnie kraje szeroko pojętego Zachodu, które produkują jeszcze taki sprzęt na szeroką skalę.

Gdy Europa przez lata, nie wierząc i nie chcąc wierzyć w konflikt zbrojny z Rosją, rozbrajała się, Rosja od czasów środkowego Putina, jeśli nie wcześniej, przygotowywała się do wyrównania rachunków z Zachodem po przegranej zimnej wojnie. Którą to klęskę z początku interpretowała nie jako przegraną, ale jako zawarcie przymierza z Zachodem, bo w ten desę mydlili oczy przywódcom odchodzącego do historii ZSRR amerykańscy politycy.

A przynajmniej z rosyjskiej perspektywy mydlili; Putin wielokrotnie w wywiadach, także w tym słynnym, niedawno udzielonym amerykańskiej gwiazdzie altrightowych mediów Tuckerowi Carlsonowi, żalił się, że w początkach rządów na prawdę proponował Zachodowi partnerstwo: wybadywał gotowość na przyjęcie Rosji do NATO, sugerował nowego rodzaju „politykę bezpieczeństwa od Władywostoku po Lizbonę”, ale Zachód rozumiał ją jako zasłonę dymną dla rosyjskiego imperializmu.

Zresztą słusznie, dopuszczenie bowiem Rosji, demokratycznej tylko fasadowo, do współdecydowania o bezpieczeństwie kontynentu oznaczałoby powrót do XIX-wiecznego koncertu mocarstw. A swoją w nim rolę widzi Rosja mniej więcej tak, jak działała w XIX wieku: władza ma być nienaruszalna i święta, nie tylko w Rosji, ale też na całym terenie objętym „systemem bezpieczeństwa”. I gdy ktokolwiek z „małych” społeczeństw czy narodów podnosi na tę władzę rękę, przywódca takiego „systemu” mają przychodzić sobie z pomocą. Tak jak w XIX wieku, kiedy Rosja pomagała Habsburgom tłamsić powstanie Węgrów. Dlatego Putin tak bardzo nie cierpi i boi się „kolorowych rewolucji” i próbuje je dusić, gdzie tylko może, od Ukrainy po Azję Środkową. A tam, gdzie nie może, przynajmniej się za nie mści, jak na Gruzji za prozachodnią rewolucję róż.

Powstania niepodległościowe i suwerenności „małych” narodów są bowiem zamachem na władzę, a ta jest dla Putina, jak dla dawnych carów, nienaruszalna i święta. I Putin jest głęboko przekonany, że żadnej takiej rewolucji Zachód nie dopuściłby u siebie. Dlatego tak bardzo przeżył zachodnie zaangażowanie w ukraiński Majdan: nie dlatego, żeby specjalnie cenił Janukowycza, przeciwnie – gardził nim i wielokrotnie dawał temu wyraz, również w wywiadzie z Carlsonem. Ale z perspektywy Kremla to, że Ukraińcy rewolucyjnym zrywem pozbawili władzy legalnego prezydenta, było policzkiem. Dowodem, że Zachód nie szanuje Kremla jako lokalnego gwaranta bezpieczeństwa.

Wola ukraińskiego ludu nie ma dla Putina żadnego znaczenia, tak jak dla władców XIX-wiecznego Świętego Przymierza nie miały go narodowe aspiracje Wiosny Ludów czy demokratyczne ciągoty własnych poddanych, pragnących stać się obywatelami.

Polska nie jest przeciwnikiem łatwym: dużo wydajemy na zbrojenia, jesteśmy stosunkowo gęsto zaludnionym, zwartym etnicznie krajem, w którym wciąż są żywe tradycje obrony przed wrogiem, nie przeważa duch pacyfistyczny

lami. Ważne jest to, że pod samym nosem Moskwy „zachodnie służby”, o czym przekonany jest Kreml, doprowadziły do konstytucyjnej zmiany władzy. A to dla Putina jest działanie, które można by porównać tylko do tego, czym byłyby dla USA nie tylko popierane, ale wprost spowodowane przez Rosję przewrót i zmiana rządu, powiedzmy, w Wielkiej Brytanii. I to takie, w ramach których Wielka Brytania zapragnęłaby nagle opuścić NATO i przylączyć się do „rosyjskiego NATO”, czyli Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. I mniejsza z tym, że aktualnie ten sojusz jest dysfunkcyjny, bowiem Rosja, która nabija się z NATO za „brak chęci do walki”, sama umywa ręce w sprawie sojuszników, czyli Ormian, którym nie pomogła w ostatnich konfliktach z Azerbejdżanem i raczej nie pomoże, gdy Azerbejdżan zrobi kolejny krok i zażąda nie tylko werbalnie, ale całkiem realnie, za pomocą czołgów, dronów i artylerii, „eksterytorialnego korytarza” do Nachiczewanu.

Słowem: w ramach nowego „koncertu mocarstw” całe polacie Europy wróciłyby pod kontrolę Rosji. W tym również nasza jej część: przed agresją na Ukrainę Putin wyraźnie i głośno szantażował NATO, domagając się wycofania wojsk poza linię rozszerzenia Sojuszu po zimnej wojnie. Czyli w najlepszym razie czekałaby nas finlandyzacja. W najgorszym – los Białorusi.

I warto sobie uświadomić, że właśnie tego chcą – nawet jeśli wierzą, że wcale nie – ci, którzy domagają się ustępstw Zachodu i dopuszczenia Rosji do współdecydowania o losach naszego kontynentu. Nawet jeśli Rosja, jak to widać na Kaukazie, nie jest specjalnie zdolna, by efektywnie wypełniać zadania, do których czuje się powołana.

No dobrze, ale będzie ta wojna czy nie będzie?

– Jeszcze przed atakiem na Ukrainę widać było, że plany Rosji są mocno na wyrost, że nie osiągnie deklarowanych celów – zauważa Parafianowicz. – Nie ma co się więc obawiać, przynajmniej dziś, groźby ataku na NATO. Tym bardziej że nawet jeśli Rosjanie wymęczą korzystne dla nich zawieszenie broni, to będą musieli zostawić tam część wojsk, bo przecież w innym wypadku Ukraińcy szybko by odbili to, co stracili. Więc atak, powiedzmy, na słynny przesmyk suwalski to samobójstwo dla Rosji.

Gorzej z krajami bałtyckimi, pozbawionymi głębi strategicznej, źle położonymi geograficznie, z niespecjalnie imponującą demografią. Tam nawet bez bezpośredniego ataku może się zrobić nieciekawie: ciągle wiszące zagrożenie może spowodować choćby to, że skurczą się zagraniczne inwestycje, bo biznes boi się działać w krajach wiecznie zagrożonych konfliktem.

– Moim zdaniem dzisiejsze napięcie wynika nie z tego, że Rosjanie mogliby pokonać NATO – uważa Tarociński – ale z tego, że jednak mogliby spróbować je zaatakować. Bo na przykład mogliby sami siebie przekonać, że wystarczy napaść na jakiś kraj NATO, a wtedy Sojusz się posypie i zawali. No nie zawali się, ale jednak zginie wielu ludzi.

No właśnie.

Gdy słucha się niektórych polskich analityków, można odnieść wrażenie, że rosyjski atak byłby dla nas, oczywiście, niewygodny, ale niespecjalnie traumatyczny: wojska NATO już tu są, przerzucanie dodatkowych jednostek nie trwałoby długo, relacja sił jest tak bardzo niekorzystna dla

Rosji, że w krótkim czasie oglądalibyśmy upadek jej armii.

Tyle że Rosjanie mogliby przed porażką zająć część terytorium NATO – estońską Narwę, lotewski Dyneburg, litewskie Wilno, polskie Suwałki czy Białystok, a wtedy tam mogłyby dziać się rzeczy podobne do tych, które znamy z Buczy czy Irpinia. A żeby zrozumieć, dlaczego, skoro rosyjscy żołdacy są okrutni wszędzie, akurat Bucza była dla Ukraińców takim szokiem, warszawiacy mogą pomyśleć o Konstancinie czy Otwocku, a krakusi o Wieliczce. – Poszedłem ostatnio na spacer do Konstancina – mówi Parafianowicz. – Jadłem śniadanie w tym centrum usługowym w odpacykowanej Starej Papierni, patrzyłem na tych wszystkich ludzi w jasnych dresikach i myślałem, że to przecież im, jakby co, Rosjanie strzelaliby w plecy, tak jak w Buczy: ludziom z nieosłoniętych przedmieść.

Więc trudno się dziwić, że bić się czy nie bić, kiedy uciekać, dokąd uciekać, co spakować, znów, jak w lutym i marcu 2022, stało się tematem rozmów klasy średniej na bifikach, afterkach i przy biurowych automatach z kawą. Niby tylko teoretycznych, niby z autoironicznym przymrużeniem oka – no ale nam jeszcze łatwiej niż Szwedom czy Holendrom wyobrazić sobie umierających pod gruzami ludzi, z którymi klócimy się przy kolacji świątecznej, z którymi mijamy się w garażu podziemnym i z którymi przepychamy do automatycznej kasy w osiedlowej Biedrze. Bo te zawalone bloki, które oglądamy na zdjęciach z Kijowa czy Charkowa, mają doskonale nam znane kształty i kolory.

Więc nie trzeba jechać do Ukrainy, żeby rozumieć, że wojna odciska się nawet na miastach położonych z dala od frontu. Bo wojna to nie tylko ostrzały i naloty. To tak zwani wewnętrzni uchodźcy latami żyjący w tymczasowych pomieszczeniach, próbujący pozbierać rozsypane w gruzy życia. To zrujnowane, a jednak, mimo wszystkich patologii, dające ludziom chleb zakłady i zakładziki tych wszystkich januszy biznesu, z których tak chętnie szydzimy. To brak prądu, a często i wody w kranach, to starzy ludzie – bo młodszy, bardziej mobilni i obcy, chętniej uciekają za granicę – wnoszący pięciolitrowe baniaki na dziesiąte piętro bez działającej windy. To ogrzewanie włączające się od czasu do czasu i siedzenie po ciemku we własnym mieszkaniu, w kurtce, rękawiczkach i czapce, i zastanawianie się, czy tej nocy uda się naładować baterię w telefonie, żeby sprawdzić wiadomości i co słychać u bliskich.

To codzienna godzina policyjna i wojskowe checkpointy na drogach. To uzbrojona policja mająca o wiele więcej praw niż ta dzisiejsza i o wiele bardziej spięta niż dzisiejsza, też przecież nie pluszowa. To wszechobecna szpiegomania i zaostrenie debaty publicznej do skrajności: oskarżanie o zdradę każdego, kto mógłby mieć na jakiś temat mniej popularne zdanie. To brak możliwości wyjazdu zdolnych do służby wojskowej obywateli poza granice kraju (na których, oczywiście, przywrócone są restrykcyjne kontrole). Do tego krach gospodarczy i zastój inwestycyjny, czyli, po ludzku, zwykła bieda. Nawet samo liźnięcie przez wojnę to koniec wielu światów.

W odstraszeniu nie chodzi więc tylko o to, że pokonamy Rosję – mówi Tarociński. – Chodzi o to, żeby Rosji nie wpadały głupie rzeczy do głowy. No a poza tym, niestety, jest broń atomowa. Bo jeśli oni nas zaatakują, a my odpowiemy, to bardzo szybko ta natowska odpowiedź może zagrozić istnieniu samej Federacji Rosyjskiej, a wtedy Rosjanie mogą użyć atomu. I w odstraszeniu chodzi właśnie o to, żeby do tego nie doszło.

Więc cóż: ten powrót do rozpatrywania możliwości wybuchu wojny ma charakter mobilizacyjny. Rosja nie zaatakuje, jeśli będzie wiedziała, że strategia straszenia NATO i doprowadzenia do jego szybkiego

Putin wielokrotnie żalił się, że w początkach rządów naprawdę proponował Zachodowi partnerstwo: wybadywał gotowość na przyjęcie Rosji do NATO, sugerował nową „politykę bezpieczeństwa od Władywostoku po Lizbonę”

rozpadu przez szybki i efektowny atak nie ma szans.

Oczywiście, że w krajach NATO są problemy. Bo, jak przypomina Tarociński, taka na przykład Bundeswehra jest w niespecjalnie dobrym stanie, z 70 śmigłowców, które ma, działają bowiem może ze cztery. Co, inna sprawa, jest efektem nie tylko autentycznych zaniedbań, ale również biurokracji, bo w Bundeswehrze, jeśli jakiś sprzęt w sumie działa, ale ma drobne usterki, to używanie go jest bezprawne, więc się go nie używa. Francja z kolei ma wiele dobrych lekkich jednostek, ale to nie jest armia na wschód Europy, gdzie na polach po horyzont potrzebne są czołgi i artyleria.

Niemcy jednak nadrabiają stracony czas, inne kraje NATO się zbroją, natowskie wojska ustawiają się na flance wschodniej w obronnych pozycjach, analizowane są potencjalne warianty wydarzeń, ćwiczone na ich realizacja.

– Tym razem nie będzie tak, że Rosja zaatakuje, a NATO się będzie zastanawiać – mówi Tarociński. – Na szczycie w Wilnie już zostały uzgodnione konkretne plany. Teraz przygotowuje się plany ewentualnościowe, czyli opracowuje konkretne scenariusze. I wszystko ćwiczone jest właśnie teraz, w ramach trwających właśnie manewrów Steadfast Defender 24.

W ćwiczeniach bierze udział ponad 90 tysięcy żołnierzy ze wszystkich krajów NATO. 18 tysięcy brytyjskich, 15 tysięcy polskich, 10 tysięcy niemieckich, 5 tysięcy holenderskich itd. Już ćwiczą przerzucanie wojsk przez Polskę do krajów bałtyckich (to stąd na naszych autostradach tyle pojazdów wojskowych), do Norwegii czy Rumunii, na całą wschodnią flankę. Zaraz ćwiczyć będą pokonywanie przeszkód terenowych, desant morski i powietrzny oraz, oczywiście, działania Sił Odpowiedzi NATO: jednostek stworzonych po to, by mogły jak najszybciej reagować w przypadku nagłego zagrożenia któregoś z państw członkowskich.

Tylko że to wszystko trzyma się ponoć kupy dzięki Amerykanom. Lata amerykańskimi ciężkimi samolotami transportowymi, łączy się dzięki amerykańskiej technologii, przygląda się, co dokąd przemieszcza się po rosyjskim stepie i z jakich rosyjskich fabryk wyjeżdża, dzięki amerykańskim satelitom – mówię Parafianowiczowi. Innymi słowy, co będzie, jeśli prezydentem zostanie Trump. Który widzi NATO jako biznesowy klub państw

zrzucających się na płatną ochronę wojskową USA i szantażuje jego członków, że jeśli ktoś nie będzie „dokonywać wpłat”, to Rosja może z nim zrobić, cokolwiek jej się podoba, a on będzie jeszcze ją do tego zachęcał.

– Niby udało się w trakcie poprzedniej kadencji przekonać Trumpa, że NATO jest jakąś wartością, i przypomnijmy, że to on pierwszy wysłał Ukrainie javeliny i zwiększył obecność wojskową USA w Polsce – mówi Parafianowicz. – Ale jednak dziś wydaje się o wiele bardziej rozżalony na amerykańskie państwo, na polityczny mainstream, wystarczy spojrzeć, ile ma spraw w sądzie. Ile na nim ciąży zarzutów – tyle mniej więcej ma do tego państwa pretensji.

Więc to wszystko prawda, co słyszymy od ekspertów – że jeśli NATO nie udzieli państwom swojej wschodniej flanki pomocy, to będzie się mogło samo rozwiązać, bo straci całkowicie wiarygodność. Na całym świecie, nie tylko dla Tajwanu, ale też dla innych sojuszników, od Japonii po Australię.

Tylko co, jeśli Trump nawet nie okaże się z założenia antysystemowy, ale po prostu uzna, że temat go nie interesuje? Na Bidena można liczyć, on zna głębię i stopień komplikacji amerykańskich interesów, jest cały zanurzony w „głębokim państwie”. Ale co, jeśli wygra Trump i nie „głębokie państwo” go będzie obchodziło, tylko prosty rachunek strat i zysków?

Prezydent Duda uspokaja, że on zna „prezydenta Trumpa”, że z nim współpracował i jego słowa o tym, że nie będzie bronił tych członków NATO, którzy niełożą odpowiednio wiele na obronę, „nie dotyczą Polski”, my bowiem wykładamy wymagane 2 procent budżetu. Tylko jeśli Trump faktycznie pozostawi poza NATO Niemcy, Francję, Hiszpanię, Włochy, Portugalię – bo abstrakcyjne niedociągnięte 2 procent na obronność to właśnie te kraje – to będzie to samo NATO co dziś, zdolne do skutecznej obrony? Okej, może Hiszpanie i Portugalczycy nie są zbrojną potęgą, a bez ich logistyki i dostaw sobie poradzimy. No to wyobraźmy sobie, że z poligonów, na przykład w Drawsku Pomorskim, nagle odjeżdżają Niemcy, Francuzi, Włosi. Kto zostaje, żeby zatrzymać Rosjan dalej niż przedmieścia Wilna, Suwałk i Białegostoku? ●

„Tatuaż z tryzubem” i „Wymyślone miasto Lwów”, czyli Szczerek opisuje Ukrainę od środka. Książki dostępne na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booków na Publio.pl.

Awdijiwka

Czasami czwórkami idą
A bywa że pełnym legionem
Żołnierze
Dziś z Awdijiwki
I pięknie będzie pisał poeta
I płakać będą pięknie dzieci
Na rocznicowych fetach

Bandyci czynią to co powinni
Taka bandytów natura
To wielcy świata tego są winni
Że krwią ocieka literatura

Bo gdzieście byli
Coście zrobili
Złożono obietnice i wieńce
Byle tym sobie nic nie zaszkodzić
Byle nie zrobić nic więcej

A kiedy przyjdą po nas bandyci
Poeta naszą krwią się zachwyci
I spuchnie przemów kwiecistych teka
Byle bezpiecznie z daleka



OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ/34295976

„
To nie jest książka o futbolu.
To nie jest książka o kibicach.
To nie jest książka o Ruchu Chorzów.
Barwami klubowymi zasłoniło się Zło.
Autor obnaża je bez znieczulenia.

WOJCIECH KUCZOK

W ŚRODKU NAJBRTALNIEJSZEGO
GANGU KIBOLI

wojny
NIEBIESKIE

MARCIN PIETRASZEWSKI

REPORTAŻ
Z SAMEGO CENTRUM
GANGSTERSKIEGO
ŚWIATA KIBOLI

Wydawnictwo
Agora

Z DR HAB. **KATARZYNA ANDREJUK**, PROFESORKĄ INSTYTUTU FILOZOFII I SOCJOLOGII PAN, SOCJOLOGIĄ, BADACZKĄ MIGRACJI I EKSPERTKĄ Z ZAKRESU RELACJI IMIGRANTÓW UKRAIŃSKICH, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Dane Eurostatu podają, że do listopada 2023 r., w wyniku ataku Rosji na Ukrainę, 4,24 mln obywateli uciekło z kraju i otrzymało status tymczasowej ochrony w państwach UE. Polska jest druga po Niemczech, ponieważ przyjęła 960 tys. osób. Czy ta liczba jest adekwatna?

– Statystyki, na bazie których prowadzę swoje badania, mówią o niespełna milionie uchodźców w Polsce. Jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny Ukraińcy stanowili najliczniejszą społeczność emigrancką w Polsce. Obejmowała ona imigrantów osiedleńczych na stałe mieszkających w naszym kraju i dużą grupę emigrantów krótkookresowych, przyjeżdżających na kilka miesięcy do pracy, zwłaszcza w sadownictwie. Z kolei na polskich uczelniach, jeszcze przed wojną, największą grupą obcokrajowców byli ukraińscy studenci.

Imigranci długoterminowi skutecznie zintegrowali się z naszym społeczeństwem, a świadczą o tym m.in. małżeństwa mieszane, przyjmowanie polskiego obywatelstwa i sukcesy na rynku pracy, na przykład zakładanie i prowadzenie firm. Oprócz imigrantów jeszcze przedwojennych w Polsce mieszkala też ukraińska mniejszość narodowa, czyli osoby urodzone i wychowane w naszym kraju, posiadające polskie obywatelstwo, ale deklarujące ukraińską tożsamość. Ostatnia grupa to właśnie uchodźcy, którzy uzyskują te statusy pobytowe przysługujące im w Unii Europejskiej. Oni także są policzeni w statystykach. Duża społeczność ukraińska sprawia, że migranci i uchodźcy mogą skutecznie tworzyć sieci wsparcia, organizować wzajemną pomoc. Z kolei bliskość geograficzna Ukrainy sprawia, że uchodźcy chętnie pozostaną w Polsce na długo.

W czerwcu 2022 r. think tank WiseEuropa opublikował dokument pt. „Gościnna Polska 2022+”, w którym wskazuje, że Polska zmienia się z państwa emigracyjnego w imigracyjne. Jak pani zdaniem wygląda sytuacja półtora roku później?

– Tak naprawdę już ok. 2017 r. Polska stała się krajem migracji netto, czyli liczba cudzoziemców przyjeżdżających do Polski przewyższyła liczbę Polaków emigrujących za granicę. Zawdzięczamy to w dużej mierze właśnie mobilności zarobkowej czy studenckiej. Przez lata Polska była uznawana za kraj jednolity etnicznie, ale to się zmieniło jeszcze przed przybyciem uchodźców z Ukrainy. Coraz wyraźniejsza jest również obecność innych grup np. z Białorusi, Wietnamu, Indii czy Gruzji.

Jeśli te procesy migracji i osiedlania się cudzoziemców, nie tylko z Ukrainy, będą trwały, już niedługo będzie można mówić o postmigracyjnym oraz superróżnorodnym krajobrazie społecznym w Polsce. Te pojęcia były stosowane dotychczas w państwach o wieloletnich tradycjach różnorodności etnicznej i kulturowej oraz licznych populacjach imigranckich – jak Niemcy czy Wielka Brytania.

Czym jest postmigracja?

– Fundamentalnym założeniem tej koncepcji jest przeciwstawienie się dychotomicznemu opisywaniu migrantów i nieimigrantów, ponieważ to splot społecznej różnorodności. Badacze używający koncepcji postmigracji zauważają, że różne osoby o statusie czy doświadczeniach migranckich mogą mieć odmienne interesy, ścieżki emigracji, sposoby adaptacji oraz różne poziomy uczestniczenia w życiu społecznym. Oprócz migrantów i ludności rdzennej są też inni mieszkańcy, np. drugie pokolenie migrantów zakorzenione w nowym kraju lub dzieci z rodzin dwunarodowych, biegle władające dwoma językami.

Pomoc krajów zachodnich jest coraz mniejsza, niechęć coraz większa, a Ukraina nie jest z gumy, tak jak jej gospodarka czy zasoby mobilizacyjne. Wyobraźmy sobie więc najgorsze: za kilka miesięcy Ukraina przegrywa wojnę albo konflikt w jakiś sposób zostaje zamrożony, cho-

– Mimo że widzimy w Polsce wiele ukraińskich kobiet z dziećmi, to jednak część z nich została w Ukrainie w czasie wojny. Już we wstępnej fazie trwania inwazji rosyjskiej przeprowadzono badania pt. „OneUA: Online Survey of Ukrainians” wśród ponad 20 tys. ukraińskich uchodźczyń w dziewięciu krajach. Wyniki niedawno opublikowano w czasopiśmie akademickim „Journal of Refugee Studies”, a pokazują one ciekawe mechanizmy podejmowania decyzji o wyjeździe lub pozostaniu w Ukrainie. Oczywiście najbardziej skłonne do opuszczenia swoich domów są osoby pochodzące z regionów najmocniej dotkniętych wojną, ale przede wszystkim bez małych dzieci pod opieką.

Badanie dowiodło, że bardzo młode matki, w wieku do 25 lat, są niezbyt skłonne do podjęcia migracji i pozostają na miejscu mimo trwającego konfliktu, a jeśli już, to migrują raczej do innych regionów Ukrainy. Kobiety w takich sytuacjach bardziej obawiają się zagrożeń związanych

Przychodzą mi do głowy historie, jak po II wojnie światowej Polska przyjęła wiele mniejszości narodowych, które się zintegrowały, znaturalizowały i dzięki temu powstały tysiące rodzin o podwójnym obywatelstwie i tożsamości. Zastanawiam się, czy oglądamy właśnie pierwsze akty takiego procesu, tyle że na skalę, jakiej jeszcze nie było w nowoczesnej historii Polski?

– Prawdopodobnie ci migranci, którzy zechcą się osiedlić w Polsce, będą się starać o polskie obywatelstwo, chociaż nie jest to wymagane. Można po prostu żyć i pracować jako imigrant z długoterminowym statusem pobytowym. Zgadzam się, że wiele osób na pewno będzie chciało naturalizacji, ponieważ to wiele rzeczy ułatwia. Tak jak wspomniałam wcześniej, osoby wychowujące tu dzieci mają ważne powody, żeby jednak organizować sobie życie tutaj. Perspektywy superróżnorodności oraz postmigracji wydają mi się tutaj ciekawym punktem odniesienia, ponieważ opisują różno-

Moskiewskiego oskarżonej o współpracę z Rosją.

Nie spodziewam się, aby religia i religijność były czynnikiem generującym silne podziały społeczne.

Autorzy raportu „Europolis. Migranci w Polsce” zastanawiali się, czy Polska jest gotowa na słynne multi-kulti. Czy Ukraińców można zaliczyć do tego terminu, tak jak np. osoby pochodzące z krajów muzułmańskich bądź z innych kręgów kulturowych, oraz gdzie – jeśli w ogóle – mogą wystąpić ewentualne konflikty bądź różnice nie do pogodzenia?

– Po pierwsze to najróżniejsze kwestie gospodarcze mogą się stać źródłem konfliktu, co widzimy ostatnio w związku z sytuacją z ukraińskimi wyrobami rolnymi w Polsce oraz innych krajach Unii. Mnie najbardziej interesują kwestie migracyjne: na przykład dalsze decyzje życiowe migrantów, zwłaszcza tych wysoko wykwalifikowanych, mogą się stać źródłem pewnego sporu.

UKRAIŃSKIE ODMIŁODZENIE

Polsce zależy, aby zatrzymać najbardziej wykształconych, młodych i cennych specjalistów. Ale kiedy wojna się skończy, Ukraina będzie chciała powrotu takich osób

ciażby przez realizację modelu koreańskiego. Co wtedy?

– Akurat Korea Południowa rozwinęła się gospodarczo i wzbogaciła podczas tego zamrożenia konfliktu. Ukraina też może się rozwinąć gospodarczo, jeśli otrzyma fundusze na odbudowę kraju. Ten potencjał rozwojowy oraz chłonny rynek pracy mogą oznaczać, że uchodźcy wojenni będą zainteresowani powrotem do kraju pochodzenia. Jednocześnie wielu uchodźców może wybrać pozostanie w nowych krajach, ponieważ zdążą już zorganizować sobie tam życie. Natomiast ci uchodźcy, którzy nastawiają się na powrót w jakimś odpowiednim momencie, wolą raczej pozostawać w kraju granicznym z Ukrainą. Kolejnym logistycznym wyborem jest możliwość zdobycia pracy czy założenia firm w takich branżach, które nie wymagają zbyt dużych inwestycji wstępnych i w razie czego można łatwo zakończyć taką pracę czy biznes i przenieść się do rodzimego kraju.

Poza tym kolejną kwestią decydującą o pozostaniu czy powrocie może być na przykład sytuacja dzieci uczących się w polskiej szkole. Jeśli te dzieci na emigracji czują się jak u siebie, mają bardziej tożsamość lokalną niż ukraińską, to wpływa na decyzje rodziców imigrantów.

No właśnie: co z tymi wszystkimi dziećmi czy w ogóle Ukraińcami, którzy jednak nie wyjechali na Zachód, ale do Ukrainy nie wrócą, bo zwyczajnie nie mają do czego?

z wyjazdem do innego kraju niż z pozostaniem.

Do migracji są skłonni głównie single, osoby poniżej 40 lat, z wyższym wykształceniem, znające język angielski czy z większymi zasobami finansowymi. Oczywiście jest duża przewaga kobiet w społeczności uchodźców z Ukrainy w Polsce. Jeśli te kobiety mają lub będą miały dzieci, to w polityce społecznej pojawia się konieczność zapewnienia opieki nad dziećmi w celu ich aktywizacji zawodowej, miejsca w przedszkolach czy żłobkach czy programów szkolnych dostosowanych do potrzeb tych dzieci.

À propos uchodźczyń: w raporcie „Europolis. Migranci w Polsce”, przygotowanym dla Fundacji Schumana i Fundacji Adenauera przez Politykę Insight, podkreślono, że większość badanych uchodźców z Ukrainy w 2022 r. to były kobiety z wyższym wykształceniem. Zakładając, że spośród tych tysięcy Ukrainek połowa zostanie na stałe, zaaklimatyzuje się, z czasem postanowią założyć rodziny i zdecydują się na dzieci. Czy Polska może się „ukraińsko odmłodzić”?

– To rzeczywiście może odmłodzić strukturę społeczną Polski, która podobnie jak kraje Europy Zachodniej ma problem ze starzeniem się populacji. Nie możemy obecnie przewidzieć skali migracji powrotnej, ale faktem jest, że to odmładzanie już nastąpiło.

rodność etniczno-kulturową jako stan normalny, heterogeniczność kulturowa staje się elementem codzienności. Jednocześnie te podejścia przestrzegają przed ujednoliconym postrzeganiem społeczności imigranckich jako monolitów, bo są one zróżnicowane wewnętrznie.

Według obiegowej opinii Ukraińcy są raczej gorliwie wierzącym narodem chrześcijańskim. Zakładając, że tysiące uchodźców i emigrantów rzeczywiście osiedli się w Polsce na stałe, to wpłynie na dynamicznie laicyzującą się strukturę religijną naszego kraju?

– Badania przeprowadzone tuż przed wybuchem wojny pokazywały, że ponad jedna trzecia Ukraińców deklaruje brak przynależności do jakiegokolwiek religii, a większość Ukraińców nie uczestniczy w obrzędach religijnych albo uczestniczy w nich sporadycznie. Z kolei osoby o małym zainteresowaniu religią, według tych badań, to zwłaszcza ludzie młodzi oraz pochodzący z dużych miast. Nie sądzę, żeby migracja zatrzymała proces laicyzacji w Polsce, bo wzory laicyzacji w Ukrainie są podobne do naszych. Poza tym wśród osób wierzących w Ukrainie jest najwięcej prawosławnych oraz obrządku grekokatolickiego, a najnowsze badania wskazują, że niektórzy Ukraińcy są coraz bardziej zainteresowani odchodzeniem od prawosławia, które postrzega się jako powiązane z rosyjskością. W 2023 r. ukraiński parlament opowiedział się za zakazem działalności Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu

Dlaczego?

– Ponieważ kiedy wojna się skończy, Ukraina będzie chciała powrotu takich osób, a ich pomoc będzie niezbędna w odbudowie kraju. Z kolei państwu przyjmującym, w tym Polsce, zależy, aby zatrzymać najbardziej wykształconych, młodych i cennych specjalistów. Taki konflikt między „brain drain”, czyli drenażem mózgów, a „brain gain”, czyli pozyskiwaniem mózgów, może zaistnieć, kiedy uchodźcy będą mieli opcje pozostania w kraju przyjmującym bądź powrotu do kraju pochodzenia na atrakcyjnych warunkach. Decydujące mogą się okazać kwestie, o których wspominałam wcześniej, czyli zawieranie związków na emigracji oraz poczucie zakorzenienia dzieci.

Jednak można się zastanawiać, czy polityka zatrzymywania wysoko wykwalifikowanych specjalistów jest w pełni etyczna, ponieważ Ukraina i tak ponosi ogromne straty podczas wojny, a budowanie polityki migracyjnej kraju przyjmującego oparte na drenażu mózgów może być kolejną szkodą.

A czy Ukraina może w jakiś sposób wymusić na polskim rządzie, aby odesłał osoby o kluczowych umiejętnościach?

– Mogą być prowadzone różne polityki zachęt oraz naciski, natomiast nie spodziewam się jakichś przymusowych powrotów, ponieważ takie quasi-ekstradycje byłyby nielegalne.

Mam wrażenie, że spośród wszystkich imigrantów, którzy przyjeżdżają do Polski, na

tych z Ukrainy Polacy patrzają najcieplejszym okiem. Czy pani zdaniem istnieje coś takiego jak wspólne słowiańskie interesy?

– Możemy mówić o konkretnych wskaźnikach czy przejawach, które sprawiają, że na przykład Polacy i Ukraińcy łatwiej się porozumieją, a więc chociażby dostępność nauki języka polskiego wśród Ukraińców czy łatwość nauki ukraińskiego wśród Polaków. Myślę, że istnieją wspólne interesy Polaków i Ukraińców jako krajów i społeczeństw. Na pewno taką wspólną sprawą jest wygranie wojny z Rosją i wstąpienie Ukrainy do Unii Europejskiej.

Natomiast w badaniach migracji często podkreśla się, że bliskość kulturowa to pewna konstrukcja społeczna i nie zawsze wiadomo, co precyzyjnie oznacza: podobieństwo obyczajów, ale jakich? Podobieństwo pewnych grup społecznych w obu krajach i ich specyfiki kulturowej? Ale których grup i których obszarów kultury? Co, jeśli podobne są na przykład religie, ale nie języki? Dlatego posłu-

dużo sympatii Ukraińcom w Polsce i zrozumienia, mieliśmy tę ogromną falę solidarności i wzrost pozytywnych postaw wobec Ukraińców.

A czy w obrębie ukraińskiej diaspory dochodzi do jakichś konfliktów?

– Ja badam działania pomocowe diaspory, a nie konflikty. Naprawdę uważam, że ta społeczność bardzo się skonsolidowała w czasie wojny i bardzo stara się być razem i być aktywna w pomaganiu uchodźcom i ludności pozostającej w Ukrainie. Ale kiedy jest więcej imigrantów czy imigrantek zainteresowanych uczestnictwem w pewnych sektorach rynku pracy, np. w sektorze opieki, to w którymś momencie może się pojawić konkurencja.

Pani habilitacja poświęcona była działalności gospodarczej imigrantów ukraińskich w Polsce. Czy argument, że Polska potrzebuje rąk do pracy na stanowiskach, do których nikt inny się nie garnie, jest jesz-

czy imigranckiej jest fascynujące, bo w wielu krajach wskaźniki samozatrudnienia w społecznościach imigranckich są wyższe niż średnia dla ogółu populacji. Właśnie dlatego, że imigranci często mają utrudniony dostęp do atrakcyjnych segmentów rynku pracy, otrzymują posady poniżej swoich kwalifikacji, niezgodne z wykształceniem i mają mniejsze możliwości awansu, chociażby z racji języka czy statusu prawnego. To wszystko nierzadko jest powodem, że ludzie decydują się zakładać własne firmy, bo mogą wybrać sektor własnej aktywności, korzystając ze swoich unikalnych zasobów kulturowych, jak znajomość języka diaspory czy wiedza o konsumencie upodobaniach klientów etnicznych. Tacy przedsiębiorcy nierzadko korzystają z pracy członków rodziny. W ten sposób redukują koszty i stają się bardziej konkurencyjni, ale też dają pracę innym obcokrajowcom. Zakładanie własnej działalności gospodarczej jest z jednej strony ucieczką przed potencjalną dyskryminacją na rynku pracy, a z drugiej

cy. Ukraińcy, którzy zakładają w Polsce firmy, na pierwszych etapach rozwoju firmy zatrudniają członków rodziny albo wyłącznie Ukraińców. Jednakże żeby taka firma mogła odnieść sukces, musi wyjść na zewnątrz, czyli również do polskich klientów i konsumentów. To jak najbardziej leży w interesie przedsiębiorców imigrantów.

Zalóżmy, że w ciągu następnych lat ponad milion Ukraińców wystąpi o polskie obywatelstwo. Czy w takiej perspektywie, powiedzmy, na początku przyszłej dekady, w polskim Sejmie pojawi się przedstawiciel mniejszości ukraińskiej, tak jak to było dotychczas z niemieckim?

– Już teraz mamy osoby pochodzenia imigranckiego, które startują w wyborach ogólnopolskich do Sejmu i Senatu czy też lokalnych samorządowych. To dotyczy Ukraińców, ale też na przykład Wietnamczyków. Z czasem coraz więcej imigrantów długoterminowych będzie spełniać wymagania do otrzymania polskie-

go obywatelstwa i starać się o naturalizację. Co więcej, w Polsce, inaczej niż w niektórych krajach, nie ma dodatkowych wymagań określających, jak długo dana osoba powinna być obywatelem, żeby startować w wyborach. Sama naturalizacja jest tym przełomowym momentem. Również osoby z drugiego pokolenia emigrantów albo z rodzin dwukulturowych, dwunarodowych będą bardziej zintegrowane z krajem pobytu i bardziej zainteresowane uczestnictwem politycznym.

W krajach, które od wielu dekad są wielokulturowe, już można obserwować, że osoby pochodzenia imigranckiego reprezentują różne opcje polityczne.

Poza tym rzeczywiście cały czas istnieje w Polsce odrębna możliwość dla mniejszości narodowych – według kodeksu wyborczego takie komitety wyborcze utworzone przez osoby zrzeszone w organizacjach mniejszości mogą korzystać ze zwolnienia z wymogu przekroczenia 5-proc. progu wyborczego. Właśnie na tej zasadzie przez lata funkcjonowali przedstawiciele mniejszości niemieckiej w polskim Sejmie.

Jakie pani zdaniem jest największe wyzwanie dla polsko-ukraińskiej koegzystencji?

– Najtrudniejszy jest chyba balans między zachowaniem odrębności a byciem częścią wspólnoty w nowym kraju. To najbardziej uniwersalny problem, od dawna zauważony i dyskutowany w badaniach migracyjnych. Badacze z innych krajów zaobserwowali, że bez integracji imigranci mają tendencję do tworzenia światów równoległych, co pogłębia poczucie wykluczenia z życia publicznego czy alienacji. Wypracowanie tego balansu jest największym wyzwaniem, a dotyczy ono np. szkolnictwa: czy umożliwiać nauczanie tylko w języku ukraińskim bez języka polskiego. Takie rozwiązania były konieczne na początku wojny, kiedy do Polski przybyło wielu Ukraińców w wieku szkolnym. Jednakże im dłużej uchodźcy są w Polsce, tym pilniejsza staje się nauka języka polskiego.

Innym wyzwaniem w edukacji jest odniesienie się do trudnych momentów w historii relacji polsko-ukraińskich. Warto, by edukacja dzieci polskich i ukraińskich przebywających w Polsce przebiegała wspólnie, a nie obok siebie. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

giwanie się pojęciem bliskości kulturowej może być problematyczne. Dla każdego oznacza co innego i może być podatne na uproszczenia, uprzedzenia.

A czy podczas badań zwróciła pani uwagę na pewnego rodzaju szowinizm migracyjny? Że wśród uchodźców na przykład migrant ekonomiczny, który ma wyższe wykształcenie w, powiedzmy, sektorze IT, ale pochodzi z Egiptu czy Tunezji, jest gorzej postrzegany niż osoba z podobnym doświadczeniem, ale z Ukrainy? Czy spotkała się pani z sytuacjami, że jeden ekspert dostanie pozwolenie na pracę w Polsce albo wizę na pobyt, a drugi nie właśnie ze względu na kulturowy background?

– Takie problemy istnieją. Od dawna wykazują to badania, np. Europejski Sondaż Społeczny: imigranci z krajów bliskich geograficznie są przyjaźniej witani niż imigranci z krajów mniej znanych i geograficznie odległych, z którymi nie ma takich utrwalonych kontaktów. Akurat wojna w Ukrainie przysporzyła

cze aktualny?

– Napływ uchodźców ogólnie zmniejsza zapotrzebowanie na pracowników w określonych zawodach i sektorach. Na pewno w sektorze usług publicznych, jak służba zdrowia, służby porządkowe, potrzeba więcej pracowników ze znajomością języka ukraińskiego. Jest to też droga do aktywizacji uchodźców na rynku pracy. Obecnie polski rynek często korzysta z pracy cudzoziemców, ale nie tylko Ukraińców. Na różnych stanowiskach są to zarówno posady wysoko wykwalifikowane, jak i te w mniej atrakcyjnych sektorach.

Coraz częściej dostrzegam, że oferty pracy deweloperów gier, grafików czy programistów, a więc poważnych i dobrze płatnych zawodów, są szyte pod Ukraińców.

– Może tak być. Natomiast uważam, że nawet ci migranci, którzy początkowo otrzymują oferty poniżej swoich umiejętności i doświadczeń zawodowych, są w stanie rozwinąć się na rynku pracy dzięki samozatrudnieniu i własnym biznesom. W ogóle zjawisko przedsiębiorczo-

stony daje możliwości ekspansji zawodowej i prowadzenia udanego biznesu na własnych zasadach.

Te prace, do których wystarczą niskie kwalifikacje, o których pan wspomina, są często traktowane przez imigrantów jako pierwszy etap obecności na rynku pracy i okazja do zdobycia pierwszych doświadczeń. Z czasem migranci starają się o ambitniejsze zajęcia i ruszają dalej. Imigranci nie zabierają posad, ale raczej na początku drogi zawodowej wykonują prace niechętnie podejmowane przez ludność lokalną. Natomiast dążąc do awansu i zakładając własne firmy, sami tworzą sobie miejsca pracy. Duża społeczność imigrancka, którą mamy w Polsce, stanowi naturalną bazę zarówno klientów, jak i pracowników dla takich firm. Ci pracownicy imigranci uczą się w ten sposób funkcjonowania na lokalnym rynku pracy.

Czyli imigranci nie kradną Polakom pracy?

– Oni właśnie wzbogacają polską gospodarkę, przyczyniają się do wzrostu PKB i tworzą nowe miejsca pra-

cy. Ukraińcy, którzy zakładają w Polsce firmy, na pierwszych etapach rozwoju firmy zatrudniają członków rodziny albo wyłącznie Ukraińców. Jednakże żeby taka firma mogła odnieść sukces, musi wyjść na zewnątrz, czyli również do polskich klientów i konsumentów. To jak najbardziej leży w interesie przedsiębiorców imigrantów.

Młode ukraińskie matki, do 25 lat, są niezbyt skłonne do podjęcia migracji mimo trwającej wojny. Bardziej obawiają się zagrożeń związanych z wyjazdem do innego kraju niż z pozostaniem

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

John Bolton:

NATO BEZ AMERYKI?
RADZĘ WAM SIĘ NA TO PRZYGOTOWAĆ

– Ludzie powinni mieć pełną świadomość tego, co oznacza zwycięstwo Trumpa. Trudno nam uwierzyć, że amerykański prezydent mógłby wycofać kraj z NATO. Ja uważam, że on nie żartuje – mówi John Bolton, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego USA za rządów Donalda Trumpa.

Maciej Czarnecki

Uważa pan, że kiedy Donald Trump mówi o NATO – choćby że Rosja „może sobie robić, co chce”, z tymi krajami, które „nie płacą” – to trzeba traktować to poważnie, czy to tylko polityczny teatr w roku wyborczym, jak sugerują niektórzy? **John Bolton:** Uważam, że Trump na serio myśli o wycofaniu USA z Sojuszu. Sam byłem świadkiem wydarzeń na szczycie w Brukseli w 2018 r., kiedy już był tego bliski. Potem przez prawie sześć lat nic nie mówił na ten temat, a teraz wykorzystuje NATO do tego, by pokazać, czego chce w polityce międzynarodowej. Wycofałby USA z wielo najważniejszych porozumień.

Niektórzy mówią, że to tylko metoda negocjowania z Europejczykami, którzy nie zbliżają się do poziomu 2 proc. PKB na wydatki na obronę – a przecież w 2014 r. wszyscy dobrowolnie zobowiązali się do tego dążyć. Do pewnego stopnia to działa, bo wiele krajów zwiększyło nakłady na armię. Oczywiście ogromne znaczenie ma tu inwazja Rosji na Ukrainę.

Od dawna apelowałem do Europy, by wydawała więcej na wojsko, podobnie jak przez lata setki innych amerykańskich urzędników. Tyle że chcieliśmy w ten sposób wzmocnić NATO, a nie osłabić, jak Trump.

On tak naprawdę wcale się nie spodziewa, że Niemcy i inni będą przeznaczać te 2 proc. To dla niego kolejny dowód na to, że Europejczycy nie zasłużyli na ochronę, obok „niesprawiedliwych” umów handlowych czy swego czasu transportów rosyjskiego gazu Nord Streamem i innymi gazociągami.

Może i do pewnego stopnia to działa mobilizująco na Europę. Problem w tym, że także osłabia NATO-wskie odstraszanie. – Tak, osłabia. Nie sądzę, by Trumpa to obchodziło. On nie rozumie istoty Sojuszu. W jego pojmowaniu USA zapewniają ochronę krajom Europy i Kanadzie – i nie dostają nic w zamian. A Europejczycy sami nie chcą się do tego włączyć. Nie rozumie, że NATO działała w różnych wymiarach, to kolektywny Sojusz obronny, wszyscy korzystamy na tym, że jesteśmy jego członkami.

A skoro tak uważa, to wydaje mu się, że dajemy Europie prezent albo – jak ujął to właśnie senator z Ohio J.D. Vance w tekście na łamach „Financial Timesa” – płacimy podatek. Jeśli patrzysz na Amerykę jak na najemnika do wynajęcia, to rzeczywiście możesz pytać: dlaczego nam nie płacą? Ale to tylko uproszczona, komercyjna i transakcyjna wizja Trumpa, czym jest Sojusz.

A przecież USA również dostają coś bardzo ważnego. Stabilność, pokój i dobrobyt w Europie leżą w amerykańskim interesie.

Dziennikarz CNN Jim Sciutto, który właśnie wydaje nową książkę „The Return of Great Powers”, cytując oficjela, który miał mu powiedzieć, że swego czasu Trump nawet wydał konkretne polecenia wyjścia z Sojuszu ówczesnemu przewodniczącemu kolegium połączonych szefów sztabów gen. Markowi Milleyowi i szefowi Pentagonu Markowi Esperowi i że oni przygotowali już nawet plany wykonawcze. Może pan to potwierdzić? – Wtedy nie było mnie już w Białym Domu. Nie mam zatem wiedzy z pierwszej ręki.

Ale na pewno Trump poprosił Departament Obrony o sporządzenie planów wycofania amerykańskich wojsk z Niemiec. Było to wiążące polecenie i je wykonano.

Wycofywanie kraju z sojuszy międzynarodowych należy do prerogatyw prezydenta, choć pojawiły się inicjatywy ze strony Kongresu, by to ograniczyć [w grudniu uchwalono ustawę zakazującą wycofania z NATO bez zgody Senatu lub ustawy]. Jednak myślę, że gdyby przyszło do sporu sądowego, to na podstawie konstytucji przyznano by rację Trumpowi. Tak czy inaczej, spór ciągnąłby się pewnie dwa czy trzy lata – a tymczasem NATO by słabło z każdym krokiem postępowania.

Ludzie powinni mieć pełną świadomość tego, co oznacza zwycięstwo Trumpa. Trudno nam uwierzyć, że amerykański prezydent mógłby wycofać kraj z Sojuszu. Wiele osób uważa, że to niemożliwe. Ja uważam, że on nie żartuje.

Ale w pierwszej kadencji w końcu tego nie zrobił. To dlaczego miałby w drugiej? – Był sfrustrowany, że nie udało mu się to od ręki. Potem zajął się innymi rzeczami, a wkrótce rozpoczęła się kampania w 2020 r., zachorował na COVID. Ale teraz notorycznie o tym mówi...

Węgierski premier Viktor Orbán, który jest najbardziej przyjazny Rosji i stanowi jeden z największych problemów NATO – obok prezydenta Turcji Recepta Tayyipa Erdoğan – poparł Trumpa. Niedługo może dołączyć do niego Erdoğan i nawet w łonie NATO będzie widoczny taki ponury sojusz.

A może zamiast wyjścia Trump będzie dążył do tego, by zmieniać NATO na swoją modłę? Jego doradca Keith Kellogg niedawno zasugerował, że należy stworzyć NATO dwóch prędkości – dla płacących i nieplacących.

– Są też inne pomysły, np. że zwiększymy cła dla krajów, które nie wydają 2 proc. PKB na obronę. Myślę, że w ten sposób doradcy Trumpa starają się, by wyglądało to mniej niebezpiecznie, niż jest w rzeczywistości.

A co do „NATO dwóch prędkości”, to założymy, że Rosja z terytorium Białorusi atakuje Polskę. Polska wydaje na obronność grubo ponad 3 proc. PKB, więc USA byłyby



• Bolton i Trump podczas spotkania z sekretarzem generalnym NATO Jenssem Stoltenbergiem w Gabinetie Ovalnym, 17 maja 2018
FOT. SAUL LOEB / AFP/EAST NEWS

John Bolton

– prawnik i dyplomata, republikański doradca uważany za czołowego jastrzębia w kwestiach polityki zagranicznej. Był doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego USA za czasów Donalda Trumpa (2018-19). W latach 2005-06 był ambasadorem USA przy ONZ, a przedtem podsekretarzem stanu w administracji George’a W. Busha. Pracował też w administracjach Ronalda Reagana i George’a H.W. Busha

na posterunku, walczylibyśmy razem. Dalej: założymy, że Rosjanom i tak udało się dojść do niemieckiej granicy. I co, wtedy amerykańscy żołnierze mówią: „Przepraszamy, ale od tej pory już nie walczymy, do zobaczenia na granicy niemiecko-francuskiej, gdzie znów zaczniemy”. Jak by to miało wyglądać na polu bitwy?! To po prostu szaleństwo.

Znaleźliby się ludzie w Waszyngtonie, którzy storpedują takie pomysły? Na ile Trumpa można by kontrolować – dzięki Kongresowi i sądom, odpowiedzialnym ludziom z drugiego szeregu w administracji, Pentagonie, służbach?

– Na pewno byłby spory opór.

Cechą charakterystyczną drugiej kadencji Trumpa – nie tylko w sferze bezpieczeństwa narodowego – byłyby ciągle kryzysy, nawet na poziomie konstytucyjnym, chaos, zamieszanie. W takim chaosie niewiele można osiągnąć. Ale sam w sobie osłabiałby Amerykę. I już tylko dlatego należy mieć nadzieję, że Partia Republikańska nominuje kogoś innego. Choć będzie to trudne.

Wierzy pan, że to w ogóle jeszcze możliwe? Przecież Nikki Haley przegrywa w sondażach nawet w Karolinie Południowej, gdzie była gubernatorką.

– Być może Trumpa powstrzyma tylko uderzenie meteorytu w Ziemię – ale w kosmosie trochę ich jest. Wielu Amerykanom nie odpowiada, że on może ponownie wywalczyć nominację. Wielu nie chce powtórki pojedynku Trump – Biden. Wygląda na to, że go dostaną. Jednak wyścig jeszcze się nie zakończył.

Haley napisała na X: „Potrzebujemy przywódcy, który z moralną jasnością nazywa rzeczy po imieniu. Putin nie jest

naszym przyjacielem. Jest morderczym dyktatorem, który zabił Nawalnego. Dlaczego Trump nie może powiedzieć tego głośno?”. No właśnie, dlaczego?

– Tak naprawdę nie obchodzi go, co Putin zrobił z Nawalnym czy kimkolwiek innym. Kiedy Nawalnego próbowano otruć w 2020 r., Trumpa, wtedy prezydenta, reporterzy pytali, czy uważa, że odpowiadają za to rosyjskie władze, a on odpowiadał, że „nie mamy wystarczających informacji”. A przecież miał dostęp do jednoznacznych raportów najlepszych służb wywiadowczych na świecie!

Po prostu nie chciał się wikać w spór z Putinem, któremu przecież – jak mówił – ufa bardziej niż własnym służbom.

To kolejny przykład jego podejścia do stosunków międzynarodowych: wierzy, że jeśli ma z Putinem dobre relacje, to USA będą miały dobre relacje z Rosją. A przecież to tak nie działa. Putin to rozumie, Trump nie.

Zabicie Nawalnego to znak siły Putina czy wręcz przeciwnie?

– On jest bardzo pewny swojej pozycji, zarówno w Rosji, jak i na świecie. Prodemokratyczna opozycja rosyjska jest albo na wygnaniu, albo za kratami, albo się ukrywa. Demonstrantów zwija się z ulicy. Prigożyn został wyeliminowany. Uciszone niezadowolenie w służbach.

Jeśli chodzi o świat, zachodni przywódcy wyrazili oburzenie śmiercią Nawalnego. Są w tym bardzo dobrzy, ale w podejmowaniu konkretnych działań już nie za bardzo.

A co powinni zrobić?

– W USA Kongres musi przegłosować w końcu pomoc dla Ukrainy. No i wszyscy na Zachodzie muszą skutecznie wprowadzać sankcje w życie. W „Wall Street Journal” i „New York Timesie” ukazały się w tym tygodniu obszernie teksty o tym, jak Iran i Rosja unikają sankcji związanych z ropą. Niestety to dla nas lekcja: sankcje brzmią dobrze, kiedy się je ogłasza, ale jeśli nie idą za tym procedury wymuszające ich ścisłe przestrzeganie, łatwo znajdują się sposoby na ich obejście.

Wielu ludzi w Europie nie rozumie, dlaczego Republikanie w Izbie tak uparcie blokują pomoc dla Ukrainy i w ogóle co stało się z Partią Republikańską, którą niegdyś znali. W naszej rozmowie rok temu mówił pan, że nie obawia się o wsparcie Kongresu dla Kijowa. Nieste-

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

ty, okazało się, że nie miał pan racji. Jak wytłumaczyć obecny impas?

– Częściowo wynika z konfliktu wokół granicy z Meksykiem. Można zapytać: co wcielenie w życie naszego prawa imigracyjnego na meksykańskiej granicy ma wspólnego z pomaganiem Ukrainie? Otóż Trump nie chce rozwiązania problemu granicy, bo nie chce, by uznano zasługi Bidena w tym względzie.

Wielu republikanów mówi: nie zagłosuję za pomocą dla Ukrainy, Izraela czy Tajwanu, dopóki nie rozwiążemy problemu z granicą. To błąd logiczny. Bo przecież można pracować nad rozwiązaniem różnych problemów w tym samym czasie. A Biden może nie radzić sobie z żadnym z nich. Jednak skuteczna polityka nie powinna oznaczać, że ignorujesz jeden problem, by skupić się na innym.

Wina spoczywa oczywiście głównie na Trumpie, który realizuje swoje własne interesy polityczne poprzez wykorzystywanie kwestii imigracji. Rozumiem, że żadne to pocieszenie, ale takie są realia polityczne w bardzo podzielonym Kongresie.

Ale być może śmierć Nawalnego pomoże zmienić postawę Republikanów.

Ale dlaczego aż tylu z nich gra w tę grę, ryzykując losami wojny w Ukrainie? Właśnie to jest niepojęte.

– Bo są zastraszeni przez Trumpa. To jednocześnie dobra i zła wiadomość. Dobra: bo tak naprawdę w to nie wierzą, tylko martwią się – zwłaszcza ci z republikańskich okręgów – że jeśli zgłoszą za przekazaniem pomocy Ukrainie, Trump poprze w wyborach przeciwko nim kogoś innego za brak lojalności.

Listopadowymi wyborami się nie przejmują: w wielu okręgach każdy, kto uzyska nominację Partii Republikańskiej, ma zwycięstwo w kieszeni. Tak samo jest z Demokratami. Tak działa polaryzacja. Dlatego łatwo im mówić: nie zgłoszę za pomocą dla Ukrainy, dopóki nie naprawimy sytuacji na granicy. Daje im to ochronę przed Trumpem. I na tym polega zła wiadomość: są zastraszani.

Trump to aberracja w amerykańskiej polityce, która, miejmy nadzieję, w niedalekiej przyszłości zniknie.

Na razie się na to nie zanosi.

– Zobaczymy, kto wygra w listopadzie. Najprawdopodobniej naprzeciwko siebie stanie dwóch bardzo niepopularnych kandydatów.

Co tak naprawdę ma na myśli Trump, kiedy powtarza, że zakończyłby wojnę w ciągu 24 godzin? Chce posadzić obok siebie w jednym pokoju Putina i Zenskigo. Naciskałby na tego drugiego, by Ukraina zrzekła się części terytoriów w zamian za pokój?

– Nie sądzę, by Trumpa w ogóle to obchodziło. Gdyby jednak udało mu się posadzić obok siebie obu tych przywódców, to przecież nie osiągnęliby niczego w 24 godziny.

To oznaczałoby porażkę. Wiemy, że nie byłaby to porażka Trumpa – przecież on nigdy nie zawodzi. Zostaliby dwóch potencjalnych przegranych. Zważywszy na bliskość Trumpa z Putinem, można zakładać, że cały koszt spadłby na Ukrainę. Gdyby na tym etapie jeszcze dostawała jakąkolwiek pomoc, Trump postarałby się ją odciąć, tak jak groził latem 2019, będąc przekonany, że ludzie w Kijowie nie chcą jego reelekcji.

A jak ocenia pan ukraińską strategię Bidena?

– Brak mu strategicznej wizji. Pamiętam dość prostą prośbę Polski, by pomóc w przekazaniu migów Ukrainie. Sekretarz stanu najpierw dał zielone światło, potem Biden to odwrócił. Od dwóch lat daję się odstraszać Rosji, podczas gdy my nie potrafiliśmy odstraszyć Rosjan od inwazji na Ukrainę. Biden przyznał publicznie, że nie sądził, że odstraszenie zadziała, więc nawet za bardzo nie próbowaliśmy.

Ciągle towarzyszy nam strach przed większą wojną. Nie wiem, skąd Rosja mia-

łaby wziąć do niej żołnierzy. Przecież gdyby ich miała, byłiby już w Ukrainie.

Oczywiście jest też – wypowiedziane lub nie – zagrożenie bronią nuklearną, które w każdym przypadku, kiedy Kreml je podnosił, okazywało się blefem. Jednak tak bardzo niepokoi nas perspektywa większej wojny, że nie daliśmy Ukrainie środków do tego, by pokonać Rosję.

Czyli nie niepokoi pana, że Putin może pójść dalej? Przed chwilą sam przytoczył pan hipotetyczny scenariusz rosyjskiej inwazji na Polskę.

– Putin na pewno potrzebowałby czasu na odnowienie armii po wojnie z Ukrainą. A jego pierwszym celem byłoby zapewne kraje dawnego ZSRR, nie tylko kraje bałtyckie. Jeśli zaczęła, aż Trump wycofa USA z NATO, kraje bałtyckie natychmiast staną się zagrożone, a Białoruś zostanie wchłonięta przez Rosję. To, co zostaloby z NATO, musiałoby jej stawić czoła.

Nie sądzę, że to wszystko stanie się od razu, kiedy Trump wprowadzi się do Białego Domu. Jednak położone zostaną fundamenty pod coś groźnego, co może nastąpić w kolejnych latach.

Dużym problemem jest wzmocnienie osi Rosja – Chiny. Przypomina to dawny sojusz z zimnej wojny, z tym że tym razem to Chiny są stroną dominującą. Biorąc pod uwagę powiązania ekonomiczne i współzależność znacznej części Europy z Chinami, uważam, że Europa i poniekąd USA mogą się tego obawiać.

Dlatego wiele amerykańskich firm nie dokonuje w Chinach żadnych nowych inwestycji, relokuje kapitał gdzieś indziej i szuka innych łańcuchów dostaw. Europa tego nie robi, zwłaszcza Niemcy. W obliczu coraz większej współpracy Chin i Rosji i ewentualnego wycofania USA z NATO Europa byłaby bardzo zagrożona.

Coraz wyraźniej widać oś, którą współtworzą nie tylko Chiny i Rosja, ale też Iran, Korea Północna i parę innych reżimów. Jak zareagują na to Amerykanie? Czy przekona to opinię publiczną, że wolny świat też musi się trzymać razem i odnowić sojusze, czy przeciwnie – wzmocni trend izolowania się przed coraz bardziej niebezpiecznym światem?

– Amerykanie nie obawiają się niebezpiecznego świata. Po prostu uważają, że to problem reszty i niech ona się martwi. Nasza historia pokazuje, że czasem potrzeba szoku, by nas obudzić. Trzeba było zamachów z 11 września, by dostrzec niebezpieczeństwo międzynarodowego terroryzmu, albo Pearl Harbor, by dostrzec zagrożenie stwarzane przez Niemcy i Japonię. To były tragedie, które wywołały zmianę w naszym myśleniu.

Obecnie kraj jest bardzo podzielony, co znajduje odzwierciedlenie w minimalnych różnicach w Senacie i Izbie Reprezentantów. Skoro decydujące jest ledwie kilka głosów, nie powinno za bardzo dziwić, że nie możemy niczego uchwalić. Niestety, być może ludzie obudzą się dopiero po jakimś strasznym kryzysie.

Czyli na razie nie spodziewa się pan przelamania impasu w sprawie Ukrainy?

– Izba Reprezentantów ma teraz przerwę w obradach. Może się okazać, że kiedy w przyszłym tygodniu powróci do obrad, zamordowanie Nawalnego pomoże wypracować porozumienie. Jest to bardziej prawdopodobne, niż wydawało mi się do niedawna, bo myślałem, że będziemy musieli zacząć od listopadowych wyborów. Wielu ludzi jest oburzonych.

Trump wspomniał o Nawalnym, ale tylko po to, by narzekać, że sam też jest prześladowany w USA.

– Cały on. Zawsze chodzi wyłącznie o niego. Wiem, że wielu ludzi doszukuje się jakichś jego poglądów, ideologii – ale czegoś takiego nie ma. ●

Szatan w Moskwie Putina

Bułhakow wrócił, by nękać Kreml

Film zainspirowany jedną z najwspólniejszych powieści XX w. obejrzały już prawie trzy miliony widzów. Ludzie biją brawo po seansach, bo odbierają go jako otwartą krytykę putinizmu.

Alain Barluet

LE FIGARO

Korespondencja z Moskwy

Wyprowadzone sale kinowe – to rzadkie zjawisko w Rosji: adaptacja „Mistrza i Małgorzaty”, wyreżyserowana przez Michaila Łokszyna i wprowadzona do kin 25 stycznia, to film, o którym mówią teraz w Moskwie wszyscy – ze względu na dojmująco aktualne oskarżenie systemu polityczno-społecznego.

Adaptacja dzieła Michaila Bułhakowa (1891-1940), jednej z najważniejszych powieści w historii literatury, została już obejrzana przez prawie trzy miliony widzów – którzy biją brawo na koniec seansu – i wygenerowała miliard rubli przychodu (ponad 10 mln euro), co oznacza, że prawie cały budżet produkcji, jednej z najdroższych w historii kina rosyjskiego, już się zwrócił.

Pisana w latach 30. XX w. i zakazana w ZSRR przez dekady książka Bułhakowa (została tam opublikowana w nieocenzurowanej wersji dopiero w 1973 r.) to, jak wiadomo, fantastyczno-filozoficzna opowieść z satyrycznym zacięciem i faustowskimi motywami, która łączy w sobie: stalinowską Moskwę i Jerozolimę Poncjusza Pilata, Szatana i Jezusa Chrystusa, konfrontację dobra i zła oraz losy i sny outsidera w sowieckim społeczeństwie, pisarza uwięzionego w szpitalu psychiatrycznym, i jego muzy.

„Karygodna satanistyczna propaganda”

Reżyser Michail Łokszyn (a właściwie Michail Lokshin – bo władze utrzymują obecnie, że nie ma rosyjskiego obywatelstwa) po ukończeniu psychologii na Uniwersytecie w Moskwie przeniósł się do Londynu, gdzie zaczął kręcić reklamy. W kinie fabularnym zadebiutował w 2020 r. – pokazanym premierowo na festiwalu w Moskwie filmem „Srebrne łyżwy”, który był pierwszą rosyjskojęzyczną produkcją Netfliksa pokazywaną globalnie. Łokszyn urodził się w 1981 r. w USA w rodzinie rosyjskich emigrantów. Jego ojciec naukowiec uciekł z ZSRR przed antysemityzmem, ale pozostał komunistą z przekonania – rodzina wróciła do Moskwy w 1986 r.

Do udziału w swoim drugim filmie Łokszyn namówił popularnych rosyjskich aktorów, a rolę Wolanda powierzył Niemcowi Augustowi Diehlowi (znanemu m.in. z „Bękartów wojny” Tarantino). Oprawił film efektami specjalnymi w hollywoodzkim stylu, ale zdaniem krytyków filmowych udało mu się oddać niesamowity klimat powieści Bułhakowa, a przede wszystkim uwypuklić całą jej polityczną drapieżność. A rosyjska publiczność najwyraźniej docenia to, co u Bułhakowa najważniejsze: uniwersalną aktualność hymnu na cześć wolności. Oraz atak na totalitarną władzę – reżim radziecki tak samo, jak każdy inny – za

jej opresyjność, wynaturzenia, obłudę i zepsucie.

To aż nadto, by rosyjscy ultrapatriotyczni zeloci wpadli w szal. Na łamach kremlofskich mediów pomstują teraz na „wywrotowy” film finansowany z funduszy państwowych, którego reżyser otwarcie opowiedział się przeciwko inwazji na Ukrainę. W wyniku czyjego fatalnego niedopatrzenia coś takiego mogło zostać dopuszczone do dystrybucji? – pytają. Faktycznie, projekt, którego realizacja rozpoczęła się jeszcze przed wojną w Ukrainie, otrzymał w 2021 r. wysoką dotację z rosyjskiego ministerstwa kultury, a mimo pewnych kłopotów z postprodukcją ostatecznie uniknął cenzury.

„Godne ubolewania jest to, że trwający renesans naszego kina, który obejmuje wiele genialnych patriotycznych arcydzieł, zostaje przerwany przez tę demonstrację terrorystycznej i satanistycznej propagandy wygenerowanej przez sponsora ukraińskich sił zbrojnych”, grzmi Jegor Chołmogorow, publicysta Russia Today. „Byłoby wysoce pożądane, aby takie projekty zostały wyeliminowane z pejzażu rosyjskiej kultury”, dodaje, powtarzając oskarżenia, że reżyser filmu, który jakiś czas temu opuścił Rosję, zaangażował się w gromadzenie wsparcia finansowego dla armii ukraińskiej.

Bułhakow „paląco aktualny”

„Czy lajdak, który nie ukrywa swojej rusofobii i chce, aby jego armia i kraj zostały pokonane, ma prawo do rozpowszechniania swoich plugawych myśli poprzez dzieło tzw. sztuki?” – pyta Trofim Tatarenkow, prezenter Radia Sputnik. I ubolewa nad faktem, że wielu takich „rusofobów” jest nadal „bezkrytycznie czczonych”: Sołżenicyn, Sacharow, Szalamow.

W tej sytuacji nie można wykluczyć wycofania filmu z kin. Ataki jak na razie przyczyniły się do ogromnego zainteresowania nim ze strony publiczności, pragnącej go zobaczyć, zanim zostanie zdjęty. Tym bardziej że ludzie opowiadają sobie o filmie, który w zasadzie jeden do jednego można odnieść do realiów współczesnego rosyjskiego reżimu. Według krytyka Antona Dolina (który również opuścił Rosję) „nowa adaptacja Bułhakowa bardziej przypomina rzeczywistość Putina niż Stalina i jest dosłownie naszpikowana symboliką o dojmującej aktualności”.

Na przykład improwizowana tyra-da poety arywisty Iwana Bezdonnego, jednej z postaci drugoplanowych: „Po co nam raj? Pojedźmy na Krym!” czy uwaga: „Ropa naftowa to nasz duchowy pokarm!”. Dolin zwraca też uwagę, że w centrum filmowej Moskwy odbywają się parady sportowców, podobne do tych, które szef Kremla chce przywrócić do mody. Do tego Szatan, alias magik Woland, znakomicie zagrany przez Augusta Diehla, którego wyraźny cudzoziemski akcent natychmiast identyfikuje go jako „agenta zagranicy” – czytelna dla wszystkich aluzja do obecnej paranoi podsycanej przez Kreml. ●



Adam Michnik poleca **Oskarżony Oleg Orłow**

DOBRY CZŁOWIEK W REKACH RZEŹNIKÓW

Ktoś tam mówi, że jego działania są antyrosyjskie. Więc pytam: czy śmierć, represje, strzelaniny są na korzyść Rosji?

Dmitrij Muratow

PROCES ORŁOWA. O CO SIĘ TOCZY?

Oleg Orłow, obrońca praw człowieka i współtwórca stowarzyszenia Memorial, jest sądzony od czerwca 2022 r. za „dyskredytowanie armii” w artykule „Chcieli faszyzmu, no to go mają”, opublikowanym przez francuski serwis Mediapart. Orłow skrytykował w nim agresję na Ukrainę i nazwał rosyjski reżim faszystowskim.

11 października 2023 r. odbyła się siódma rozprawa w tej sprawie. Prokurator wniósł o skazanie Orłowa na karę grzywny w wysokości 250 tys. rubli (ok. 11 tys. zł). On sam prosił o uniewinnienie. Wyrok zapadł jeszcze tego samego dnia: 150 tys. rubli grzywny (6,5 tys. zł). 26 października Orłow i jego obrońcy złożyli apelację od wyroku. Podczas rozprawy 14 grudnia sędzia uchylił wyrok. Orłow wyszedł na wolność.

Sprawa toczy się nadal. Broni go m.in. jako „publiczny obrońca praw” Dmitrij Muratow, naczelny niezależnej „Nowej Gazety”, noblista.

Tekst to druga część jego mowy końcowej, wygłoszonej przed sądem 11 października. Część pierwsza ukazała się w „Wolnej Sobocie” tydzień temu.

Patrycja Eiduka

O AKCIE OSKARŻENIA

Mam przed sobą akt oskarżenia Orłowa. Arcydzieło myśli prawniczej.

Akt oskarżenia jest PODSTAWOWYM AKTEM PROCESOWYM POSTĘPOWANIA PRZYGOTOWAWCZEGO. Śledztwo systematyzuje w nim dowody, zeznania złożone podczas dochodzenia w sprawie karnej, ocenia ten materiał dowodowy. Akt ten uzasadnia oskarżenie, jest sporządzany przez śledczych (w naszym przypadku pana Sawczenkę), zatwierdzany przez prokuratora i staje się PODSTAWĄ oskarżenia państwowego.

Na czym skupili się śledczy I. Sawczenko, jego szef podpułkownik A. Tarasow i prokurator E. Kreczetowa? Co usystematyzowali?



wali? Na podstawie czego O. Orłowowi postawiono zarzuty? A grozi mu do pięciu lat pozbawienia wolności.

W akcie oskarżenia znajdują się tylko trzy dokumenty. Analiza artykułu Orłowa, przeprowadzona przez ekspertów Tarasowa i Kriukową, oraz protokoły przesłuchań świadków Bochonki i Mironienki.

Wadim Walentynowicz Mironienko jest dyrektorem wykonawczym ogólnorosyjskiego ruchu społecznego Weterani Rosji. Siergiej Aleksandrowicz Bochonko jest koordynatorem tego samego ruchu.

Mironienko został przesłuchany przez śledczego Sawczenkę 5 kwietnia 2023 r. Jego przesłuchanie trwało dokładnie 30 minut. Bochonko był przesłuchiwany pięć dni później, również przez 30 minut. Obaj zeznali, że zdanie w tytule artykułu Orłowa: „Chcieli faszyzmu, no to go mają” to próba zdyskredytowania Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

To stwierdzenie, powszechne w naszych czasach, zwróciło moją uwagę z dwóch powodów.

Powód pierwszy: w aktach sprawy nie ma żadnych oświadczeń z ich strony skierowanych do organów śledczych z żądaniem wszczęcia postępowania przeciwko Orłowowi! Zostali po prostu zaproszeni na przesłuchanie. Oznacza to, że śledczy Sawczenko bez wahania zadzwonił do Mironienki i Bochonki, wybierając właśnie ich dwóch spośród

ok. 109 mln pełnoletnich obywateli FR. Śledczy Sawczenko jest obdarzony wyjątkową intuicją i talentem detektywistycznym.

Ale drugi powód, który zwrócił moją uwagę, uwagę eksperti Nowożiłowej i mojej współpracownicy Katieriny Tertuchiny, jest absolutnie uderzający. Otóż Mironienko i Bochonko, bez żadnego oświadczenia z ich strony, byli przesłuchiwani, jak państwo pamiętają, oddzielnie, a nawet w różnych dniach. Jednak ich zeznania są identyczne.

Do czego można to porównać? Do śpiewu chóralnego. Do pływania synchronicznego. Poprosiliśmy eksperta o ocenę tej synchronizacji z naukowego punktu widzenia. Dokonałiśmy też matematycznych obliczeń prawdopodobieństwa zbiegu okoliczności.

Jedyną rzeczą, która różni się w zapisach przesłuchań, jest status świadków. Jeden jest dyrektorem wykonawczym, a drugi koordynatorem. Istnieje również różnica w imionach i datach urodzenia świadków. Koniec różnic.

Jeden z wielu przykładów. Różne osoby wypowiadają tutaj ten sam tekst: „Pracownicy Stowarzyszenia »Memorial« próbują zdestabilizować sytuację wewnętrzną w FR, przeprowadzając analizę polityki zagranicznej i wewnętrznej ZSRR za rządów Stalina; stworzyli system broni informacyjnej, której użycie doprowadziło do upadku ZSRR”.

Jakie jest matematyczne prawdopodobieństwo zbieżności zeznań obu świadków? Wynik to 0,000001. W PRZYRODZIE OŻYWIONEJ I NIEOŻYWIONEJ TAKIE ZBIEGI OKOLICZNOŚCI NIE ISTNIEJĄ.

Przyjrzyjmy się głównemu wnioskowi ekspertów [Tarasowa i Kriukowej]. Brzmi on, uwaga: „Autor twierdzi, że Rosja stanie się źródłem bezpieczeństwa dla krajów europejskich, a źródłem wewnętrznej spójności i współpracy ludzi w państwie rosyjskim, według autora (tj. O.P. Orłowa), jest specjalna operacja wojskowa”.

Zatem dlaczego Orłow jest sądzony? Według ekspertów jest on apologetą specjalnej operacji wojskowej! Proszę go nagrodzić i wypuścić!

•••

Śledztwo otworzyło mi oczy na prawdziwe oblicze Olega Orłowa, którego działalność znam od 30 lat. Już na pierwszej stronie zarzutów w sprawie Orłowa podana jest taka informacja: „Znajduje się pod nadzorem lekarza specjalisty od narkotyków i psychiatry”. Czyli uznano Orłowa za alkoholika i narkomana.

Pomogliśmy O.P. Orłowowi w przezwyciężeniu tych szkodliwych namiętności, gdybyśmy tylko o nich wiedzieli! Lecz oskarżony nie znajduje się pod nadzorem ani psychiatry, ani specjalisty jak wyżej. Czyżby chciano skom-

promitować Orłowa? Przedstawić go opinii jako alkoholika z marginesu?

Oczywiście. Myślę jednak, że mamy tu zarazem do czynienia po prostu z fuszerką. I od takich niepiśmiennych ekspertów i śledczego zależy los człowieka. Jego zdrowie. Jego życie. Proszę sobie wyobrazić: iść pod nóż chirurga o takim samym poziomie kompetencji jak tych ludzi?

Wszystko zdaje się w porządku. Pieczęcie, podpisy, akta sprawy, świadkowie, biegli. W rzeczywistości to produkt podrabiany, samogon. Trująca, śmiertelność mikstura pod fałszywą etykietą.

Jak to możliwe? Dlaczego nasze „władze” zamieniają walczących z faszyzmem we wrogów ojczyzny, a faszystów zaczynają uważać za obrońców państwa? „Władze” nie boją się sądu. Są pewne, że wszystko się prześlizgnie. Wszystko im wolno!

UNICESTWIE TERRORYSTÓW CZY RATOWAĆ ZAKŁADNIKÓW?

15 sierpnia 2023 r. w obwodzie pskowskim, w miejscowości Wielkie Łuki, odsłonięto ośmiometrowy pomnik Stalina. Poświęcił go rektor miejscowego kościoła o. Antoni.

By zapobiec pytaniom o ofiarę Stalina, w tym wśród księży, o. Antoni złożył najważniejsze

oświadczenie w sferze budownictwa cerkiewnego: „Dzięki Józefowi Stalinowi mamy teraz wielu rosyjskich męczenników, do których możemy się modlić i którzy pomagają nam w odrodzeniu naszej ojczyzny”.

To jest prawdziwa troska o wierzących – podziękowania dla katów. I okazuje się, że to straceni, a nie żywi, pomagają naszemu państwu „w odrodzeniu”!

Bochonko i Mironienko jednogłośnie oskarżyli Memoriał i Orłowa o dyskredytowanie Stalina! Bo Stalin to podstawa państwowości w ZSRR i w Rosji.

Zewsząd słyszę, że trzeba rehabilitować Stalina, Bierię, a nie ofiary ich zbrodni. Ich zbrodnie są dobrem dla kraju. Miliony rozstrzelanych czy zmarłych w obozach to nie są zamęczeni na śmierć ludzie, tylko masowa dostawa świętych męczenników dla potrzeb rosyjskiej historii.

I tutaj zbliżamy się do głównego punktu spornego w naszej sprawie. CZY PAŃSTWO MOŻE ROZPORZĄDZAĆ ŻYCIEM OBYWATELI WEDŁUG WŁASNEGO UZNANIA, czy też prawo do życia jest głównym prawem człowieka? Z tego rodzi się kolejne pytanie: CZY POWINNIŚMY RATOWAĆ ZAKŁADNIKÓW, czy unicestwić terrorystów kosztem życia zakładników?

Budionnowsk, 14 czerwca 1995 r. Stare, spokojne miasto Kraju Stawropolskiego. Stawropol jest oddalony o 220 km. Do Moskwy – 1300 km, do Groznego – 300 km w linii prostej. 60-tysięczne miasto, z grubsza rzecz biorąc, znajdowało się pośrodku drogi między zakrwawioną Czechenią a spokojnym Stawropolem.

14 czerwca 1995 r. wojna dotarła do cichego, prowincjonalnego Budionnowska. W nocy 160 bojowców najbardziej brutalnego czeczeńskiego dowódcy Basajewa wjechało do miasta trzema ciężarówkami Kamaz i radiowozem.

Przed Budionnowskiem poproszono ich o dokumenty. Wtedy zastrzelili patrolujących, zajęli posterunek policji, wzięli do niewoli setki obywateli i zamknęli ich w centralnym budynku miejskiego szpitala. Przebywało tam wtedy 650 pacjentów, w tym prawie 150 na oddziale położniczym, oraz 450 lekarzy i pracowników medycznych.

Niezwłocznie zaminowali piwnice, w których znajdowały się butle z tlenem. Zastrzelili i sześć osób. I postawili ultimatum: albo zabijają zakładników, albo wojska federalne wycofają się z Czechenii. Basajew żąda obecności dziennikarzy. Władze zwlekają – terroryści rozstrzelują pięć osób.

Szpital zostaje otoczony przez żołnierzy. Ci widzą, że w oknach, jako ludzką tarczę, ci od Basajewa wystawili kobiety z oddziału położniczego trzymające prześcieradła z napisami: „Nie strzelajcie!”.

Dwóch lekarzy opuszcza na chwilę zdobyty szpital i informuje władze: jeśli dojdzie do szturmu, zginą wszyscy. Budynek jest zamieniany, okna, korytarze i wejścia zablokowane przez pacjentów.

Do miasta przybywają rosyjski komisarz ds. praw człowieka Siergiej Kowalow, jego prawa ręka – oskarżony Orłow, deputowani Rybakow, Kuroczkin, Borszczew i inni. Obiecano im, że nie będzie

szturmu. Wierzą w to. Ale okazuje się to kłamstwem!

W nocy siły specjalne i jedna z jednostek grupy Alfa rozpoczynają szurm. Mjr Solowow, dowódca grupy, zostaje zabity, a okna i ściany szpitala są ostrzeliwane. Jedną z pierwszych ofiar jest policjantka, która dzień wcześniej została przyjęta na oddział położniczy – strzał z granatnika rakietowego trafil ją i jej nienarodzone dziecko. Później „policzono” ją jako jedną osobę...

Obrońcy praw człowieka donoszą [Wiktorowi] Czernomyrdinowi: wbrew jego instrukcjom przeprowadzono szurm. Otrzymują od wściekłego z powodu nieudanej i krwawej akcji rosyjskiego premiera mandat negocjacyjny. Kowalow, Orłow i inni członkowie grupy idą do szpitala. Strzelą do nich czy nie? Pokonują 700 metrów w kierunku szpitala; każdy ich krok może być ostatnim.

Tutaj, w sądzie, przesłuchiwaaliśmy Julija Rybakowa, wówczas deputowanego do rosyjskiej Dumy.

– Co zobaczył pan w szpitalu po nieudanym ataku? – Złotki. Mózgi. Krew. Ciała na korytarzach i w szpitalnych salach.

I setki przerażonych ludzi w stanie przedzawałowym. W takich warunkach rozpoczęli walkę o ocalenie życia prawie 1500 osób.

Kłamstwem i obrzydliwością jest twierdzenie, że grupa Kowalowa rzekomo udaremniła atak. Pomijając fakt, że kilku nieuzbrojonych ludzi nie jest w stanie powstrzymać armii, rozpoczęli negocjacje, gdy szurm został odparty, zginęły dziesiątki osób.

Oto pierwsze zdjęcie, zrobione przez zdesperowanego profesjonalistę, korespondenta specjalnego Walerija Jakowa. Oto Basajew, Kowalow, a tutaj oskarżony Orłow. To kluczowy punkt negocjacji.

Obrońcy praw człowieka odmawiają rozmów z terrorystami na temat wycofania wojsk. Ale obiecują rozmawiać o zawieszeniu broni w Czechenii. Żądają od terrorystów uwolnienia 100 kobiet z bloku położniczego.

Basajew ostro się targuje: – Jeśli wypuszczę kobiety, zostaną bez osłony przed ostrzałem. To się nie uda. Co dostanę w zamian?

Odpowiadają, wśród nich oskarżony Orłow: – Nas.

Oni – Kowalow, Orłow, który właśnie spisywał główne punkty „Zobowiązań” obu stron, Rybakow – zaoferowali siebie zamiast zakładników. To była dla Basajewa cenna oferta. I pierwsze zwycięstwo Orłowa i jego towarzyszy.

Proszę, oto zdjęcie! III kobiet opuszcza szpital, żyją! Na ich miejscu pozostali absolutnie obcy tym kobietom, potwornie zmęczeni, odważni i stanowczy ludzie – Kowalow, Rybakow, Borszczew, Kuroczkin i ten oto oskarżony Orłow.

Moskwa dostarczyła sześć autobusów w zamian za uwolnienie pozostałych zakładników. Aby uwolnić prawie 1200 kolejnych osób, grupa Kowalowa z oskarżonym Orłowem musiała się stać ludzką tarczą i siedzieć w tych autobusach przy oknach. Gdy ich tam wsadzono, byli pewni, że nie przeżyją. Ten konwój nie mógł dotrzeć do Czechenii: zostanie zbombardowany, wysadzony w powietrze, terroryści zabici, zakładnicy też.

Tylko przypadek sprawił, że udało się uniknąć zagłady terrorystów i zakładników – prezydent Osetii Północnej, Gałazow, wyjechał im na przeciw, aby uniemożliwić wjazd do republiki, dokładnie w miejsce, gdzie czekała na nich zasadzka.

Wspaniały korespondent wojenny Jakow również był pasażerem tego konwoju, podobnie jak inni dziennikarze. Uratowali prawie 1500 osób!

Ojciec Antoni,
duchowny
prawosławny:
Dzięki Józefowi
Stalinowi mamy
teraz wielu rosyjskich
męczenników.
Możemy się
do nich modlić,
a oni pomagają nam
w odrodzeniu naszej
ojczyzny

W Budionnowsku zginęło 129 osób, 18 policjantów, 17 wojskowych, 415 osób zostało rannych, 17 terrorystów zostało zabitych. Dziewięć lat później w Biesłanie, podczas ataku terrorystycznego i po zajęciu szkoły, podjęto inną decyzję – o rozpoczęciu szturmu. Zginęły tam 334 osoby.

Jak powiedziałby o. Antoni: mamy nowych męczenników. A ja bym wołał, żeby ci, którzy zginęli, nadal żyli. Nie jako święci, ale jako ludzie zwykli, grzeszni, szczęśliwi, bogaci czy biedni, tacy, którzy żyją swoim życiem...

Oskarżony Orłow broni tego prawa do życia. Tym właśnie jest „obrońca praw człowieka”. A kiedy ktoś mówi, że działania na rzecz praw człowieka są antyrosyjskie, pytam: czy w takim razie śmierć, represje, strzelaniny są na korzyść Rosji?

Nasi dziennikarze niedawno odnaleźli tych, których uratowali Kowalow, oskarżony Orłow i inni. Wielu lekarzy nadal żyje, prawie wszystkie niemowlęta z Budionnowska wychowują już własne dzieci.

Kiedy mówią: „życie toczy się dalej”, nie jest to do końca prawda. Życie nie toczy się samo. Zostało uratowane i pozwolono mu trwać dzięki ludziom takim jak oskarżony. Czasem myślę, że to my powinniśmy stanąć przed nim, a nie on przed nami.

Negocjacje, które ci cywile przeprowadzili, z pewnością zakończyły się sukcesem: ● żądania terrorystów zostały ograniczone; ● agresja i groźby zredukowane; ● od początku negocjacji nikt nie zginął; ● negocjacje zostały wzięte pod uwagę przez służby bezpieczeństwa.

Dziękuję, panie oskarżony!

FINAŁ

Przeczytałem tekst, za który Oleg Orłow jest teraz sądzony, ocza-

mi redaktora naczelnego z 30-letnim doświadczeniem.

Orłow mówi o konstytucyjnych podstawach istnienia państwa. O prawach i wolnościach człowieka. Broni art. 55 konstytucji: „W Federacji Rosyjskiej nie mogą być wydawane ustawy znoszące lub umniejszające prawa i wolności człowieka i obywatela”.

Jednak „specjalna operacja wojskowa” ograniczyła prawa i wolności człowieka i obywatela. Praktycznie przestał funkcjonować art. 29 konstytucji: „nikt nie może być zmuszany do ujawniania swoich opinii i przekonań albo DO WYRZECZENIA SIĘ ICH”. I dalej: „Każdy ma prawo do swobodnego (...) rozpowszechniania informacji w dowolny, zgodny z prawem, sposób (...). CENZURA JEST ZABRONIONA”.

Państwo rozpoczęło działania zbrojne na terytorium sąsiedniego kraju. Kontynuując tradycję założyciela Memoriału Andrieja Sacharowa, który wezwał rząd radziecki do zaprzestania krwawej wojny w Afganistanie, obecny szef Memoriału, Orłow, przestrzegal nas, kraj i władze, przed powtórzeniem katastrofy militarnej. Wyraźnie ostrzega, że te działania doprowadzą do zemsty „ciemnych sił”, do przejawów faszyzmu.

I widzimy, że Sacharow miał absolutną rację wtedy, ostrzegając, że ZSRR podważy swoje istnienie, a Orłow ma rację teraz, ostrzegając przed niebezpieczeństwem wypłynięcia ciemnych, profaszywowskich sił.

Ideolog faszyzmu Dugin dziesięć lat temu wprost nawoływał do „świt u krwawego, rosyjskiego faszyzmu”, a teraz na głównej stronie rządowej otwarcie ogłosił początek ery masowych represji wobec zwolenników pokoju!

Zbuntowali się zwolennicy najbardziej brutalnych wojskowych metod prowadzenia specjalnej operacji wojskowej. Zestrzelili samoloty. Żądali wydania im ministra obrony. Nie zostali oficjalnie pociągnięci do odpowiedzialności. I oto osądzamy Orłowa za

to, że przed powstaniem takiej właśnie junty nas przestrzegali!

Oleg Orłow przez dekady ratował ludzkie życie. Twierdził, że patriotyzm to miłość do własnego kraju, a nie nienawiść do innych. Był przeciwnikiem przemocy. Teraz osądzamy go za to, że miał rację! Ci, którzy donieśli na Orłowa, są nikim innym jak zwolennikami faszyzmu.

Ja też jestem winny. Zadaję sobie pytanie: czy wydrukowałbym wtedy, w marcu 2022 r., artykuł Orłowa, którego przesłanie mniej więcej rok później się spełniło? Nie, nie zrobiłbym tego. Bałbym się konsekwencji. Tych, które teraz spotkały Orłowa. Bałbym się oskarżeń dziennikarzy gazety.

Podobnie jak Sacharow Orłow działał na własną rękę. Dla kraju. Przeciwno masowej śmierci mieszkańców Rosji i Ukrainy. Przeciwno KONFISKACIE przyszości.

I na koniec skrócona wersja mojego wystąpienia:

„Wysoki Sądzie! Oleg Orłow ostrzegał nas przed rewanżyzmem, przed niebezpieczeństwem buntu »ciemnych sił«, przed faszyzmem. Okazało się, że miał całkowitą rację.

Artykuł Olega Orłowa jest wrogi przemocy, a nie Rosji! Oleg Orłow nie może być sądzony. Prokuratura próbowała uznać jego postępowanie za przestępstwo. I oskarżyć go o użycie nieodpowiednich metod. Ale NIE MA KARY BEZ ZBRODNI!

Wysoki Sądzie! Oleg Orłow jest sądzony jedynie za to, że stał na straży konstytucji, dlatego uwięzić go można tylko razem z nią! (Wręczam Olegowi konstytucję FR).

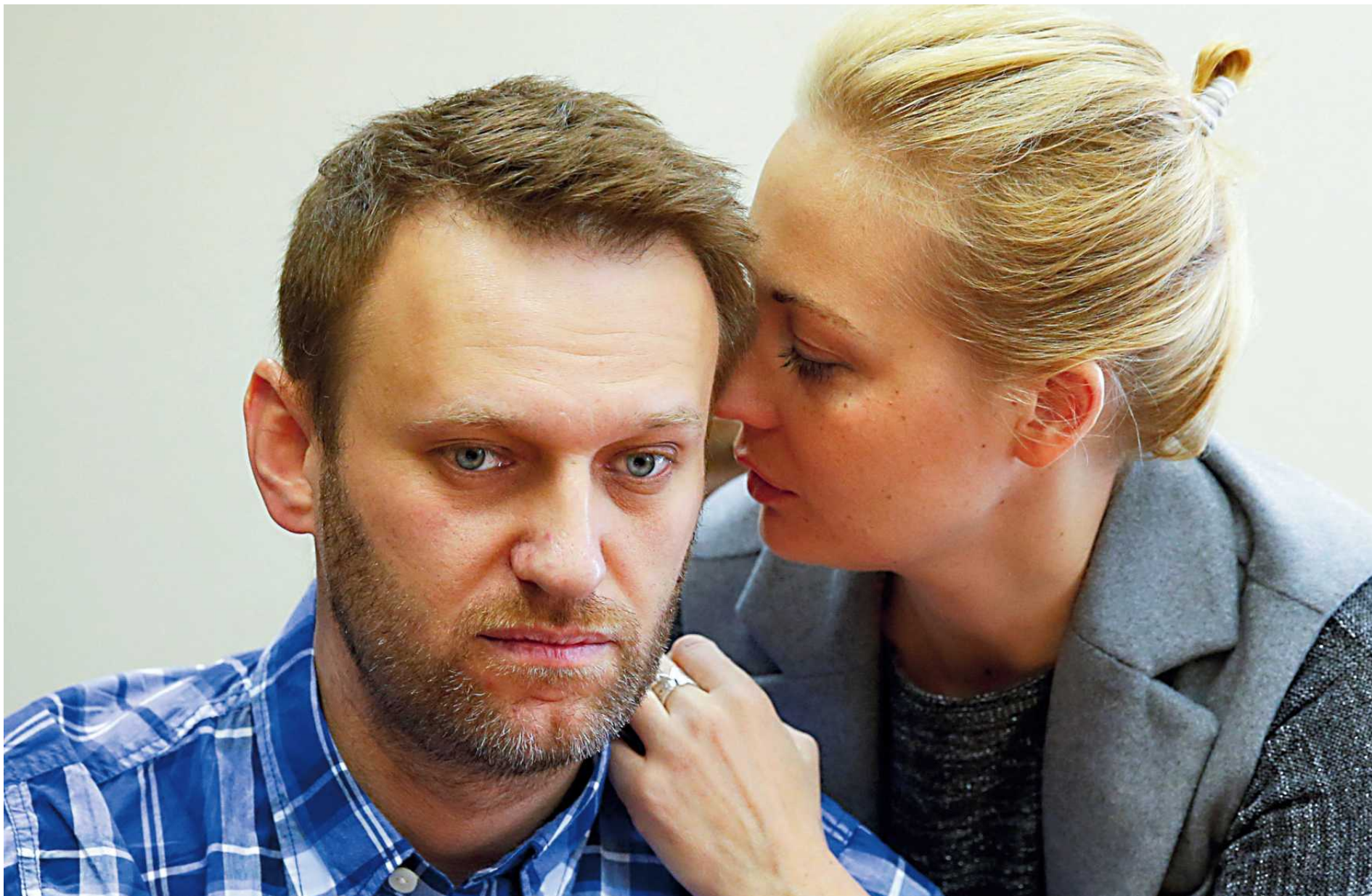
Szanowny Sądzie! Proszę całkowicie uniewinnić Olega Orłowa”.

Obrońca D.A. Muratow ●
przeł. **Patrycja Eiduka**

Tytuł – „Wyborcza”.
Więcej: **Wyborcza.pl/magazyn**

REKLAMA					KRAJ/34302993
CUIAVIA Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Inowrocławiu					
zaprasza członków Spółdzielni na Zebrania Rejonowe, które odbędą się zgodnie z poniższym harmonogramem					
HARMONOGRAM ZEBRAŃ REJONOWYCH DLA CZŁONKÓW SPÓŁDZIELNI W 2024 ROKU.					
Lp.	DATA	GODZ.	LOKAL	REJON OBEJMUJĄCY NASTĘPUJĄCE GMINY	
1.	11.03.2024	11 ⁰⁰	RESTAURACJA „MIRANA” INOWROCŁAW ul. Nowa 32	Gmina: Aleksandrów Kujawski, Zakrzewo, Bądkowo, Dobrze, Osiecin, Radziejów, Gniewkowo, Inowrocław, Jeziora Wielkie, Mogilno	
2.	12.03.2024	11 ⁰⁰	RESTAURACJA „MIRANA” INOWROCŁAW ul. Nowa 32	Gmina: Barcin, Łabiszyn, Szubin, Kcynia, Nakło, Dąbrowa Biskupia, Rojewo,	
3.	13.03.2024	11 ⁰⁰	RESTAURACJA „MIRANA” INOWROCŁAW ul. Nowa 32	Gmina: Janikowo, Kruszewica, Strzelno, Złotniki Kujawskie, Nowa Wieś Wielka	
4.	14.03.2024	11 ⁰⁰	RESTAURACJA „MIRANA” INOWROCŁAW ul. Nowa 32	Gmina: Dąbrowa Mogileńska, Żnin, Rogowo, Pakość	
5.	15.03.2024	11 ⁰⁰	RESTAURACJA „MIRANA” INOWROCŁAW ul. Nowa 32	Podmioty prawne, pracownicy	
PORZĄDEK ZEBRANIA					
1. OTWARCIE ZEBRANIA					
2. WYBÓR PRZEWODNICZĄCEGO I SEKRETARZA					
3. ZATWIERDZENIE PROGRAMU ZEBRANIA					
4. ZŁOŻENIE SPRAWOZDANIA Z DZIAŁALNOŚCI SPÓŁDZIELNI ZA 2023 ROK I OKREŚLENIE PLANÓW NA ROK 2024					
5. OMÓWIENIE TEMATÓW, KTÓRE BĘDĄ PRZEDMIOTEM OBRAD ZEBRANIA PRZEDSTAWICIELI					
6. DYSKUSJA					
7. SPRAWY RÓŻNE					
8. ZAKOŃCZENIE ZEBRANIA					
Zarząd					
Cuiavii Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Inowrocławiu					

FOT. REUTERS/TATYANA MAKEYEVA



Umarł Nawalny, niech żyje Nawalna

Najpierw długo płakała, a potem zrobiła się **ZŁA**

„Julia będzie cicho, cicho, a potem unicestwi cię jednym słowem”. W patriarchalnej i seksistowskiej Rosji kobieta obali samodzierżawie?

Wiktoria Bieliaszyn

Delikatny makijaż, elegancka sukienka, czerwony manicure, nienaganna postawa. Julia Nawalna po raz pierwszy zwróciła się do Rosjan w poniedziałek, trzy dni po otrzymaniu informacji o zabójstwie męża w kolonii karnej. Spokojnym głosem, w którym jednak w kluczowych momentach słychać było to smutek i czułość, to groźbę, blondynka, dotychczas znana światu jako „żona rosyjskiego opozycjonisty”, powiadomiła o decyzji, że przejmie sztafetę po mężu i wejdzie do polityki. „Będę kontynuowała dzieło Nawalnego. Będę walczyła o nasz kraj razem z wami”, mówiła.

Jej opanowanie i profesjonalizm wzbudziły szok zarówno zwolenników rosyjskiej opozycji, jak i jej przeciwników. Zwią-

zana z Kremlen doradczyni polityczna Maria Siergiejewa komentowała: „»House of Cards«. Aktorskie mistrzostwo: technika mowy, mimika, gesty, zachowanie przed kamerą. Żeby tak dobrze wypaść przed kamerą, trzeba co najmniej rok ćwiczyć. Czyli przygotowywała się. Postać jak z serialu Netfliksa”.

Krytyczni wobec Kremla Rosjanie widzieli to inaczej. „Najpierw długo płakała, a potem zrobiła się zła”. Cytat z „Mistrza i Małgorzaty” Bulhakowa nie jest przypadkowy. Takimi słowami Małgorzata opisała własną przemianę. Ciężpienie zrodziło w jej duszy bezwzględność i okrucieństwo, a bohaterka świadomie je wykorzystwała, mszcząc się na prześladowcach Mistrza.

Inni, wyraźnie szydząc z częstego odwoływania się Putina do historii Rosji, Nawalną porównują nie do fikcyjnej, ale historycznej postaci, której gniew i pragnienie zemsty za krzywdę ukochanego męża skończyło się krwawo dla jego oprawców. Mowa o księżnej Oldze, żonie Igora Rurkowicza, księcia Rusi Kijowskiej, zabitego przez Drewlan. Według latopisu „Powieść minionych lat” Olga odpłaciła Drewlanom pięknym za nadobne, najpierw zabijając wielu na różne sposoby, na przykład paląc i zakopując żywcem, a następnie – podbijając ich ziemie.

Memy przedstawiające Julię Nawalną jako księżną Olgę błyskawicznie rozeszły się na Twitterze, Facebooku i Instagramie, prowokując zajadłe dyskusje. Sceptycy wyśmiewali tych, którzy ze wszystkich sił starają się przedstawić żonę słynnego opozycjonisty jako potencjalne zagrożenie dla reżimu. Nie brak jednak głosów zwracających uwagę na nie do końca oczywiste dla szerszej publiczności cechy Nawalnej, z których zna ją najbliższe otoczenie. „Nie ma w niej wyrozumiałości wobec ludzkich słabości ani wielkoduszości, które były organicznymi cechami Aleksieja. Nie ma też jego uroku ani uśmiechu. Julia jest ostra i twarda, co zresztą zawsze było oczywiste, a teraz na dodatek jest przepelniona żalem i wściekłością. To dobrze” – mówi pisarka Anna Biersieniewa przekonana, że to połączenie może się stać wielką siłą, zdolną poprowadzić Rosję ku przemianom.

Podobne światło na tę kwestię rzuca Christo Groziew, dziennikarz śledczy Belingcat, zaprzyjaźniony z rodziną Nawalnych. Krótko przed powrotem Aleksieja do Rosji Groziew rozmawiał z Julią i wyrażał obawy co do słuszności pomysłu. Dziennikarz, który ujawnił światu, że za próbą otrucia Nawalnego stoją agenci FSB, najpierw zobaczył na jej twarzy dobrośliwy uśmiech, a później usłyszał: „Christo, jesteś taki naiwny. Oni nie tylko go aresztują, ale też będą

przez lata więzić w gluszy. A może i go zabiją”.

W wywiadzie dla Meduzy Groziew opowiada, że teraz siła i kategoryczność Julii zdumiewają go jeszcze bardziej.

Dziennikarz spotkał się z nią i współpracownikami Aleksieja w piątkowy wieczór w Monachium, kilka godzin po tym, jak światem wstrząsnęła wiadomość o śmierci polityka. „Uderzył mnie jej bojowy duch. Mimo smutku już myślała o przyszłości. Tak, płakała, ale razem ze współpracownikami Aleksieja dyskutowała również o tym, jak się zemścić, aby coś naprawdę zmieniło się w systemie. Zrozumiałem, że była oswojona z możliwością jego śmierci od dawna, a to sprawiło, że natychmiast była w stanie znaleźć w sobie siłę. Nawet po to, by porozmawiać o tym, jakie nowe sankcje powinny zostać wprowadzone”.

Jeśli nawet takie porównania i opowieści są przesadnie patetyczne, to dlatego, że wynikają z wyraźnej potrzeby nowego symbolu. Rosjanie potrzebują dzisiaj człowieka, którego obecność pomoże im zmierzyć się z emocjami po śmierci naprawdę popularnego Nawalnego. Takiego, który da im cień nadziei na zmiany. Dziennikarz Dmitrij Koleziow pisał w Telegramie: „Bardzo dobrze, że Julia Nawalna podjęła odważną i trudną decyzję o kontynuowa-

niu pracy męża. Płomień nadziei znów się rozpalil”. Dostrzegli go też Białorusini po poniedziałkowym spotkaniu Nawalnej z przywódcami UE w Brukseli. „Rosja ma swoją Światłąnę Cichanouską. Nazywa się Julia Nawalna. Ostatnia nadzieja dla martwego kraju”, napisał popularny białoruski bloger kryjący się pod pseudonimem Belarus 1937.

Eksperci sprzeciwiają się tym porównaniom. Z różnych powodów. Ci, którzy przez lata byli z Nawalnymi blisko, zwracają uwagę, że porównywanie Julii do liderki białoruskiej opozycji po prostu nie jest właściwe. Fiodor Kraszennikow, politolog i publicysta związany z założoną przez Nawalnego Fundacją Walki z Korupcją, przypominał, że Julia, w przeciwieństwie do Cichanouskiej, polityką, choć dotąd nieoficjalnie, zajmuje się od lat. Bardziej zdystansowani zwracają uwagę na inny, istotny niuans. Cichanouska nieoficjalnie wygrała w 2020 r. wybory prezydenckie na Białorusi. Zarówno przedstawiciele opozycji, jak i znaczna część społeczeństwa nie mają wątpliwości co do tego, że Cichanouska jest legalnie wybraną prezydentką, której ukradziono zwycięstwo. W oczach wielu Białorusinów, niezależnie od tego, jak postrzegają jej działalność dzisiaj, Cichanouska jest nie opozycjonistką emigrantką, ale głową państwa na uchodźstwie. Julia Nawalna takiego statusu nie ma. Co więcej, od momentu uwięzienia Aleksieja nie angażowała się w sprawy polityczne. Zajmowała się jedynie kampanią, której celem było uwolnienie męża.

To było dla niej typowe. Jeśli już udzielała wywiadów, to podkreślała, że działalność polityczna jej nie interesuje, a większą satysfakcję czerpie z „bycia żoną polityka”. W jednej z nielicznych rozmów z dziennikarzami zapewniała, że nie wtrąca się w sprawy służbowe męża, pozostawiając sobie w zamian prawo do decydującego głosu w domu i w kwestiach wychowawczych ich dwojga dzieci. „Moim głównym zadaniem jest, by bez względu na wszystko, nic się nie zmieniło w rodzinie: dzieci były dziećmi, a dom był domem”.

Tylko że dom Nawalnych trudno nazwać standardowym rosyjskim domem, w którym mąż odpowiada za zapewnienie rodzinie bytu, a żona – za pielęgnowanie domowego ogniska. Nawalna, jak gdyby przypadkiem, sama przyznała się do zaangażowania w 2021 r., nazywając wprost to, co dotąd mogliśmy jedynie obserwować. „To, co robię, jest również w pewnym stopniu polityką”, mówiła, zwracając uwagę, że zawsze towarzyszy mężowi, m.in. podczas protestów czy w sądach. A to nie jest typowe dla rosyjskiej polityki, gdzie żony polityków i działaczy są często osobami niepublicznymi. „Na każdym etapie kariery Aleksieja Julia zawsze była u jego boku. Była między nimi jakaś telepatyczna więź. Czasami nie musieli nawet rozmawiać, myśleli podobnie”, mówiła Politico Anna Wieduta, była rzeczniczka Nawalnego.

Z kolei Jewgienija Albac, redaktorka naczelna portalu The New Times, a prywatnie przyjaciółka Nawalnych, trzy lata temu opowiadała na łamach „Vanity Fair”: „Polityk Nawalny to dwie osoby: Julia i Aleksiej. Ona jest jego redaktorką naczelną, czyta wszystko, co napisze, zanim zostanie opublikowane. Jest też jego kluczowym doradcą. Aleksiej konsultuje się z Julią i omawia z nią wszelkie pomysły”. Dziennikarka opisywała Nawalną jako uważną i bystrą obserwatorkę. „Aleksiej zażartował kiedyś, że jego żona jest jeszcze bardziej radykalna niż on sam”, wspominała.

Osoby z bliskiego otoczenia Nawalnych nieraz opowiadały, że w anegdocie Albac jest więcej niż ziarno prawdy. I że to Julia ponosi odpowiedzialność za część konfliktów męża z innymi przedstawicielami rosyjskiej opozycji, których „oceniała o wiele bardziej surowo”. „Informator, który zna Nawalnych od dekady, powiedział mi: Julia będzie cicho, cicho, a potem unicestwi cię jednym słowem” – opisywała w 2021 r. dziennikarka „Vanity Fair”. Usprawiedliwia-

jąc Julię: bezkompromisowość, radykalność i kategoryczność Nawalnej w dużej mierze ukształtowały się pod wpływem opresji, jaką jej rodzinę otoczył reżim.

Potwierdził to sam Nawalny. Jesienią 2021 r., już po próbie zabicia go przez agentów FSB, opowiadał, jak to, przez co przeszła Julia, walcząc o prawo do przewiezienia zatrutego nowiczkciem Aleksieja do berlińskiej kliniki, ją zradycalizowało. „Jeśli musisz biegać po szpitalu, aby wyciągnąć z niego męża, i widzisz w nim w tym samym czasie polityków partii władzy, to oczywiście stajesz się bardziej zradycalizowany. Kiedy nie jesteś politykiem i widzisz, jak te ciemne siły próbują działać na szkodę twojej rodziny, to radykalizujesz się na poziomie emocjonalnym”.

Dla wielu Nawalna już wtedy jednak polityczką była. „Myślę, że Julia lubi być polityczką w cieniu”, mówiła Albac. Teraz z tego cienia wyszła. Pytanie, czy żona dyskredytowanego przez lata przez państwową propagandę polityka, działającego rzekomo w interesach Zachodu, może tzw. zwykłych Rosjan, okłamywanych przez lata, do siebie przekonać? Eksperti mają poważne wątpliwości. Tatiana Stanowa z Centrum Studiów Rosyjskich i Euroazjatyckich Carnegie uważa, że ludzie mogą być bardzo sceptyczni wobec Julii. „Trudno będzie jej się przebić. Nie tylko ze względu na wizerunek zwolenniczki liberalnych, zachodnich wartości, ale też jako postaci, która zdaniem państwowej propagandy jest wykorzystywana przez Zachód do obalenia Putina”.

To niejedyny problem. Niezależnie od tego, jaki wkład w działalność i wpływ na narrację Aleksieja Nawalnego miała jego żona, nie jest ona... no właśnie, Aleksiejem Nawalnym. Słynny politolog Francis Fukuyama, zapytany przez „Financial Times”, kto mógłby zostać nowym liderem opozycji, odpowiedział najpierw stanowczo, że nie ma takiej osoby. A dopiero później dodał: „Julia jest kobietą o bardzo silnej woli. Być może będzie w stanie przejąć paleczkę. Dopiero okaże się, czy ma te ważne cechy, które miał jej mąż, takie jak wyjątkowe poczucie humoru i umiejętność rozmawiania ze zwykłymi ludźmi”.

A z tymi „zwykłymi ludźmi” trudno rozmawiać, zwłaszcza z zagranicy. Na oświadczenie Julii uwagę zwrócili przede wszystkim przedstawiciele zachodnich władz, poruszeni śmiercią najbardziej charyzmatycznego rosyjskiego opozycjonisty, oraz polityczni emigranci. Tymczasem, zauważa polityk liberalnej partii Jabłoko Lew Szlosberg, przemiany mogą być co prawda z zewnątrz inspirowane, ale musi do nich dojść w środku. „Drzwi tego więzienia otworzą się od wewnątrz, a nie z zewnątrz”.

No i czy Rosjanie, którzy w pierwszych latach kadencji Putina powszechnie sądzili, że Rosji potrzebna jest „silna, męska ręka”, będą w stanie postrzegać kobietę jako liderkę opozycji? Trzy lata temu ekonomista Siergiej Guriew, stawiając diagnozę rosyjskiemu społeczeństwu, tłumaczył, że kobietom w rosyjskiej polityce jest niezwykle trudno. „Rosja jest krajem patriarchalnym i seksistowskim. Ludzie myślą, że kobieta nie jest niezależną osobą, zwłaszcza jeśli nie pracuje”.

Tymczasem Julia, absolwentka Wydziału Międzynarodowych Studiów Gospodarczych Rosyjskiego Uniwersytetu Ekonomicznego im. Plechanowa, po poślubieniu Aleksieja w 2000 r., nie pracowała. Przy najmniej oficjalnie, a to, w połączeniu z jej nielicznymi publicznymi wypowiedziami, w których deklarowała satysfakcję ze statusu „żony polityka”, przez wiele lat kształtowało jej wizerunek kobiety u boku męża.

Zbudowany nie do końca z własnej woli. W 2014 r. brak aktywności zawodowej tłumaczyła opozycyjną działalnością Nawalnego, utrudniającą jej podjęcie pracy w jakiegokolwiek instytucji.

Wysoka blondynka o klasycznej „rosyjskiej urodzie” i przenikliwym spojrzeniu. Zawsze niewymusze-

nie elegancka. Spokojna i opanowana. Podczas wszystkich najważniejszych wydarzeń politycznych i spotkań towarzyszyła mężowi, trzymając się jednocześnie odrobiny z boku. Pozornie w jego cieniu. Do czasu. Zdaniem Guriewa to, jak Julię postrzegają Rosjanie, drastycznie zmieniło się w 2020 r. „Ludzie zobaczyli, jak Julia walczy o męża z państwową machiną i wygrywa. Myślę, że dla wielu osób było to zaskakujące. Wielu otworzyło to oczy”.

I rzeczywiście. Opozycyjnie nastrojeni Rosjanie, nawet jeśli nie darzyli Nawalnego sympatią, zaczęli coraz częściej powtarzać, że za tym silnym, mądrym politykiem stoi jeszcze silniejsza i mądrzejsza kobieta.

O tym, że po upadku putinizmu to właśnie kobiety mogą zaprowadzić w Rosji po-

Przyjaciółka rodziny Nawalnych: Polityk Nawalny to dwie osoby: Julia i Aleksiej. Ona jest jego redaktorką naczelną, czyta wszystko, co napisze, zanim zostanie opublikowane.

Jest też jego kluczowym doradcą

zytywne zmiany, od kilku lat mówi opozycyjna polityczka Julia Galamina. Jeszcze przed wojną zwracała uwagę na wyraźne zmiany pokoleniowe, które obserwuje w społeczeństwie. „Im młodszy ludzie, tym mniej skłonni do normalizacji przemocy”, mówiła w 2022 r. w wywiadzie dla niezależnej redakcji Wiorstka. Młodzi Rosjanie są zmęczeni nie tylko przemocowymi rządami „silnej ręki” Putina, ale też maczyzmem samym w sobie. Podkreślała, że to na polityczki, wykształcone kobiety, zdolne do dialogu i brania na siebie odpowiedzialności za czyny i słowa, będzie po wojnie w kraju zapotrzebowanie, a epoka przeświadczonej o swojej bezkarności polityków rozwiązujących konflikty siłą się kończy. „Ludzie widzą, że kobiety mają więcej szans na zrobienie czegoś dla społeczeństwa”.

Wiarę w to widać także w wypowiedziach najbardziej popularnych komentatorów. Dziennikarz Andriej Łoszak w niezależnym portalu Holod Media stwierdza, że tylko polityka kobiet jest w stanie wyprowadzić kraj na prostą. „Rosji potrzebna jest prezydentka. Całe nasze cierpienie wynika z władzy tego pieprzonego patriarchy, który, jak oprawca, nie puszcza Rosji wolno, trzyma ją na smyczy i w kagańcu, wpajając, że bez niego będziemy zgubieni, zgniemy. Potrzeba kobiety, aby to przełamać. Po krwawej ciemności patriarchalnego archaizmu władza silnej kobiety jest jak lekarstwo, które może uleczyć rany”. A politolog Dmitrij Orieszkina w „Nowej Gazecie Europa” napisał właśnie wprost, że mężczyźni „wyraźnie nie są w stanie” zatrzymać wojny i Putina. „Może kobietom się uda?”, zastanawia się, przypominając czytelnikom o żonach i córkach największych wrogów Putina i o białoruskich opozycjonistkach walczących z reżimem Łukaszenki. Przywołuje Marinę Litwinienko, której wysiłki zaowocowały tym, że Wielka Brytania doprowadziła sprawę otrucia jej męża polonem do sądu. O Żannie Niemcowej, córce zastrzelonego nieopodal Kremla Borisa Niemcowa, jedyne – przed Nawalnym – polityka zdolnego zagrozić Putinowi, która stara się kontynuować dzieło zamordowanego w 2015 r. ojca. „Światłana Cichanouska, Maria Kole-

snikowa, Marina Owsiannikowa, Jewgienija Kara-Murza i inne kobiety walczą z kani-balskim reżimem, tylko na różnych poziomach”.

A co na to wszystko Kreml? Urzędnicy występują z projektem zaostrzenia przepisów aborcyjnych, nazywają równouprawnienie „nietradycyjnymi, zachodnimi wartościami”, chcą zakazu używania żeńskich końcówek, a nawet występują z propozycjami, by odwozić kobiety od kontynuowania nauki po ukończeniu szkoły średniej. Przygotowują też dla Rosjanek instrukcje: „jak być dobrą żoną żołnierza”, z których dowiedzieć się można, że w każdej rozmowie telefonicznej lub liście kobieta powinna „zachwycać się mężczyzną, wyznawać mu miłość, nie obrażać się, nie krytykować go”.

Wszystko brzmi kuriozalnie i ponuro, ale na dłuższą metę działa na korzyść zmiany zapowiadanej przez politologów. Doświadczenie wielu krajów uczy, że w przypadku kobiet takie dokręcanie śruby wcześniej czy później daje skutek odwrotny.

Jewgienija Kara-Murza, której mąż, znany opozycjonista, został skazany na 25 lat więzienia za rzekomą zdradę stanu, a w istocie za sprzeciw wobec inwazji na Ukrainę oraz rządów Putina, już poparła Nawalną. I zadeklarowała, że jest gotowa połączyć siły w walce z reżimem, by powstrzymać wojnę. „Byłam pod wrażeniem oświadczenia Julii. Jej siła i odporność są tym bardziej imponujące, gdy uświadomimy sobie, przez co teraz przechodzi”.

Dmitrij Orieszkina przyznaje, że na razie nie da się nazwać ani Julii Nawalnej, ani żadnej innej rosyjskiej polityczki liderką opozycji, ale zgadza się, że rola kobiecej siły w pokonaniu reżimu może być nieoceniona. Bo nie walka o ideologię, gospodarkę rynkową i „jakieś prawa konstytucyjne”, ale o konkretne i zrozumiałe dla ludzi cele i wartości może stać się nowym kierunkiem protestów. „Skoro Rosja nie reaguje na dekonstrukcję wyborów, konstytucji, pozbawienie wolności słowa i szacunku dla jednostki”, to być może zareaguje na jasne żądania w rodzaju „sprowadzenia mężczyzn do domu” czy „zaprzestania zabijania naszych dzieci”.

Allegdy dziennikarze dopytują, jak konkretnie Nawalna miałaby osiągnąć sukces i obalić samodzierżawcę w autorytarnym kraju z jednym z największych na świecie represyjnych aparatów władzy i całkowicie apolityczną większością społeczeństwa, niezależni eksperci robią się mniej entuzjastyczni: zadanie jest bardzo trudne, jeśli w ogóle wykonalne.

A Julia, która na razie oficjalnie nie sformułowała konkretnych celów politycznych, na samym początku drogi staje przed równie trudnym zadaniem: zjednoczeniem podzielonej, skłóconej i izolującej się nawzajem opozycji. Jeśli sobie nie poradzi, pozostanie jedynie symbolem. ●

Polak nie łapie konwencji

W sprawach konstytucji negocjacje są lepsze niż eksterminacje.

Marcin Matczak



Historia lubi się powtarzać, a konflikty podobne do tych, które nam wydają się absolutnie unikatowe, rozgrywały się już w przeszłości. Gdy w latach 30. w USA F.D. Roosevelt wygrał po raz drugi wybory prezydenckie, jego sytuacja przypominała sytuację rządu Tuska.

Tak jak Tusk ma przeciwko sobie obstawiony przez PiS Trybunał Konstytucyjny, tak Roosevelt miał przeciwko sobie czterech konserwatywnych sędziów w Sądzie Najwyższym („czterech jeźdźców”) – takie amerykańskie wersje Pawłowicz, Piotrowicza, Przylebskiej i Świączkowskiego, tylko lepiej wykształcone.

I rząd Tuska, i administracja Roosevelta miały do naprawienia państwo, a ich działania były torpedowane przez sędziów. Wiele ustaw New Dealu, które proponowała administracja Roosevelta, zostało uznanych przez Sąd Najwyższy za niekonstytucyjne w czasie jego pierwszej kadencji. Powodowało to wrażenie „imposibilizmu prawnego”. Pojęcie to sformułował kiedyś sfrustrowany oporem TK w sprawie ustawy lustracyjnej Jarosław Kaczyński.

W obliczu oporu sądu konstytucyjnego i F.D.R., i Tusk musieli pomyśleć, jak z tą przeszkodą sobie poradzić. Tusk chce usunąć z TK dublerów. Roosevelt nie chciał nikogo usuwać – chciał sędziów dodać. Tak powstał słynny plan napakowania Sądu. Konstytucja USA nie reguluje liczby sędziów w SN – zwyczajowo jest tam dziewięć miejsc, ale technicznie można to zmienić ustawą. I to chciał właśnie zrobić F.D.R.: napakować sąd dodatkowymi sześcioma sędziami, tak żeby w nowym składzie uzyskać przychylną sobie większość.

Ostatecznie nie zrealizował planu. Wycofał się, wycofali się ze swojej sędziowskiej krucjaty jego czterej oponenci. Dzięki temu ustawy potrzebne do naprawy państwa weszły w życie. O jednej z nauk, którą można wyprowadzić z tej historii, kiedyś pisałem: nie zawsze działanie ostre jest najlepsze dla kraju, choć tak z perspektywy danego momentu może się wydawać. W sprawach konstytucji negocjacje są lepsze niż eksterminacje.

Ale dziś interesuje mnie coś innego. Dlaczego plan Roosevelta, mimo że zgodny z literą konstytucji, spotkał się z dużym oporem społecznym? Tu odchodzę od paraleli Roosevelt – Tusk i przechodzę do kolejnej: Roosevelt – PiS. U nas działania PiS wobec sądów były podobne do tych, które planował F.D.R.: wtedy także chciano wykorzystać przepisy o wieku emerytalnym sędziów (Roosevelt miał mieć prawo wymienić tych, którzy przekroczyli 70 lat, żeby wpuścić do sądownictwa nową krew). Wtedy F.D.R. w programie radiowym atakował sędziów za to, że za mało pracują. U nas Ziobro robił to w TVP.

PiS także wywraćcał do góry nogami dotychczasową praktykę, choć twierdził, że mieści się to w literze konstytucji. Weźmy na przykład zamach na Krajową Radę Sądownictwa – konstytucja nie mówi, kto ma wybierać sędziowskich członków KRS, mówi, spośród kogo ich wybierać. Ale istniała ustalona przez lata praktyka, że robią to sędziowie, nie politycy, i są w konstytucji zasa-

dy, takie jak równowaga władz, które nie pozwalają uprzywilejować Sejmu, aby wybierał przedstawicieli i sobie, i sędziom. Nic to – większości Polaków tę nielegalną zmianę PiS przedstawił jako zgodną z literą konstytucji i to wystarczyło.

Dlaczego planu Roosevelta suweren nie kupił? Zgodność z literą prawa nie była żadnym argumentem, bo F.D.R. zmieniał uświęconą czasem tradycję – czyli konwencję, że sędziów w SN jest dziewięć. Własna partia skrytykowała go za to, że działa niekonstytucyjnie, a komisja senacka nazwała jego plan „niepotrzebnym, daremnym i całkowicie niebezpiecznym porzuceniem zasady konstytucyjnej... bez precedensu i uzasadnienia”. Dlaczego tam było to możliwe, a u nas nie?

Ktoś powie – to różnica systemów prawnych. U nas prawo stanowione, u nich precedensowe, a więc szacunek do tego, co było wcześniej, większy. Ale formalny precedens także nie wykluczał zmiany składu Sądu Najwyższego. Erwin Griswold, profesor prawa z Harvardu, potwierdził tezę Roosevelta, że w historii USA zmieniano liczbę sędziów. Wykazał jednak, że nigdy nie zrobiono tego z powodów podobnych do tych, na podstawie których działał Roosevelt. I taka, słusza, choć zupełnie nieformalistyczna, krytyka wystarczyła, by plan Roosevelta pognębić. Roosevelta, który – przypomnijmy – miał ogromny mandat demokratyczny i mógł zmieniać rzeczywistość, jak chciał, powołując się na wolę suwerena. Mimo to suweren odrzucił jego plan.

Problem leży gdzie indziej. Dla nas znaczenie ma litera, nie konwencja, bo literę prawa rozumiemy, a konwencję nie. Nasza historia jest poszarpana – konwencje dawne, sprzed rozbiorów, są zbyt dawne, żeby je wskrzeszać. Pomyślcie, jak byśmy funkcjonowali, gdyby wciąż obowiązywała Konstytucja 3 maja (Amerykanie wciąż przecież mają konstytucję z XVIII w.). W międzywojniu znowu czas był zbyt krótki, aby trwale konwencje wykształcić. A po wojnie mieliśmy prawie 50 lat PRL, który tradycjami (burżuazyjnymi) gardził i tworzył swoje, nowe świeckie. I wreszcie po 1989 r. znowu zbyt mało czasu, aby sprawy się utrwały.

A potem przyszli populiści. Jak pisze brytyjska prawniczka Nicola Lacey, ci zawsze niszczą konwencje. Tak robił PiS – na przykład zamiast wybitnych znawców prawa, jak to zawsze bywało (konwencja!), powoływał do TK na prezesa osobę, która nie potrafiła awansować z sądu rejonowego do okręgowego. Promował nadzieję, że jak zacznie się robić coś na nowo, na pewno będzie lepiej. A polskie społeczeństwo, wyzbyte szacunku dla konwencji, to kłamstwo łykało.

I dzisiaj ma mętlik w głowie – bo już nie wie, czy nowy rząd konwencje niszczy, czy je przywraca. Dlatego trzeba jasno napisać: ważne konwencje, na których jest oparty nasz system konstytucyjny, zniszczył PiS. Te konwencje stara się teraz przywrócić nowy rząd. Wymaga to niestety likwidacji nowych świeckich tradycji prawnych PiS (żeby posłużyć się bon motem z „Misia”) i przywrócenia dawnych. To powoduje chwilowe zamieszanie, ale nie są temu winni ci, którzy konwencje przywracają, ale ci, którzy je niszczyli.

A historia Roosevelta niech nas uczy, że konwencje są równie ważne, a czasami ważniejsze niż litera prawa.

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „Kraju, w którym umrę”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

PO PRAWDZIE

Władza, która potrafi przepraszać

Koalicja 15 Października odbudowuje. Instytucje. Ich prestiż. I stosunki międzyludzkie. Symbolicznie.

Agnieszka Kublik



Koalicja 15 Października odbudowuje. Instytucje. Ich prestiż. I stosunki międzyludzkie. Symbolicznie.

Tak właśnie widzę dwukrotnie wypowiedziane słowo „przepraszam” na antenie nowej TVP.

Pierwsze słowo „przepraszam” padło 13 stycznia w nowym dzienniku Jedynki. Zbigniew Łuczyński, który tego dnia prowadził „19.30”, odczytał komunikat: „Żadna telewizja, żaden program informacyjny nigdy nie powinien posługiwać się językiem hejtu i nienawiści. Nie może niszczyć ludzi, podsycać złych emocji w społeczeństwie. Do czego taki język prowadzi, właśnie widzieliśmy. Za to, co w minionych latach działo się w »Wiadomościach« TVP, w imieniu redakcji »19.30« i obecnych władz TVP przepraszamy – zwłaszcza bliskich pana prezydenta Pawła Adamowicza”.

To była piąta rocznica zamordowania prezydenta Gdańska. 13 stycznia 2019 roku, gdy wieczorem przemawiał na Targu Węglowym z okazji zakończenia kolejnej zbiórki WOŚP, zaatakował go nożownik. Paweł Adamowicz umarł następnego dnia.

To był atak polityczny. Nożownik Stefan W. krzyczał: „Siedziałem niewinnie w więzieniu, Platforma Obywatelska mnie torturowała, dlatego właśnie zginął Adamowicz!”.

Siła TVP jest przeogromna, a może być zabójcza. Według raportu Newton Media dla Urzędu Miasta Gdańska w 2018 r. TVP zajmowała się Adamowiczem aż 1773 razy! 877 wzmianek padło na antenie TVP Info, 593 – w TVP 3 Gdańsk, a ponad 300 na dwóch głównych antenach – TVP 1 i TVP 2.

Rada Etyki Mediów przeanalizowała materiały o Adamowiczu. Jej wniosek: „był obiektem oszczerstw, ale nie miał prawa do obrony”.

To w reakcji na to, co się działo na antenach TVP Jacka Kurskiego, prof. Wojciech Sadurski napisał wtedy na Twitterze: „Po tym, jak zaszczyty przez rządowe media polityk został zamordowany, żaden demokrat, żaden polityk opozycyjny nie powinien przekroczyć progu goebbelsowskich mediów. Niech się kiszą we własnym sosie: nieudaczników, arywistów i tow. Marka Króla, jak bojkot TV przez artystów po 1981”.

Teraz za te „goebbelsowskie” metody przepraszają nowe władze telewizji.

Drugie przeprosiny dotyczyły społeczności LGBT. Padły 11 lutego na antenie TVP Info, gdy gośćmi Wojciecha Szeląga byli Maja Heban i Bart Sta-

szewski, aktywiści działający na rzecz osób LGBT.

Szeląg: „Zanim zaczniemy rozmowę, to wydaje mi się, że powinny paść trzy zdania. Przez długie lata w Polsce pod adresem wielu osób padały haniebne słowa, tylko dlatego, że osoby te postanowiły same decydować o tym, za kogo się uważają i kogo kochają. Osoby LGBT+ to nie ideologia, ale ludzie, konkretne imiona, twarze, bliscy i przyjaciele. Wszystkie te osoby powinny gdzieś usłyszeć słowo »przepraszam«. Właśnie z tego miejsca przepraszam”.

Te słowa trafiły do zachodniej prasy. O przeprosinach pisali Duńczycy, Niemcy i Brytyjczycy. A Bart Staszewski w rozmowie z BBC przyznał, że prawie rozplakał się na wizji.

Jest za co przepraszać. TVPiS – bezwzględne narzędzie do zdobywania i utrzymywania partii Kaczyńskiego u władzy – szczuła na co dzień. Rzecz jasna głównie na opozycję, ale im bliżej wyborów, tym usilniej zabiegała o głosy dla Kaczyńskiego i włączała tryb „nienawiść”. Pojawiały się treści homofobiczne, antyuchodźcze, antysemickie i antyniemieckie.

Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita przebadalo to zjawisko w TVP i okazało się, że „Wiadomości” TVP 1 i „Gość »Wiadomości«” były liderem nagonek. A mowy nienawiści najczęściej używali dziennikarze.

Czyli to właśnie media publiczne były tymi, które najczęściej przemawiały mową nienawiści. I to w porze największej oglądalności, tak by ten przekaz zatruł jak największe grupy.

To złamanie nie tylko ustawy medialnej, ale przede wszystkim konstytucji. Oczywiście to dla PiS nie miało żadnego znaczenia. Ma teraz dla Koalicji 15 Października, która obiecała PiS rozliczyć z największych grzechów.

Otwarta Rzeczpospolita oszacowała, że przed zesłorocznymi wyborami do mniej więcej co dwudziestego mieszkańca Polski „regularnie docierały komunikaty będące wyrazem uprzedzeń wobec grup obcych i mniejszości”.

To było oswajanie ze szczuciem, z traktowaniem mniejszości jak coś gorszego i zasługującego na pogardę i ataki.

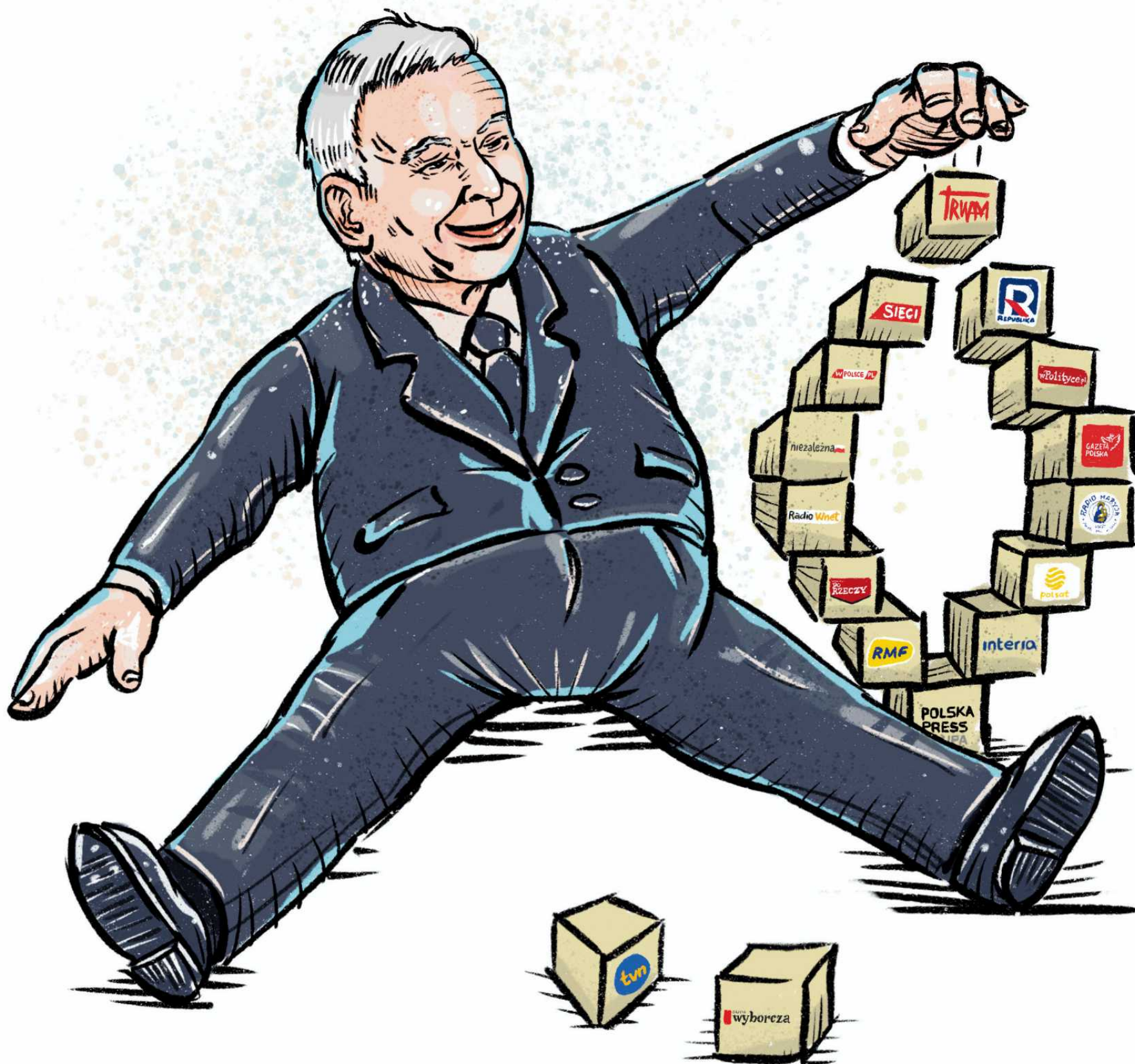
Traciliśmy wrażliwość na to zło, stawało się normą. Ba, może i zachowaniem godnym naśladowania? Do chwaleń się?

„Im więcej mowy nienawiści w przestrzeni publicznej, czyli np. na antenie telewizji publicznej, tym większe prawdopodobieństwo, że w jej efekcie postawy członków i członkin danej społeczności wobec »obiektów« nienawiści staną się bardziej negatywne – alarmowali autorzy raportu. – Z jednej strony komunikaty tego typu mogą kształtować normy, zgodnie z którymi wyrażanie otwartej wrogości wobec obcych będzie społecznie akceptowane. Z drugiej – mogą odbijać się na funkcjonowaniu psychologicznym przedstawicieli grup mniejszościowych zamieszkujących Polskę, prowadząc do wzrostu objawów depresji czy nawet liczby samobójstw”.

To kogo jeszcze TVP będzie przepraszać za grzechy TVPiS? Uchodźcy, Niemcy i Żydzi to tylko początek listy. ●

Woli przegrać wybory samorządowe i europejskie,
niż wzmocnić Sakiewicza lub Karnowskich.

Zasada: „dziel i rządź, choćby tylko we własnej partii”, nadal obowiązuje



KACZYŃSKI BAWI SIĘ PILOTEM

Tekst **Dominika Wielowieyska** Ilustracja **Łukasz Rudnikowski**

PiS przez osiem lat u władzy nie zbudował silnego medium prywatnego, które ideowo wspierałoby tę partię z chwilą przejścia do opozycji. Przecież zdawali sobie sprawę, że wcześniej czy później stracą władzę i nie będą rządzić w TVP. A pieniędzmi budżetowymi szastali na lewo i prawo.

Dlaczego więc państwowe banki nie pomogły braciom Karnowskim w przejściu Radia ZET? Dlaczego nie wzmocniono TV Republika? To nie przypadek. To świadoma decyzja Jarosława Kaczyńskiego, a także efekt silnych wewnętrznych animozji.

Medialny krąg PiS to środowisko bardzo podzielone. Sporo tam tarć i konfliktów. Kaczyński – wbrew temu, co mogłoby się wydawać – jest często niezadowolony z pisowskich mediów. Najszczęśliwsze lata to te ostatnie osiem, kiedy to prezes włączył sobie TVP Info, a tam leciał przekaz sformatowany dokładnie tak, jak sobie zamarzył.

Wszyscy umierali ze śmiechu, gdy – już po wyborach, ale jeszcze przed zmianą kierownictwa mediów publicznych – o trzeciej nad ranem prezes dzwonił do szefa TVP Mateusza Matyszkowicza. – Kiedy wróciłem parę dni temu z Krakowa o trzeciej w nocy i otworzyłem telewizor, zobaczyłem, że nie ma sygnału, zadzwoniłem do jednej osoby, potem do drugiej, a potem do samego prezesa Telewizji Polskiej Matyszkowicza, czy to już, czy to sposób, który został zastosowany w stanie wojennym. Okazało się, że to tylko mój błąd, że nie dokonałem odpowiednich zmian w moim telewizorze – opowiadał w Radiu Wnet.

TVP przeszła po prostu na inny standard nadawania, czego Kaczyński nie wiedział.

Kluczowe jest jednak to, co robi Kaczyński w nocy, żeby się odprężyć: włącza ukochane TVP Info. To było spełnienie jego marzeń – telewizja, nad którą ma absolutną kontrolę i może w każdej chwili każdego z niej wyrzucić, z prezesem na czele. Nad żadnym prywatnym medium, nawet sprzyjającym PiS, nigdy nie miał i nie będzie miał władzy takiej, jaką miał nad publicznym nadawcą. Tylko w telewizji państwowej niczym udzielny władca mógł decydować, kto z PiS może przyjść do studia, blokować na jakiś czas występy poszczególnych krnąbrnych polityków – jak Bartłomiej Wróblewski – albo całą formację, Solidarną Polskę, obecnie Suwerenną Polskę Zbigniewa Ziobry. Wydawał polecenie, że zachodzącej PiS z prawej flanki Konfederacji do telewizji nie można wpuszczać, i rozkaz był wykonywany bez mrugnienia okiem.

Bardzo się zdenerwował, gdy dowiedział się, że w ośrodkach regionalnych przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. promowani byli kandydaci SP poza jego kontrolą. Dbał o to działacz młodzieżówki SP Paweł „Parasol” Gajewski, który ksywki dorobił się, trzymając tenże nad Jackiem Kurskim i jego żoną (to ten sam Gajewski, który zarobił w TVP w trzy lata ponad 3 mln zł, m.in. jako zastępca dyrektora ds. korporacyjnych, a tuż przed przegrany wyborami przeszedł do NBP). Prezes wezwał wtedy Kurskiego i go zrugął za promocję ludzi Ziobry, bo nie chciał, aby minister sprawiedliwości miał zbyt wielu posłów i szachował Nowogrodzką.

Wiele osób zadaje sobie pytanie, dlaczego lider PiS przez osiem lat nie zrobił nic, by zbudować silną telewizję prywatną, która będzie w orbicie jego wpływów.

Otóż dla Kaczyńskiego najważniejsze jest to, by mieć całkowitą kontrolę nad każdym kawalkiem obozu PiS. Stąd powstanie silnego medium prywatnego postrzega jako spore ryzyko. Jest przekonany, że wcześniej czy później wyrosłoby na alternatyw-

ny dla Nowogrodzkiej ośrodek władzy, jeśli nie intencjonalnie, to w sposób naturalny – po prostu kto inny, nie on, miałby pieczę na kanale komunikacji z wyborami PiS. Takie medium mogłoby recenzować poczynania prezesa, a nawet próbować detronizacji. Nie, takiego ryzyka nie chciał.

Nawet wewnątrz TVP eliminował osoby, które chciały prowadzić własną grę: wyrzucono z władz Marzenę Paczuska, bo chciała walczyć o interesy Andrzeja Dudy. A prezes chciał, by prezydent i premier Mateusz Morawiecki byli nie animatorami i decydentami w telewizji, tylko petentami proszącymi o uwzględnienie ich interesów.

W powszechnym przekonaniu Republika i inne zasoby Tomasza Sakiewicza to wierni akolici Kaczyńskiego, gotowi na każde jego skinienie. Najwierniejsi z wiernych. A jednak relacje między tymi mediami a Nowogrodzką w rzeczywistości wyglądają inaczej. I gdy Jarosław Kaczyński kilka tygodni temu ogłosił, że powstanie nowa prawicowa telewizja, wcale nie miał na myśli Republiki.

Zacznijmy jednak od tego, że zaplecze medialne PiS – wbrew temu, co twierdzą politycy tej partii – jest naprawdę rozległe. To tygodnik „Sieci” i portal wPolityce.pl braci Karnowskich z przyległościami i TV wPolsce.pl. To imperium Sakiewicza, czyli Telewizja Republika, „Gazeta Polska” i portal Niezależna.pl. To Radio Wnet Krzysztofa Skowrońskiego, niegdyś cenionego dziennikarza Radia ZET i szefa radiowej Trójki. To przyjazny tygodnik „Do Rzeczy”, a także Radio Maryja i Telewizja Trwam o Rydzyka. Aby mieć pełny obraz, trzeba dorzucić przyjazno-neutralny Polsat i Interię oraz RMF FM. Oczywiście to media z innej półki niż Karnowscy czy Sakiewicz. Są tam świetni dziennikarze, nie ma topornej propagandy, są inne punkty widzenia. Ale warto odnotować ich nieoficjalny przechyl, aby nie ulegać narracji, jak to zachwiana jest równowaga przekazu na niekorzyść PiS. Poza tym te właśnie media były mocno zasilane pieniędzmi ze spółek skarbu państwa, podczas gdy inne świadomie głodzono. W mailach b. szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka te media były nazywane „normalnymi”.

od niemieckiego inwestora, którą zawiadywała Dorota Kania. Kania niegdyś była w ekipie Sakiewicza, ale się z nim pokłóciła. Powszechnie uznawano, że Obajtek to potężny menedżer, bo nie dość, że zarządza tak wielkim koncernem, to jeszcze ma swoje gazety. Nic bardziej mylnego. Kania w ogóle nie orientowała się na Obajtka, tylko pobierała wytyczne bezpośrednio z Nowogrodzkiej. W Orlen Press obowiązywał ścisły rygor pisowski.

Przykładem są historie Wojciecha Wybranowskiego, prawnicowego publicysty, który został naczelnym „Głosu Wielkopolskiego”, czy Wojciecha Muchy, który przez jakiś czas kierował krakowskimi gazetami. Choć to zwolennicy populistycznej prawicy sprzyjający pomysłom PiS, to okazało się, że nie chcą wykonywać partyjnych rozkazów. – Od dawna nie miał wysokich notowań u Doroty Kani, redaktor naczelnej Polska Press. Cokolwiek by o nim mówić, nie zrobił z „Głosu” partyjnej gadzinówki. Dopuszczał delikatne polemiki, a jego zastępcą pozostał Leszek Waligóra z poprzedniej ekipy, który miał odwagę krytykować na łamach rząd PiS. Poza tym, gdy jedną z najszybszych dziennikarek skrytykował poseł Szymon Szykowski vel Sęk z PiS, Wybranowski stanął w jej obronie – mówił „Wyborczej” o Wybranowskim jeden z dziennikarzy „Głosu”.

Oile takie osoby jak Wybranowski cenią względną niezależność, o tyle Sakiewicz jest wiernym akolitą PiS, wyznawcą i propagatorem teorii zamachu w Smoleńsku, przedstawicielem twardego elektoratu. Wszystko w jego mediach jest podporządkowane narracji PiS. A jednak Kaczyński zachowuje dystans nawet do twórcy „Gazety Polskiej”.

Sakiewicz bowiem uważa się za niemal równorzędny prezesowi zarządcę pisowskich dusz. Kieruje ruchem społecznym pod nazwą Kluby „Gazety Polskiej”, które animują środowiska propisowskie w terenie. Na jednej z imprez ogłosił, że PiS oraz Andrzej Duda zawdzięczają zwycięstwo właśnie jemu oraz Klubom „GP”. Więcej, także Donald Trump zawdzięcza mu zwycięstwo, bo w niektórych stanach Kluby „Gazety Polskiej” aktywizowały Polo-

Sakiewicz uważa się za niemal równorzędny Kaczyńskiemu zarządcę pisowskich dusz. Ogłosił, że PiS i Duda zawdzięczają zwycięstwo jego Klubom „Gazety Polskiej”. Prezes zażądał, by włączył je w struktury PiS. **Sakiewicz odmówił**

Środowisko medialne PiS jest bardzo podzielone. Karnowscy nie lubią się z Sakiewiczem. Napięcia były na tyle silne, że gdy Karnowscy opublikowali wywiad z ambasadorem Rosji Siergiejem Andriejewem niedługo przed napaścią na Ukrainę, to ludzie z „Gazety Polskiej” namawiali prezesa Orlenu Daniela Obajtka, by wycofał reklamy z „Sieci”. Obajtek jednak tego nie zrobił.

Sakiewicz i Karnowscy ostro rywalizują, bo walczą o ten sam tort do podziału i tych samych odbiorców. Zawiązały się więc dwie koalicje: Sakiewicz zawarł pakt sojuszniczy z „Do Rzeczy” prowadzonym przez Pawła Lisickiego (a finansowanym przez firmę wydającą „Wprost”), a Karnowscy z ojcem Rydzykiem. Radio Wnet jest jakby obok tych sojuszy.

Jest jeszcze prasa orlenowska, czyli kilkaset regionalnych dzienników, tygodników i portali grupy Polska Press kupionych

nie. To już wywołało rozbawienie, ale nie u prezesa. Swego czasu Kaczyński zażądał od Sakiewicza, aby kluby zostały włączone w struktury partii. Sakiewicz odmówił.

Poza tym, gdy prezes PiS zdecydował się wyrzucić z rządu Antoniego Macierewicza w 2017 r., to właśnie w Klubach „Gazety Polskiej” słychać było groźne pomruki. Nowogrodzka obawiała się, że Macierewicz, opierając się na tej bazie, mógłby wszcząć bunt – w przeszłości nieraz wywoływał rozłamy. Ostatecznie nic takiego się nie stało, bo Kaczyński ma jednak w twardym elektoracie ojczyźnianio-tradycjonalistyczno-socjalnym status „świętego brata poległego prezydenta Lecha Kaczyńskiego”, ale sytuacja nie była miła. Sakiewicz rezerwuje sobie pozycję recenzenta poczynania partii, strażnika czystości pisowskiej doktryny, a to Nowogrodzkiej się bardzo nie podoba.

A jak wewnątrz PiS były oceniane Kluby „Gazety Polskiej”? Prof. Andrzej Zybertowicz w książce z 2013 r. „III RP. Kulisy systemu” mówił o członkach klubów: „To ludzie o niewielkim potencjale wpływu”, nie powiodło im się w życiu, więc „są bardziej sfrustrowani niż pełni pomysłów na działanie”. Zybertowicz tłumaczy: „Mamy zbyt dużą skłonność do defetyzmu, nadmiernej podejrzliwości, pochopnego wyciągania wniosków. Nie doceniamy dostępnej przestrzeni wolności – łatwiej nam dostrzec ograniczenia niż szanse. Te drugie bowiem często wymagają kreatywnego, oryginalnego podejścia. W tle są niskie kompetencje komunikacyjne powiązane z niechęcią do pracy nad sobą”.

Sakiewicz przez osiem lat czerpał pełnymi garściami z państwowej kieszki. Wszędzie, gdzie się pojawiał, rozciągał wokół siebie aureę wysłannika prezesa, więc wszystkim nominatom pisowskim sakiewki się otwierały. Sposobów finansowania zaprzyjaźnionych mediów jest sporo – prócz reklam spółek skarbu państwa są rozmaite dotacje. Dobrze to ilustruje historia Puszczka.tv.

Ambitnie nakreślony – 20 mln planowanych odsłon miesięcznie – portal tworzyła założona przez Sakiewicza fundacja Niezależne Media. Trzy lata temu fundacja wygrała konkurs na dofinansowanie projektu ekologicznego. Miała w sumie dostać od Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej przeszło 7 mln zł, dostała 5. Jak podaje portal śledczy Konkret24.pl, część tych pieniędzy popłynęła po prostu do mediów związanych z Sakiewiczem, w których wykupiono reklamy i materiały promujące Puszczka.tv.

Kaczyński pozwalał na tego typu operacje, ale patrzył na to bez większego entuzjazmu, miał mówić swoim współpracownikom, że Sakiewicz przejada pieniądze.



dze, skoro mimo tak wielkiego strumienia państwowych środków jego firmy mają problem z wypłacaniem pensji. „Smutne święta w TV Republika” – zatytułowaliśmy w 2018 r. tekst o spóźnionych wynagrodzeniach i atmosferze w korytarzach telewizji Sakiewicza. Kilka miesięcy później: „TV Republika dalej zalega z wypłatami. Szefowie proszą o cierpliwość”.

To efekt chaosu, który panuje w firmach Sakiewicza, ale też podziału na „elitę” i „wyrobników”. „Wyrobnikom” zalegano z pensjami rzędu 3500 zł na rękę, podczas gdy rodzina podjeżdżała na telewizyjny parking nowymi SUV-ami. – Pytasz szefa newsroomu, kiedy dostaniesz pensję. Mówi, że są ważniejsze wydatki. I że droga wolna – opowiadała „Wyborczej” Julia, zatrudniona w 2019 r. w TV Republika. – To potworna hipokryzja. Jak firma, w której tyle się mówi o obronie rodziny, może tak traktować ludzi.

O to, by wewnętrzne animozje jak naj-słabiej przebijały się do pisowskiej opi-nii publicznej, dbała mająca dobre relacje z Kaczyńskim przedstawicielka „elit” Ka-tarzyna Gójska, która związała się z „Gaze-tą Polską” jeszcze w latach 90. jako młoda działaczka radykalnie antykomunistycznej Ligi Republikańskiej Mariusza Kamińskiego. Bo mimo wzajemnej nieufności obie strony – Nowogrodzka i Filtrowa – wiedzą, że jadą na tym samym wózku.

Pytanie, jak długo. Bo niedawno w Lu-blinie prezes znienacka wypalił: „Uczynimy wszystko, żeby po pierwsze wygrać walkę o telewizję publiczną w Polsce, a po drugie stworzyć także prywatną dużą telewizję, która będzie wolna”. Politycy PiS byli zdumieni, gdyż Kaczyńskiemu wcale nie cho-dziło o Republikę: ta „nie wszędzie dociera, no i ma bardzo niewielkie środki”. Sakie-wicz był zgnębiony.

Nowogrodzkiej marzy się, że znajdą się prywatni inwestorzy, którzy stworzą kanał telewizyjny. Zarzą-dzać nim miał były prezes TVP Mateusz Matyszkowicz. Jednak ten konserwatywny intelektualista, niegdyś naczelny siejącego kontrkulturowy ferment w bogoojczyźnia-nej estetyce prawicy czasopisma „Fron-da Lux”, zaszył się u siebie w domu po tym, jak w PiS uznano go za zdrajcę. W chwili próby wycofał się bowiem z Woronicza, wpuszczając do gabinetu Tomasza Syguta, nowego prezesa wskazanego przez mini-strę Bartłomieja Sienkiewicza.

Ale i tak zapowiedzi Kaczyńskiego o no-wej telewizji to raczej mrzonki. Prezes nie do końca sobie zdaje sprawę, że urucho-mienie biznesu telewizyjnego to olbrzymia inwestycja rzędu kilkuset milionów złotych.

Tymczasem to przed Republiką stoi hi-storyczna szansa zbudowania naprawde masowego i silnego pisowskiego medium. Publikę TVP Info przepłynęła od Sakiewi-cza w ślad za ulubionymi gwiazdami TVPiS, z Danutą Holecą i Michałem Rachoniem na czele. W styczniu Republika zanotowała wielki wzrost oglądalności i awansowała na szóste miejsce w rankingu stacji telewizyj-nych. Ale może ją pograć niekontrolowa-ny radykalizm – gdy tylko wraz ze słupkami oglądalności wzrosły wpływy z reklam, za-raz reklamodawcy zaczęli się wycofywać.

Pierwszy zniechęcił ich Jan Pietrzak – w ostatnich dekadach PRL satyryk flirtu-jący z antykomunistyczną opozycją, w wol-niej Polsce skręcający coraz bardziej na pra-wo – oznajmiając, że „mamy baraki dla imigrantów w Auschwitz, w Majdanku, w Treblince, w Sztutowie. Mamy dużo ba-raków zbudowanych tu przez Niemców”. Kolejny sygnał, by od Republiki mimo ro-snącej widowni trzymać się z dala, poważ-nym firmom wysłał były sekretarz gasnącej po wolnych wyborach 1989 r. PZPR i wielo-letni naczelny „Wprost” Marek Król swoim postulatem, by migrantów przybywających do Europy „czipować” lub „tatuować” im numery. Pietrzaka i Króla przebił Marek Jakubiak, majątny browarnik i narodowiec od Pawła Kukiza, porównując imigrantów do „niepotrzebnych odpadów”.

W Republice mówi się, że Pietrzak to wypadek przy pracy, natomiast występ Króla był dywersją wrogich Sakiewiczowi sił w PiS, choć nie jest jasne, kto te siły reprezentuje. Tak interpretowano też wy-skok Jakubiaka, przy czym tym razem pro-wadzący program Michał Rachoń już deli-katnie zaprotestował: „Zostawmy te brzyd-kie porównania”. Bo jednak na reklamach Republice zależy bardziej niż na satysfakcji grupki szowinistycznych widzów.

Co prawda sporo firm – ku konfuzji en-deckiej części publiczności, głównie nie-mieckich – nadal zachwala swoje produk-ty, być może kalkulując, że każdy klient się opłaca, a być może pod presją, bo pośred-niczący w sprzedaży reklam Polsat Media domaga się karnych opłat za wycofanie. Jednak w ostatnich tygodniach reklamy wycofało kilkudziesięciu klientów i pasma reklamowe zaczynają zapelniać spoty au-topromocyjne oraz telezakupy. „Z różnych

stron docierają do nas informacje, że re-klamy wyświetlane na naszej antenie przy-noszą reklamodawcom ogromne korzy-ści. Zarówno nasi reklamodawcy, jak i ich klienci informują nas o skokowym wzro-ście sprzedaży. Niektóre z nich trzeba na-wet domawiać, gdyż zamówień jest coraz więcej” – chwali się Republika w niedaw-nym komunikacie.

Ale to akt desperacji. Republika na-prawdę mogłaby zbudować silną pozycję, tyle że w to, czy jej szef sprosta wyzwaniu, powątpiewają nie tylko rywale z większych stacji, ale też sami politycy PiS. Mówią, że Sakiewicz nie umie zarządzać, organiza-

nistracją rządową, których celem jest ochro-na innych interesów miliardera. A dziś jed-ną z jego kluczowych inwestycji jest ener-getyka. Solorzowi na sercu leży los ZE PAK, czyli Zespołu Elektrowni Pątnów-Adamów-Konin, jeszcze bardziej zaś elektrowni ato-mowej, którą chce budować z koreańską fir-mą KHNP. Trudno prowadzić interesy na ta-ką skalę w tak wrażliwej branży bez przy-jaznych relacji z władzą – a tym bardziej, gdy planuje się inwestycję z udziałem spółki skarbu państwa, w tym przypadku Pol-skiej Grupy Energetycznej. Solorz miał do-bre relacje z ministrem aktywów państwo-wych Jackiem Sasinem, lecz nowy rząd mo-

Z jednej strony w Polsacie politycy PiS swobodnie serwują swój przekaz, z drugiej stacja zaczęła się starać o gwiazdy rozrywki, które publicznie ostro krytykowały rządy PiS, oferując im znakomite warunki finansowe.

To może być komunikat dla nowego rządu

cja biznesu budzi poważne wątpliwości, a sama telewizja jest słabej jakości i zalicza mnóstwo technicznych wpadek. Jej rozwój musiałby się opierać na poważnych inwe-stycjach, a źródółko najlepsze i niewyczer-pane, bo państwowe, właśnie wyschło.

Środowisko populistycznej prawicy wielokrotnie miało szansę na budowę silnego medium i zawsze ją marnowało przez nieudolność i silną presję, by zamiast telewizji określonej światopoglądowo, lecz różnorodnej formalnie, robić partyjny biule-tyń. I może się okazać, że medialnych wete-ranów Kaczyńskiego pozostawi w pobitym polu nowy gracz, czyli internetowy Kanał Zero, który wypromował się wywiadem z prezydentem Andrzejem Dudą. Niezależny, czysto rynkowy projekt radiowca celebryty Roberta Mazurka oraz dziennikarza spor-towego i przedsiębiorcy Krzysztofa Stanow-skiego zadebiutował raptem na początku lutego i już zyskał wielomilionowe zasięgi porównywalne z TVN czy TVP. Z entuzja-zmem powitał go choćby szef Biura Bezpie-czeństwa Narodowego Jacek Siewiera.

W pisowskim ekosystemie bowiem nie brakuje ludzi, którzy tęsknią za medium sympatyzującym z PiS – czy szerzej: z pra-wicowym światopoglądem – ale bez par-tyjnej etykiety. Które promowałoby bliskie im myślenie i atakowało przeciwników ide-ologicznych w sposób nowoczesny, prze-mawiający do młodszego, wielkomiejskie-go widza, wychowanego na youtube’owej estetyce i dynamice.

Przez dłuższy czas taką rolę dla kręgu PiS light – a więc odbiorców popie-rających PiS, lecz nie bezkrytycznie, sympatyzujących z ideami i przekazem, lecz nie fanatycznie wiernych, oczekują-cych od dziennikarzy krytycznego podej-ścia – odgrywał Polsat. Szefową informacji i publicystyki była tam Dorota Gawryluk, kojarzona z PiS, która jednak w wyrażaniu publicznie poglądów jest bardzo wstrze-mięzliwa. Ale z chwilą zmiany władzy właściciel Polsatu Zygmunt Solorz odwołał ją ze stanowiska, aby wysłać sygnał do rządu Tuska, że jest skłonny się układać. Spotkał się już zresztą z przedstawicielami nowej władzy, m.in. z ministrem Radosła-wem Sikorskim, który oficjalnie podjął go w MSZ. Sikorski rozmawiał z władzami różnych telewizji, oficjalnie – o roli mediów w sytuacji zagrożenia zewnętrznego.

Solorz prowadzi dziś grę. Polsat jest tyl-ko kartą przetargową z negocjacjach z admi-

że uznać, że drugi atom (pierwszym jest fi-nansowana bezpośrednio przez państwo elektrownia w Lubiatowie) w wydaniu kore-ańskim nie najlepiej rokuje i jeśli już, to ge-politycznie bardziej opłaca się postawić na spółkę z francuskim koncernem EDF.

Solorz wydaje się dziś prowadzić grę z nowym rządem, prezentując swoje poli-tyczne aktywa. Wysyła sygnały: grajcie ze mną, bo mam możliwości, aby wam za-szkodzić, ale mogę też pomóc. I faktycznie – Donald Tusk uważał, że Polsat pomagał PiS w kampanii wyborczej, choćby reduku-jąc do minimum informacje o aferze wizo-wej, która partii Kaczyńskiego bardzo za-szkodziła.

Arsenal Solorza wzmocniła plotka, że Dorota Gawryluk może wystartować w wyborach prezydenckich. Oczywiście to przede wszystkim promocja jej nowego programu, ale nie tylko. Nawet jeśli sama Gawryluk zaprzecza, że interesuje ją kan-dydowanie, nikt nie zabroni mediom i son-dażownikom uwzględnić jej w rankingach prezydenckich – i już samo to utrudni życie PiS. A gdyby jednak zdecydowała się star-tować, zabrałaby kandydatowi PiS bardziej umiarkowanych oraz niezdecydowanych wyborców i uniemożliwiła mu wejście do drugiej tury. W tym scenariuszu w grze o Pałac Prezydencki zostaliby Szymon Ho-łownia i Tusk bądź Trzaskowski.

Nowogrodzka była zaskoczona informa-cją o ewentualnym starcie Gawryluk i uzna-je rozprzestrzenianie się tej plotki za poważ-ne zagrożenie. Co prawda na razie Gawry-luk dostała w jednym sondażu 1 proc. popar-cia – więcej, bo 3 proc., ma Stanisławski, który startując w wyborach prezydenckich, chce promować Kanał Zero – lecz jeśli jej nazwi-sko pozostanie w obiegu, utrwali w świad-ości opinii publicznej skojarzenie „Gawry-luk – kandydatka”. I w kolejnych sondażach zacznie szkodzić pozycji polityka PiS, któ-ry będzie w tych badaniach uwzględniany. A niskie notowania źle podziałają na mora-le aparatu. Nic tu jednak nie jest przesądzo-ne. Chodzi raczej o prezentację rozmaitych możliwości, którymi dysponuje Solorz, niż realny scenariusz.

Jednocześnie sam Solorz stara się przedstawiać jako osoba stonowa-na, promująca dialog i odrzucająca skrajności. – Pluralizm mediów jest wielką wartością demokratycznego społeczeń-stwa, w którym ścierają się odmienne preferencje polityczne i poglądy. W pełni szanuję wolność słowa i dziennikarską

niezależność – napisał i wezwał do obniże-nia emocji. Apel został przyjęty z zaskocze-niem, bo do tej pory biznesmen specjalnie nie zabierał głosu w politycznych i świato-poglądowych debatach, a w dodatku przecież jego własny reklamowy pośrednik Polsat Media wywiera nacisk na firmy chcące się wycofać z TV Republika.

To zapewne sugestia dla telewizji Sakie-wicza, aby się uspokoiła i przestała promo-wać ksenofobiczne treści, bo traci na tym razem z pośredniczącym Polsatem, a jed-nocześnie przypomnienie rządzącym, że Solorz ma wpływ na Republikę – ale też element gry wokół projektów atomowych.

Moment jest szczególny, bo właśnie teraz rząd musi zdecydować, jaką drogę obrać. Na stole jest amerykański – gdyż technolo-gię ma dostarczać Westinghouse – Lubia-tów, teoretycznie mający fory, lecz chwi-łowo zamrożony, bo strona polska zaczęła się domagać współfinansowania projektu przez USA, na co Amerykanie się nie zg-dzają (ambasador Mark Brzezinski chciał spotkania z premierem Tuskiem, ale mu-siał się zadowolić rozmową z ministrem Si-korskim). Jest projekt koreański Solorza, a w drugim rządzie czeka cierpliwie fran-cuski koncern EDF (wcześniej wspierany przez Morawieckiego, usiłującego napra-wić relacje z drugim najważniejszym pań-stwem UE), który nie zrezygnował z wal-ki o polski rynek. Decyzja w sprawie atomu ma niebagatelny wpływ na główne kierun-ki polityki zagranicznej i daleko wykracza poza pole gospodarcze.

Ale tym rozgrywkom Kaczyński i jego media mogą się już tylko przyglądać z po-zycji bezradnego obserwatora.

Do ciekawych zmian doszło także w RMF FM. Portal OKO.press cyto-wał maila, którego do pracowników napisał Kazimierz Gródek, prezes grupy RMF FM. „Wyniki postępowania wskazują, że nie potwierdziły się zarzuty mobbin-gu w rozumieniu kodeksu pracy. Miały jednak miejsce zachowania, które zostały uznane za naruszenie naszego kodeksu postępowania. W związku z tym dotych-czasowy dyrektor działu informacji Marek Baławajder i Zarząd Radia RMF FM uznali, iż dotychczasowa formuła współpracy wyczerpała się, wobec czego postanowiono o jej zakończeniu”.

Jesienią OKO.press opisało związki zna-nes dziennikarza i radiostacji z Orlenem. Według serwisu RMF FM promował kon-cern, a Orlen kupował reklamy w rozgło-śni i zatrudnił w słowackiej spółce zależ-nej zonę Baławajdera. „Wyborcza” pytała o szczegóły, ale spółka odmówiła informa-cji. Na tekst OKO.press rozgłoszonia zareago-wała oburzeniem. Gródek stwierdził, że za-wiera „kłamstwa”, „manipulacje” i „insynu-acje”. Czy odwołanie Baławajdera jest po-równywalne z manewrem Solorza z Ga-wryluk? Analogia sama się narzuca, jednak warto zaznaczyć, że faktycznie pojawiły się skargi dziennikarzy na Baławajdera i spra-wą w końcu zajęła się centrala w Niem-czech. A że odwołanie szefa informacji po-może naprawić relacje z nową koalicją rzą-dzącą, to już zupełnie inna sprawa.

Jeśli chodzi o rynek radiowy, beneficjentem rządów PiS jest Krzysztof Skowroński i jego Radio Wnet. Wirtualne Media informowały, że w ostatnich kilku latach rozgłośnia mocno rozszerzyła zasięg analogowy dzięki koncesjom przyznanym w kilku dużych miastach. To decyzje zdominowanej przez nominatów PiS Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Skowrońskiemu też ciężko idzie z zarządzaniem. Warunki w rozgłośni są „partyzanckie” – jak określił to w rozmowie ze mną polityk PiS. Na przykład start Wnet w Lublinie ciągnął się bardzo długo. Ponieważ stacja nie zaczęła nadawać tam w wymaganym przez przepisy czasie, KRRiT wezwał nadawcę do złożenia wyjaśnień. Lecz jednocześnie przed radiostacją otwiera się perspektywa podobna do tej, którą zyskała Republika na rynku telewizyjnym. Program I Polskiego Radia, Trójka oraz PR 24 nie są już w rękach PiS, więc część słuchaczy może przerzucić się na Wnet. Problem tylko w tym, że tych odbiorców nie jest wielu, bo państwowe rozgłośnie miały coraz gorszą słuchalność.

Imperium Michała i Jacka Karnowskich w oczywisty sposób pożywiło się pieniędzmi budżetowymi. Jednak ich apetyt nie został zaspokojony. Bracia mają pretensję do Nowogrodzkiej, że nie pomogła im w swoim czasie przejąć Radia ZET, które sprzedawał czeski inwestor. Karnowscy byli przekonani, że jedno skinienie Kaczyńskiego, a państwowe banki dałyby im kredyt na przejęcie tej stacji. Lubianej, o dużej słuchalności i ogólnopolskim zasięgu.

Przed radiostacją Krzysztofa Skowrońskiego otwiera się perspektywa podobna do tej, którą zyskała Republika na rynku telewizyjnym. Program I Polskiego Radia, Trójka oraz PR 24 nie są już w rękach PiS, więc część słuchaczy może przerzucić się na Wnet

Początkowo wszystko wydawało się być na dobrej drodze. Kierowany przez kolegę Zbigniewa Ziobry Michała Krupińskiego Bank Pekao SA miał sfinansować zakup Grupy Eurozet przez Fratrię, wydawcę tygodnika „Sieci” i właściciela innych aktywów medialnych Karnowskich. Bank wydał promesę udzielenia kredytu 51 mln euro. Media pisały, że Fratria jest w tej chwili najpoważniejszym oferentem w wyścigu po Zetkę. Potem jednak bank zaczął się domagać od Fratrii dodatkowych zabezpieczeń. I cała operacja ostatecznie zakończyła się klęską, a Zetkę kupiła Agora. Właścicielka „Wyborczej” i TOK FM, a więc dla frakcji Karnowskich to nie tylko porażka, lecz również despekt.

Udzielenie tak dużego kredytu wiązało się z olbrzymim ryzykiem i nikt w żadnym banku nie palił się, by to zrobić. Mogłoby to nastąpić tylko na wyraźne i bezwzględne żądanie Kaczyńskiego, pod groźbą utraty stanowiska przez jednego lub drugiego prezesa. Ale Nowogrodzka nie była zdeterminowana, by pomóc Fratrii, i Karnowscy mają o to żal. Dlaczego prezes PiS pozwolił, by Zetka (choć UOKiK starał się, jak mógł, by zablokować transakcję) przeszła w ręce Agory?

To również pokłosie filozofii Kaczyńskiego w kwestii mediów. Woli stawiać na dywersyfikację, nie chce jednej silnej marki, która mogłaby zagrozić jego władzy w partii. Z jego punktu widzenia lepiej, aby Karnowscy z Sakiewiczem się gryźli, bo dzięki temu panuje nad sytuacją zgodnie z zasadą „dziel i rządź”. Tak samo w partii napuszcza na siebie różne frakcje, by samemu występować w roli arbitra. Zgoda, by Karnowscy przejęli Zetkę, oznaczałaby, że Fratria, której współwłaścicielem jest Grzegorz Bierecki, twórca sieci kas spółdzielczych SKOK, dostaje do ręki kolejny potężny instrument i olbrzymie wpływy w mediach.

To by nie tylko zaburzyło równowagę w środowisku medialnym PiS, ale wręcz mogło zagrozić władzy Kaczyńskiego. Który w dodatku stracił serce do Biereckiego, gdy dowiedział się, gdzie wylądowała część pieniędzy SKOK-ów. W 2014 r. Komisja Nadzoru Finansowego opublikowała raport, z którego wynika, że z kas przetransferowano 83 mln zł do spółki SKOK Holding w Luksemburgu. Potem popłynęła następna transza, 70 mln. KNF tymczasem uważał, że te pieniądze powinny być przeznaczone na restrukturyzację SKOK-ów, które były w kiepskiej kondycji finansowej.

To się Kaczyńskiemu bardzo nie spodobało i choć nigdy publicznie nie krytykował Biereckiego, to jednak ówczesny senator PiS stracił w oczach Nowogrodzkiej. Niektórzy działacze chcieli namówić szefa, by to Bierecki, a nie Andrzej Duda, był kandydatem na prezydenta w 2015 r., ale prezes ten pomysł kategorycznie odrzucił. A potem odrzucił koncepcję, by zasilić Biereckiego tak dużą kwotą na zakup Zetki.

Poza tym Nowogrodzka uważała, że bracia zbyttnio trzymają z Solidarną/Suwerenną Polską Ziobry i też prowadzą własne gry wewnątrz obozu. A Kaczyński nie chciał, aby Ziobro rósł w siłę, by potem szantażować Nowogrodzką w różnych sprawach. To wszystko utwierdziło go w przekonaniu, że nie należy stawiać na jedną medialną kartę, tylko finansować wszystkich po trochu.

Ta koncepcja ma jedną poważną wadę: media odcięte od budżetowej kropłówki mogą poważnie osłabnąć, bo rynek jest niezwykle trudny, a konkurencja spora. Utrzymać się na nim mogą najsilniejsi.

Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz podjął serię decyzji, które pozwoliły mu na wyrzuceniu PiS z mediów państwowych. PiS uważa je za bezprawne, bo koalicja rządząca nie uchyliła – gdyż nie miała szans – ustawy o Radzie Mediów Narodowych, która powołuje władze TVP i Polskiego Radia. Minister oparł się na kodeksie spółek handlowych, wychodząc z założenia, że decyzje walnego zgromadzenia spółki, którym jest jednoosobowo minister, mają domniemanie legalności, wchodzą w życie i przestają obowiązywać dopiero wtedy, gdy orzeknie to prawomocnie sąd.

PiS nie powinien być zdziwiony, że nowa ekipa korzysta z dostępnych narzędzi, by dokonać kluczowych zmian, jakie obiecała swoim wyborcom w kampanii. Mimo to partia jest w szoku, a wyjątkowo bolesna dla Kaczyńskiego była utrata TVP. Nowogrodzka zarządziła więc bojkot mediów państwowych, uznając, że zostały przejęte bezprawnie.

To jednak bardzo ryzykowna decyzja. Bo w ten sposób prezes pozbawia się szans na dotarcie do sporej grupy wyborców, co jest szczególnie ważne przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi i europejskimi. PiS wpadł we własne sieci, bo jego możliwości prezentacji swoich poglądów zostały poważnie ograniczone. Wcześniej czy później bojkot będzie musiał być odwołany, gdyż osłabione i podzielone media pisowskie to za mało, by walczyć o szerszy elektorat. W kolejnych sondażach partia Kaczyńskiego wyraźnie traci, a na pierwsze miejsce wysuwa się Koalicja Obywatelska.

Niemniej dla Kaczyńskiego najważniejsza jest władza we własnym obozie i temu podporządkowuje swoją strategię. Wynik wyborów jest ważny, ale dopiero w drugiej kolejności. ●

Neo

Wyobraźmy sobie dzieci wyzywające się od „neoprzedszkolaków” lub mechaników samochodowych, którzy będą teraz pytać: „Kto to panu klepał? Chyba jakiś neoblacharz!”

Michał Rusinek



Rzadko kiedy karierę w języku ma szansę zrobić sam przedrostek – czyli niesamodzielną częścią słowotwórczą wyrazu, znajdującą się przed jego rdzeniem. W języku „dobrej zmiany” popularny był przedrostek „post-”, ale właściwie wyłącznie w słowie „postkomunizm”, rozumianym jako zmutowana forma niebezpiecznej ideologii, czyli właściwie „neokomunizm”. Pojawił się też w słowie „postępak” jako gra słów: można bowiem je rozumieć jako określenie kogoś, kto tępo wierzy w postęp, oraz kogoś, kto jest postępkami, czyli człowiekiem, którego tępotą jest zmutowaną wersją starej tępoty, a więc też w gruncie rzeczy kimś w rodzaju „neotępaka”.

W ostatnich miesiącach obserwujemy właśnie przyrost słów z przedrostkiem „neo-”, w dodatku w wypowiedziach polityków różnych opcji. Prawdopodobnie wszystko zaczęło się 12 lipca 2018 roku, kiedy to sędzia Stanisław Zablocki w programie Moniki Olejnik użył określenia „neo-KRS”, gdy nowa Krajowa Rada Sądownictwa go zdyskwalifikowała wraz z siedmioma innymi sędziami Sądu Najwyższego. Określenie to przyjęło się w języku ówczesnej opozycji, podobnie jak „neosędzia” czy „neoizba”. Mówiło się też o instytucjach „postkonstytucyjnych”, składających się na alternatywny, widmowy system władzy sądowniczej, posługującej się pustymi nazwami konstytucyjnych organów.

„Neo-”, z greckiego νεος, oznacza „nowy” lub „młody”. Słowniki podają, że jest to pierwszy człon wyrazów złożonych „będących nazwami idei, stylów itp., które są kontynuacją lub późniejszą formą innych tego rodzaju zjawisk” (np. neoklasycyzm), albo „wskazujący na stosunkowo niedawne pochodzenie kogoś lub czegoś” (np. neofita). Teoretycznie przedrostek ten nie ma więc znaczenia wartościującego. Praktycznie jednak ma.

W dyskursie demokratycznej opozycji „neo-KRS” to nie tylko KRS „nowa”, ale przede wszystkim „fasadowa”, „nieprawdziwa”, albo przynajmniej „upolityczniona”; podobnie rzecz się ma z „neosędzią”. Przedrostek ten zyskał więc konotacje wartościujące negatywnie. Dyskurs liberalny, szczególnie reklamy, wpaja w nas oświeceniowe – a może nawet neooswieceniowe – przekonanie, że to, co nowe, jest lepsze: „New!”, „Nowości!”, „Nowa, lepsza formuła!” – krzyczą do nas napisy z opakowań w sklepach (np. w sieci Neonet), w aptekach kupić można Neo-Angin, a do niedawna łączyliśmy się z internetem za pomocą Neostrady. Oto komercyjne oblicze idei postępu: świat się zmienia na lepsze, trzeba więc odrzucać przeszłość i patrzeć w przyszłość, pełną przedmiotów i idei lśniących nowością realną lub udawaną (jeśli użyjesz jakiegoś środka do regeneracji lakieru, twój samochód będzie „jak nowy”). Efektem ubocznym posługiwania się przedrostkiem „neo” jako deprecjonującym jest

zaszczepienie w nas przekonania anty-oświeceniowego: że to, co nowe, jest tylko podróbką tego, co było do tej pory, fasadową, nielegalną wersją. A przynajmniej bywa.

Przedrostek ten, ze względu na jego deprecjonujące konotacje, przejęła obecnie przeciwna strona polityczna (choć już wcześniej posługiwała się określeniem „neomarksizm” jako nową, jeszcze gorszą wersją marksizmu, podobnie jak „neoliberalizm” traktowany jest jako inwektywa przez polityków i publicystów różnych opcji). To skądinąd dowód na jej słabnący potencjał słowotwórczy, bo przecież to ona przez osiem lat narzucała język debaty publicznej. Posługując się teraz przedrostkiem „neo-” jako inwektywą, prawica wzmacnia zarazem jego negatywne konotacje w takich określeniach jak „neo-KRS”. Innymi słowy, powiedzieć dzisiaj „neosędzia”, to powiedzieć o wiele więcej, a w każdym razie mocniej, niż sześć lat temu. Myślę, że także producenci zastanowią się teraz dwa razy, czy wykorzystać w reklamie słowo „neo”, a rodziny patchworkowe nie będą chciały mówić o sobie „neorodziny”. Bo „neo” to zło.

W języku obecnej opozycji pojawia się ostatnio na przykład „neowładza”, która „wpada tam [do TVP] na czele nieoznakowanych osilków” (wPolityce.pl) lub dokonuje „skoku na Polskę” (Marcin Wolski). „Władze TVP nie potwierdzają umów zawartych przez »neozarząd«” („Do Rzeczy”), a „wszystkie decyzje neozarządu TVP były bezprawne” (Mariusz Błaszczak). „Neoprezesem” TVP jest dla jednej strony Tomasz Sygut (wPolityce.pl), a dla drugiej był Michał Adamczyk (Marek Rutka, członek KRRiT z ramienia Lewicy); o Małgorzacie Manowskiej prof. Michał Romanowski pisał w „Wyborczej” jako o „neoprezes SN”. Ale wróćmy na prawą stronę: „Kompromitacja nowego prowadzącego »neo-Wiadomości« w nowej TVP” („Tygodnik Solidarność”), „krążą po środowisku wieści, że szef »neo-Wiadomości« dostaje znacznie więcej niż zarabiałoby się za PiS” (Rafał Ziemkiewicz dla PCh24.pl). „Demaskujemy, jak neo-TVP sieje propagandę na temat protestu wolnych Polaków” (TV Republika). „Pan jest neodziennikarzem” – powiedział Maciej Wąsik do reportera TVN 24 Sebastiana Napieraję, gdy ten zwrócił mu uwagę, że w Sądzie Najwyższym (który stwierdził, że jego mandat poselski nie wygasł) zasiadają „neosędziowie”; mieliśmy więc do czynienia z walką na przedrostki. Piotr Gabryel w „Do Rzeczy” sprawę potraktował szerzej i napisał o „neopremierze Tusku i jego neo-Polsce”, natomiast były minister cyfryzacji Janusz Cieszyński postanowił się skupić na szczegółach i napisał na Twitterze/X: „Mamy oficjalną zapowiedź pani minister Lubnauer – w neolaptopach będzie wgrane oprogramowanie kontrolujące treści”. Brzmi to jak żart ze skeczu kabaretu – nomen omen – Neo-Nówka.

Konsekwencje zmiany znaczenia przedrostka „neo-” mogą być druzgoczące nie tylko dla dyskursu politycznego. Wyobraźmy sobie dzieci wyzywające się od „neoprzedszkolaków” lub kultową frazę mechaników samochodowych, którzy będą teraz pytać: „Kto to panu klepał? Chyba jakiś neoblacharz!”. Nie mówiąc już o konsekwencjach dla kultury. Przypomnijmy, że bohaterem kultowego filmu rodzeństwa Wachowskich „Matrix” (1999) był Thomas Anderson, haker o pseudonimie Neo (od najbardziej rozwiniętej części ludzkiego mózgu zwanej neocortex), który to pseudonim jest anagramem słowa „(the) one” (jedyne, wybrany). Uwalniał się on z tytułowego Matrixa i wiódł ludzkość ku zbawieniu. Do tej pory była to postać jednoznacznie pozytywna, ale dziś, gdy film ten będziemy oglądać na neolaptopie, obawiam się, że może być już tylko czarnym charakterem. ●

FOT. ANNA MAKSYMIAK (2)



POTŁUKŁEM TEN TALERZ DLA CIEBIE

Wyrzuca się
niewyobrażalne ilości porcelany,
ponieważ brakuje jej perfekcji.
Ciężarówka zabiera tę nieidealną porcelanę,
ten gorszy gatunek.

Z **MARKIEM CECUŁĄ***, ARTYSTĄ CERAMIKIEM,
ROZMAWIA **EWA KALETA**

Wylicytowałam ostatnio przez internet stary talerzyk Rosenthala z 1937 roku, ale zrezygnowałam. Wystraszyłam się, że mi się to potłucze.

– Ja robię porcelanę już potłuczoną. Ostatnio przygotowałam obiekty na wystawę w Izraelu, potłuczone przedmioty codziennego użytku. Zresztą dotyczy to nie tylko Izraela, ale też Ukrainy. Dewastując porcelanę użytkową, chcę pokazać destrukcję codzienności. Ten niewinny codzienny przedmiot – spójrz, jemu coś się stało; poprzez ten symbol bliżej nam do poczucia człowieka, któremu coś się stało. Ale wiem, co masz na myśli, mówiąc o pragmatycznej stronie; kruchość i cena – to połączenie robi swoje.

Dlaczego porcelana jest taka droga?

– Sama w sobie nie jest aż tak droga, proces uzyskania jej perfekcyjnego oblicza jest drogi. U nas w fabryce w Ćmielowie widzę to dokładnie. Mnóstwo talerzy i kubków po prostu się wyrzuca. Większość z tych wyrzucanych rzeczy nie ma żadnej skazy na pierwszy rzut oka. Trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby ją odnaleźć, okazuje się, że jest tam jest jakaś kropeczka, odpadł kawałek szklawa. To sprawia, że jest już to drugi i trzeci gatunek. Wyrzuca się niewyobrażalne ilości porcelany, ponieważ brakuje jej perfekcji. Ciężarówki zabierają tą nieidealną porcelanę, która jest interpretowana jako gorsza. Co drugi lub trzeci talerz to właśnie ten gorszy gatunek.

Przez chwilę miałam wrażenie, że mówisz o Holocaustie i antysemityzmie językiem symboli. Jesteś Żydem, ocalonym przed pogromem kieleckim. Przepraszam, wróćmy do porcelany.

– Ach, to ciekawe spostrzeżenie. Jeśli chodzi o porcelanę, perfekcja jest normą, taka jest tradycja.

Na całym świecie tak jest?

– To jest kwestia całej naszej kultury. Dotykamy rzeczy, sprawdzamy, jak są zrobione, w pewnym momencie chcemy już, jakoś naturalnie, aby były coraz lepsze, idealne. Chcemy braku pomyłki. Taka jest nasza natura, czasem klient dostrzeże jakąś drobną niedoskonałość i mówi nam o tym, więc my wówczas chcemy być jeszcze lepsi. Porcelana wnosi aurę perfekcyjności. Wszystkim nam, twórcom i klientom, chodzi o to samo – o doświadczenie idealnego obiektu. Przykładamy go do ust, trzymamy w dłoni, to obiekt, można powiedzieć, intymny. Kiedy kupujemy gliniany kubek, nie szukamy tam ideału, on temu nie służy.

W latach 80. sprzeciwiałeś się umasowieniu produkcji porcelany. A teraz?

– Pracuję już około 60 lat w ceramice, wiele już doświadczyłem. Bunt wobec umasowienia zaczął się w latach 20., 30. XX wieku. Ruch Arts & Craft. Po rewolucji przemysłowej w Anglii i Japonii powstały ruchy zaczęte głównie przez Shoji Hamadę i Bernarda Leacha z myślą, że rzeczy robione ręcznie to nadal wartość. Trzeba było wówczas naprawdę mocno się buntować, aby mechanika i masowość nie stały się jedynym punktem odniesienia. W latach 60. szukaliśmy indywidualności, samowystarczalności. Artyści i rzemieślnicy zaczęli wyjeżdżać z miast na wieś i tam budować swoje studia. Rzeczy robione ręcznie odzyskały swoje miejsce w kulturze. Ja też byłem związany z tym ruchem, to był akurat początek mojej drogi. Orientalna ceramika zawsze była mi bliska, zawsze miałem ją w głowie, bo mieli szacunek do ręcznego tworzenia. Jako zachodni artysta przeszczepiłem sobie ich idee właściwie na zawsze.

Gdzie wtedy mieszkaleś?

– W Izraelu, miałem własne studio. W latach 70. atmosfera się zmieniła, w miastach zrobiło się atrakcyjnie, były ciekawsze niż prowincja. W Nowym Jorku otwierały się galerie, artyści tworzyli swoje miejsca w Soho i ja też. Miasto stawiało swoje warunki, prawa ekonomiczne miały swój głos. Powstawały studia, w których łączono sztukę i przemysł, i to na pewną skalę się udawało, udało się stworzyć pewną hybrydę. Zaczęto używać form gipsowych, a było to przez wiele lat tabu w studiach,

bo ingerowało w niepowtarzalność. Powstawały sklepy ze sprzętem ceramicznym, które ułatwiały powtarzalność, ale i wspierały artystów w ich indywidualnych działaniach, można było kupować małe piece ceramiczne oraz narzędzia do tworzenia. W 1976 roku otworzyłem swoje studio w Soho, łączyłem ceramikę i sztukę, tworzyłem ceramiczne obiekty nieużytkowe, conceptualne, dekoracyjne. Tam zaczęła się dwutorowość moich działań. Na co dzień żyłem w atmosferze wielkiego artystycznego fermentu, najlepsi młodzi artyści robili zawrotne kariery. Robiłem w tym czasie białe, czyste, minimalistyczne rzeczy, ale sklepy artystyczne, handmade nie chciały moich prac, bo modne były glina i odcisk ludzkiej dłoni na niej, i brunatny efekt. Mnie interesowała porcelana, zakochałem się w niej, jeszcze będąc w Izraelu. Porcelana nie była wtedy specjalnie dostępna, zacząłem ją niemalże wykradać z przemysłowych wytwórni, robić eksperymenty, uwielbiałem czystą formę. W swoim studio robiłem małą wystawę w witrynie, dosłownie na poziomie ulicy. I o dziwo ludzie zaczęli kupować moje prace, ta czysta forma ich uwiódła.

Zacząłem mieć dochód z mojej działalności.

Co wtedy tworzyłeś?

– Robiłem czajniki, a właściwie ich interpretację, obiekt wyglądał jak czajnik, ale był formą rzeźbiarską, dekoracyjną, nie służył herbacie, służył odczuciu i ekspresji. Interpretowałem obiekty użytkowe. Chciałem temu, co użytkowe, dodać wartości artystycznej. Poruszałem się pomiędzy sztuką a designem. Tworzyłem obiekty, które kwestionowały i jedno, i drugie. Masz w ręce czajnik, z którego nie nalejesz herbaty. Użytkowość przemieniała się w sztukę.

Sztuka użytkowa zaczęła bardzo mnie poruszać, zaczęłam się zastanawiać, jakie jest to, czego używam na co dzień, z czego piję i z czego jem, jakie to ma znaczenie, jaki ma na mnie wpływ.

– Mnie to ciekawi całe życie, czym jest talerz położony na stole, czym ten, który wieszamy na ścianie. Co jest pomiędzy nimi, czy mogą się zamienić miejscami. Czy mogą na siebie wpływać i jak.

Najbardziej interesuje mnie, czy coś, czego używam na co dzień – jak wspomnialeś – co przykładam do ust, z czego jem, może być piękne, poruszające, czy może mieć wartość artystyczną, czy może we

połowy stopiony, ozdobny, jakby przeżył wojnę. On mnie rani.

– Moim zdaniem w porcelanie schowana jest wewnętrzna siła, energia, którą możemy wydobyć, manipulując materiałem. Talerz może ci się potłuc, ale co, jeśli ja już go potłukłem dla ciebie.

Czy to ma związek z twoim pochodzeniem i trudnością twojej biografii? Już wspomniałam, jesteś polskim Żydem, wyjechałeś do Izraela, pracowałeś w wielu miejscach na świecie... i wróciłeś do Kielc, skąd uciekałeś.

– Na poziomie podświadomym z pewnością, przyjechałem tu i tu te obiekty codzienne tłukę, poddaję dekonstrukcji. Z Kielc przyjechałem do Ćmielowa, miejsca z największą w Polsce tradycją i historią, jeśli chodzi o porcelanę, jestem tu już 10-11 lat i tu, w sercu fabryki, mam swoje studio. Jestem otoczony masową produkcją, wchodzę co rano do fabryki i widzę tysiące kubków, takich samych talerzy, wszystko ułożone na półkach, na wózkach, przedmioty czekają, aż zostaną dostarczone do klienta i zaspokoją jego potrzeby użytkowe i wizualne. Konfrontuję się z przemysłem jako artysta/projektant, więc manipuluję tym, co widzę, czego doświadczam. Deformuję, psuję, robię sabotaż. Chcę zaburzyć monotonność tego rytmu przemysłowego, chcę obiektom odebrać podległość temu rytmowi.

Porcelana ma też znamiona mieszczaństwa. Jej piękno, to dosłowne, rozumiane w stary sposób, jest istotą mieszczaństwa.

– Kiedyś porcelana była przywożona z Chin i to miało swoją wielką wartość, rzeczy przyjechały do nas z innego świata, były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Porcelanę przekazuje babcia matce, matka – córce i tak dalej. Ten element przekazywania czegoś wartościowego jest niezwykle ważny w kontekście piękna. Chodzi nie tylko o piękno dosłowne, ale też piękno przekazywania czegoś. Więc mieszczaństwo w pewnym sensie tak, ale to dość surowe ujęcie.

Ach, chciałeś w ten sposób wpłynąć na dziedzictwo.

– Tak, nie wybieramy tego, co dziedziczymy. Pamięć o tym właśnie będzie w ten sposób przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Przyjechałeś nam tu wszystko popsuć. W pożydowskim miasteczku, gdzie nie ma śladu ani myśli po żydowskiej prze-

gii, bez logiki, w dezintegracji, to moja wersja tego okresu Kielc. Biorę zresztą tę instalację ze sobą za chwilę do Izraela. Zrobiłem też pomnik w miejscu getta kieleckiego. Menora. Przytrzymał mnie tu jakiś obowiązek. Menora wyrasta z ziemi lub w nią wsiąka. Pozostawiam to interpretacji, czy ona ginie w zapomnieniu, czy się odradza pamięć.

Ale jaka jest prawda, ginie czy się odradza?

– Zostawiam pole otwarte.

A dla ciebie?

– Odradzała się wtedy, teraz trudno mi powiedzieć. Kiedy przyjechałem do Kielc, ludzie przyznawali się do swojego pochodzenia, na głos mówili, że są Żydami, powstawały fundacje, festiwale – to było fascynujące, coś się odradzało. Poznawałem fascynujących ludzi; Bogdan Bialek poświęcił całe życie tematowi Żydów w Kielcach, rzucił tę historię na stół, wprost. Pamiętam, jak przyjechał Gross, byłem świadkiem transformacji społeczeństwa: krzyczeli, zaprzeczali, że to nie kielczanie zabili Żydów w pogromie, byli zablokowani, aż nagle pod wpływem tej wielkiej atmosfery zaczynali kwestionować, mówić, że to ich dziadkowie to zrobili, lub odnajdywali swoje żydowskie korzenie. Poznałem człowieka, który wyrastał na tym samym podwórku co ja, emigrował do Meksyku i nagle w tym samym czasie co ja przyjechał do Kielc. Przyjechał powiedzieć swojemu ojcu, że wie, że był jednym z robotników z kopalni Ludwik, który zwoływał ludzi do pogromu, do mordowania. Chciał mu powiedzieć w twarz, że wie o tym. Zrobił o tym film. Dołączyłem się do tego niesamowitego ruchu.

A stworzyłeś kiedyś coś, co było niezłamane?

– Oczywiście, robię design. My to nazywamy design na tle tradycji. Robię to w Ćmielowie.

Jesteś człowiekiem, który wytwarza dwa czajniki: ten, z którego da się pić, i ten, z którego nie da się pić.

– Tak, mam taką dualność.

Rozumiem, dlaczego niszczysz akurat tu, a dlaczego tu tworzysz?

– Stworzyłem tu małą społeczność. Kiedy przyjechałem do fabryki, aby zaproponować swe designerskie możliwości, zostałem przyjęty z otwartymi ramionami, ówczesna dyrektorka od razu zaproponowała utworzenie małego studia. To była wyjątkowa propozycja, zostałem. Nie spodziewałem się tego. Powstała nowa marka, Ćmielów Design Studio, pracownia współczesnej porcelany użytkowej na tle tradycyjnej porcelany Ćmielowskiej, która ma już swoją wartość na całym świecie. Zaczęliśmy tworzyć, nasze zestawy zostały przyjęte przez wszystkie muzea narodowe, można je kupić w sklepie MoMA Design w NY, stworzyliśmy nową współczesną formę porcelany użytkowej. Ruszyliśmy z impetem, ale po jakimś czasie fabryka zmniejszyła zapotrzebowanie na współczesne wzory ze względów ekonomicznych, zwrócono się ponownie w stronę projektów z lat 60., które ludzie kupują na śluby.

Robimy swoje produkty nie na masową skalę. To porcelana dla współcześnie myślących ludzi. Jesteśmy awangardą. Nie mamy dużej konkurencji w Polsce i mamy dobre warunki.

Nie macie konkurencji?

– Naszym jedynym konkurentem jest nostalgia.

Rozumiem, że kochasz porcelanę. Ale musisz przecież widzieć, że porcelana w takim rozumieniu nostalgicznym czy współczesnym przegrywa. Ludzie kupują przedmioty na stół w sieciówkach. Może stać nas na porcelanę finansowo, ale jakoś wewnętrznie przestało nas być na nią stać.

– Zauważyłem coś przed świętami: ludzie lubią design Ikei lub – dlatego że są sentymentalni – wolą kubek po babci. Ale okazuje się, że mają przyjaciółkę albo kogoś bliskiego,

Dlaczego porzuciłem Nowy Jork dla Kielc? Tu zmieniono mi nazwisko z Kohen na Cecuła, tu ukrywano mojego ojca, tu jest moje podwórko

mnie coś uruchamiać. Myślę, że jakaś wojna została w tej sprawie przegrana i moje pytania są dziś dziwaczne.

– Tak, trochę przegraliśmy. Wiesz, robię obiekty, które nazwałem dezintegracją. Dezintegracja to rozpad obiektów użytkowych, domowych, codziennych. Zrobiłem talerze z dziurą, pęknięte, popękane przy wypalaniu, wpływam na nie wodą jeszcze przed wypałem, aby symulować upływ czasu, od twarzam korozję pod wpływem natury. Wymieniam użytkowość na emocje. Nadal można z nich jeść, ale jest coś jeszcze. Próbuje ludzi gdzieś zabrać, zacząć ich, aby powstała w nich jakaś nowa przestrzeń.

Pamiętam twój talerz z portretem księżnej Diany, połamałeś go i skleileś po jej śmierci. Mam w domu twój czajnik, do

szłości, w popogromowym klimacie Kielc. Jesteś tu jako artysta. Czego chciałeś, przyjeżdżając tu? Kto o zdrowych zmysłach zamieniłby Soho na Kielce?

– W Nowym Jorku byłem zupełnie wyzwolony z lokalnych interpretacji, byłem uniwersalny. Kiedy przyjechałem do Kielc, do mojego miasta, do mroku, zaprzeczania, prób wybielania, śmierci, poczułem, że muszę tu zostać, że chcę coś dodać. To moje miasto, tu zmieniono mi nazwisko z Kohen na Cecuła, tu ukrywano mojego ojca, tu jest moje podwórko. Tu jako jedną z pierwszych prac zrobiłem małą instalację „Kronika Kielecka” – potłukłem talerze i umieściłem je w zagłębionym stole, były na nich fragmenty archiwalnych zdjęć, podobizny twarzy z przeszłości tego miasta, dobre i okropne wydarzenia, wszystkie mieszają się ze sobą, bez chronolo-

FOT. ESA/HUBBLE & NASA

CIESZĘ SIĘ, ŻE NIE WIEM

Ogrom nieznanego jest wprost przytłaczający. Po co nam metafizyka, skoro mamy fizykę?

Z **PROF. BRIANEM COXEM***
ROZMAWIAJĄ **PIOTR CIEŚLIŃSKI**
I **TOMASZ ULANOWSKI**

Zanim zagłębimy się w czarną materię, może coś lżejszego. Jest pan nieziemsko przystojny – jak na profesora. To pomaga czy przeszkadza w pracy?

– Nie wiem, co powiedzieć, naprawdę... (*profesor śmieje się i czerwieni*).

To zasadne pytanie. Paul Giamatti, który niedawno udzielił wywiadu „Wyborczej”, jest świetnym aktorem, ale raczej nie można powiedzieć, żeby był przystojny. Być może przez to nie zyskał statusu gwiazdy Hollywoodu.

– Z nauką jest inaczej. Wprawdzie opiera się na współpracy, zwłaszcza w dziedzinie fizyki cząstek elementarnych, ale ostatecznie czerpie się w niej radość z myślenia. A to proces wewnętrzny, każdy zostaje z nim sam.

Pan jest ekstrawertykiem czy introwertykiem?

– Studenci często mnie pytają, na czym polega dobry wykład czy wystąpienie publiczne. W moim przypadku to umiejętność czysto wyuczona. Praktyka czyni mistrza.

Kiedyś czułem się bardzo niekomfortowo, występując nawet przed kilkorgiem studentów. Z czasem przewalczyłem opory.

Jak sądzę, można swobodnie zachowywać się na scenie i dzięki temu uchodzić za

ekstrawertyka. Ale nie przyszło mi to naturalnie.

Podobno uważa się pan za humanistę. To prawda?

– No właśnie nie! Nie mam pojęcia, skąd ta etykieta. W ogóle nie lubię, jak się przykleja ludziom metki: ateista, humanista, wierzący.

Zaliczanie się do jednej z takich grup sugeruje hierarchię. Że mój sposób patrzenia na świat jest lepszy od innych. A przecież jest tak wiele różnych dróg życia i poznawania świata.

Jeśli już byłbym zmuszony do etykietowania ludzi, to wolę dzielić ich na życzliwych i nieżyczliwych.

Przypomniał mi się Richard Feynman, słynny fizyk, który w 1955 r. w eseju zatytułowanym „O wartości nauki” próbował zgłębić, co czyni naukę cenną. Doszedł do wniosku, że najważniejsza jest zgoda na niewiedzę.

A więc pokora i skromność. Bez nich nie da się nic odkryć. Bo po co, jeśli wszystko się już wie?

To dzięki nim zbudowaliśmy cywilizację technologiczną, wiemy, jaki jest wiek Wszechświata, ile ma gwiazd i galaktyk. Udało się, bo przyjęliśmy podejście oparte na otwartości i wątpleniu w pewność własnych osądów. Jeśli nowe dane nie zgadzają się z opinią, to ją zmieniamy.

Cała nauka opiera się na pokorze, to najcenniejsza cecha uczonych. Nie udajemy, że z góry znamy odpowiedź na każde pytanie.

Ogrom Wszechświata jest tak przytłaczający, że wielu, w tym naukowcy, zwraca się ku religii.

– Ja nie boję się przyznać, że nie wiem. Wyliczmy: nie wiemy, jak duży jest Wszechświat. Może jest nieskończony, a może nie. Nie wiemy, czy miał początek. Wiadomo tylko, że 13,8 mld lat temu zaszło coś, co nazywamy Wielkim Wybuchem, kiedy wszystko było bardzo gorące i bardzo gęste. Nie wiemy jednak, czy był to początek czasu. Bo na fundamentalnym poziomie nie wiemy nawet, czym jest czas. Podejrzewamy, tak wynika z badań czarnych dziur, że może się wylaniać z jakiejś głębszej struktury, która jest beczasowa. Czy ma zatem sens mówienie o początku? Nie wiemy. Nie wiemy, skąd się wzięły prawa natury...

Jest tak wiele rzeczy, których nie wiemy. Mnie to ekscytuje!

Życie uczy nas, że odpowiedzi na bardzo trudne pytania dotyczące naszego miejsca we Wszechświecie – jeśli tylko uda się je podejrzeć – mogą się znajdować na ziemi niczyjej, pomiędzy pozornie sprzecznymi koncepcjami. Lubię ten stan niepewności, konfuzji, a może nawet lęku.

Fizycznie rzecz biorąc, jesteśmy we Wszechświecie pyłkiem kurzu, zupełnie nieistotni. Jednak całkiem możliwe, że średnia liczba cywilizacji na galaktykę wynosi jeden, może zero, w każdym razie niezbyt wiele. To zaś czyni nas wyjątkowymi, stawia nas w pozycji istot, które umożliwiają kosmosowi zrozumienie samego siebie.

Ostatnio w Operze w Sydney słuchałem muzyki Richarda Straussa. Skomponował ją zainspirowany dziełem Nietzschego „Takto rzecz Zaratustra”. Nietzsche stawia podobne pytanie: „Jak możemy usprawiedliwić nasze istnienie w obliczu nieograniczonej potęgi natury?”.

Jaka jest na to odpowiedź? Moja brzmi: „To świetne pytanie”.

Czy w ogóle musimy jakoś usprawiedliwiać nasze istnienie?

– Otóż to. Stoimy przed prawdziwym wyzwaniem: co zrobić z naszą egzystencją, krótkim życiem, jakie nam dano.

Dla mnie częścią człowieczeństwa jest fascynacja nieznanym. Nie czuję potrzeby zwracania się ku czemuśkolwiek innemu.

Chociaż pamiętam, że Nietzsche powiedział także coś w stylu: „Jeśli zbyt długo wpatrujesz się w otchłań, to otchłań może wejrzeć w ciebie”.

Ogrom nieznanego jest wprost przytłaczający. Po co nam metafizyka, skoro mamy fizykę.

– Świetnie to pokazują badania czarnych dziur, którymi teraz się zajmuję. Ostatnie wyniki kwestionują nasze dotychczasowe pojmowanie przestrzeni – tego, co to znaczy być blisko, a zarazem bardzo daleko.

Jak się wydaje, wewnątrz starej czarnej dziury w pewnym sensie staje się tożsame z obszarem, który znajduje się gdzieś daleko na zewnątrz. To bardzo dziwne, ale jed-

na z interpretacji matematyki czarnych dziur sugeruje, że po przekroczeniu horyzontu zdarzeń lądujemy w miejscu, które jest tak daleko w przestrzeni i czasie, że aż trudno uwierzyć.

Badania Wszechświata prowadzą nas czasem w kierunku całkowicie sprzecznym z intuicją.

Jest pan w stanie to wszystko sobie wyobrazić? Głowa pęka.

– Ta idea wywodzi się z pewnej dualności teorii – pomysłu, o którym niektórzy z waszych czytelników mogli słyszeć, a który nazywa się korespondencją AdS/CFT. Wielki fizyk Juan Maldacena odkrył szczególny model, w którym możliwe są dwa równoważne opisy rzeczywistości czy układu fizycznego. Jeden „żyje” na otaczającej opisywany obszar granicy i nie ma w nim czasu, drugi zaś rozgrywa się w rozpatrywanej przestrzeni i czasie.

Być może ta koncepcja jest ogólna, a więc dotyczy także naszego Wszechświata i rzeczywistości. To by znaczyło, że można wszystko opisać, włączając was i mnie, w kategoriach spleątanej teorii kwantowej bez czasu i przestrzeni.

Stąd te medialne hasła: wszyscy jesteścieśmy hologramami.

Bardzo prawdopodobne, że taką cechę ma kwantowa teoria grawitacji. Może być teorią holograficzną.

Problem w tym, że nie mamy jak tego fizycznie udowodnić.

– Jeśli chodzi o czarne dziury, to mamy obliczenia wykorzystujące bardzo dobrze poznaną teorię względności i teorię kwantową. Zapoczątkował je Stephen Hawking w latach 70. Dotyczą one obszaru w pobliżu horyzontu czarnej dziury, który teoretycznie dobrze rozumiemy. A mimo to pojawiają się nowe, głębokie pytania.

Co ciekawe, rachunki Hawkinga mają również zastosowanie w obliczeniach kwantowych. Tak więc teoretyczne badania czarnych dziur stają się praktycznymi zagadnieniami przy budowie komputerów kwantowych i ich programowaniu, a w szczególności w ochronie pamięci komputerów przed błędami. Okazuje się, że tzw. kody kwantowej korekcji błędów są istotne dla zrozumienia czarnych dziur.

Nie jest więc oczywiste, że tego rodzaju badań nad grawitacją kwantową nie będzie można przetestować w laboratorium. Wygląda na to, że potencjalnie można by w tym celu wykorzystać komputery kwantowe.

Czyli wierzy pan w to, że czarne dziury naprawdę istnieją, a nie są tylko abstrakcyjnym obiektem naszych obliczeń?
– Nie muszę wierzyć. Widziałem zdjęcia.

Raczej cienie.

– Ale to prawdziwe zdjęcia dwóch czarnych dziur – w galaktyce M87 i Drodze Mlecznej.

Poza tym zaobserwowaliśmy fale grawitacyjne wywołane zderzeniami czarnych dziur. Ich obserwacje to kolejny, bardzo precyzyjny dowód na 100-letnią teorię Einsteina.

A są też inne. Kilka lat temu Nobel został przyznany za mapowanie gwiazd krążących wokół czarnej dziury w centrum Drogi Mlecznej. Naprawdę trudno dzisiaj zaprzeczyć, że czarne dziury istnieją.

Jednak istnieje możliwość, że są czymś innym, niż nam się wydaje. Może są wypełnione egzotyczną materią lub energią?

– No i czy czarna dziura ma w ogóle wnętrze? Obecnie umysły wielu z nas zaprzęta paradoks związany z tzw. ścianą ognia, która jest albo jej nie ma na granicy horyzontu zdarzeń.

Rzeczywiście nie znamy natury czarnych dziur. Nie wiemy, jak opisać to, co się dzieje z przestrzenią i czasem poza horyzontem zdarzeń.

Ale obserwujemy i testujemy to, co się dzieje na zewnątrz nich. Sposób, w jaki oddziałują z otaczającymi je tzw. dyskami akrecyjnymi, w których materia krąży spi-

ralnie i się rozgrzewa. Czy to, jak zniekształcają przestrzeń i czas podczas zderzeń.

Wiemy więc, że te supergęste, technicznie rzecz biorąc, nieskończenie gęste twory, czy też – ujmijmy to w ten sposób – dziwne odciski w strukturze czasoprzestrzeni, które nazywamy czarnymi dziurami, naprawdę istnieją.

A spekulacje na temat tego, co się w ich wnętrzu faktycznie dzieje, jeśli w ogóle mają jakieś wnętrze, są niezwykle ekscytujące. Na tym teraz skupiają się badania.

Ale fizyka to eksperymenty, a nie metafizyczne hipotezy. Czy można sobie wyobrazić eksperyment, który odkryje naturę czarnych dziur?

– Możemy doskonalić eksperymenty z falami grawitacyjnymi będące obecnie w powijkach. Niedawno Europejska Agencja Kosmiczna zatwierdziła budowę detektora LISA, który ma być umieszczony poza Ziemią i będzie miał znacznie większą rozdzielczość i czułość od ziemskich detektorów fal grawitacyjnych.

Będziemy więc testować, czy czarne dziury zachowują się tak, jak przewidują to nasze teorie.

Wielki Wybuch to nie jest początek czasu. Nie wiemy, czy czas ma początek.

Nie wiemy, jak duży jest Wszechświat. Może jest nieskończony, a może nie. Nie wiemy, czy miał początek. Nie wiemy, czy Wielki Wybuch był początkiem czasu. Nie wiemy nawet, czym jest czas

Nie można polecić do jednej z nich, wskoczyć i po prostu sprawdzić?

– Nie pamiętam dokładnie, gdzie znajduje się najbliższa, ale to setki, jeśli nie tysiące lat świetlnych stąd. O wiele łatwiej jest dolecieć do układu gwiazd Alfa Centauri [położonego najbliżej Układu Słonecznego, o trochę ponad cztery lata świetlne] niż do najbliższej czarnej dziury.

Choć teoretycznie rzecz biorąc, w Wielkim Wybuchu mogły się narodzić mikro czarne dziury. Hawking miał nadzieję, że wszędzie jest ich pełno i można je wykryć. Ale żadnej jeszcze nie znaleźliśmy.

Co pan myśli o hipotezie, że meteoryt tunguski był w rzeczywistości małą czarną dziurą przelatującą przez Ziemię?

– Raczej nie był, prawdopodobnie był jednak kawałkiem skały i lodu.

Pierwotne czarne dziury, bardzo małe i niezbyt masywne, które mają istnieć od Wielkiego Wybuchu, teraz powinny się rozpadać. To całkiem energetyczny proces pozostawiający ślad w postaci błysku promieniowania gamma na niebie.

Zgodnie z obliczeniami Hawkinga im czarna dziura jest mniejsza, tym jest cieplejsza i ma krótszy czas życia. Często mówił, że gdybyśmy je odkryli, to natychmiast by dostał Nobla, ponieważ jego obliczenia zostałyby zweryfikowane eksperymentalnie.

Wkrótce ukaże się po polsku książka „Czarne dziury. Klucz do zrozumienia Wszechświata”, której jest pan współautorem. Z której części jest pan najbardziej zadowolony?

– Z rozdziału o termodynamice, dziedzinie fizyki powstałej już w XIX w., dotyczącej rewolucji przemysłowej i maszyn parowych. Teraz, jak się okazuje, istotnej w badaniach czarnych dziur. Będącej oknem, przez które możemy zajrzeć w strukturę natury.

Gdy pisałem książkę, musiałem się ponownie zapoznać z termodynamiką, co uświadomiło mi, jak słabo ją znałem. Nie rozumiałem nawet tego, co sam wykladałem studentom.

XIX-wieczna wiedza ma związek z XX-wiecznymi prawami kwantowymi dotyczącymi czarnych dziur?

– Jak najbardziej. W latach 70. kolega Hawkinga Ja'akov Bekenstein obliczył tzw. entropię czarnej dziury, którą można określić ja-

ko ilość przechowywanych informacji. Najbardziej niezwykle było to, że ta entropia jest proporcjonalna do powierzchni horyzontu zdarzeń.

Gdybym zapytał, ile informacji można zmieścić w jednym pokoju, z pewnością byście powiedzieli, że to musi być związane z objętością, to jest kubaturą pomieszczenia. Nie w przypadku czarnej dziury – jej entropia, czyli pojemność informacyjna, zależy nie od objętości, ale od powierzchni. Znowu nasuwają się skojarzenia z hologramem.

W termodynamice temperatura odzwierciedla chaotyczne drgania i ruch molekuł, a entropia to informacja o strukturze i organizacji natury na najniższym poziomie mikroskopowym. Jest to bardzo głęboki związek. Im bardziej się w tę kwestię zagłębiam, tym bardziej mnie to dziwi.

W książce porównuje pan nawet czarną dziurę do kwantowego komputera.

– Próba zrozumienia, co oznacza entropia czarnej dziury – ten rodzaj zapisu informacji na jej powierzchni – doprowadziła do koncepcji nazywanej zasadą holograficzną.

Wielki Wybuch to nie jest początek czasu. Nie wiemy, czy czas ma początek.

Nie wiemy, jak duży jest Wszechświat.

Może jest nieskończony, a może nie. Nie wiemy, czy miał początek.

Nie wiemy, czy Wielki Wybuch był początkiem czasu.

Nie wiemy nawet, czym jest czas

Wygląda na to, że istnieje opis naszej rzeczywistości równoważny i alternatywny wobec tych wymyślonych w poprzednich stuleciach. Może jest nawet głębszy, nie ma w nim starożytnych sił i pól fizycznych ani przestrzeni i czasu.

Ten opis zawiera tylko sieć spleąanych ze sobą kubitów, czyli kwantowych bitów informacji.

Czy kiedyś dojdziemy do granicy zrozumienia, poza którą nasze mózgi nie sięgną? One są takie same od dziesiątek, a może i setek tysięcy lat. I chyba mają ograniczone możliwości.

– Zastanawiał się nad tym astronom Martin Rees – czy jesteśmy w stanie zrozumieć Wszechświat na jego najgłębszym poziomie.

Co można na takie pytanie odpowiedzieć?

Jedynie to, że wciąż czynimy postępy. Nic nie wskazuje na to, żebyśmy utknęli w miejscu. Postęp w rozumieniu przestrzeni i czasu, który nastąpił dzięki badaniu czarnych dziur, jest niezwykle. Zaskoczył wszystkich.

Lubi pan samą nazwę „czarna dziura”?

– Jest niezwykle poetycka. Nazwa zmieniała się w toku naszego pojmowania, czym ten twór jest. Najpierw mówiono, zdaje się, o „próbach osobliwości”. Co w rzeczywistości było błędnym określeniem, bo myślano, że horyzont zdarzeń jest osobliwością.

Czarne dziury nazywano też „obiektami całkowicie zapadniętymi grawitacyjnie”. Aż John Wheeler wymyślił poetycki termin, którego używamy do dziś.

W popularyzacji wiedzy „czarna dziura” sprawdza się znakomicie. Ale, jak ponoć mawiał George Bernard Shaw, największym problemem w komunikacji jest złudzenie, że ma ona miejsce.
– (śmiech) Piękny bon mot!

Czy jako naukowiec, wykładowca i showman uważa pan, że popularyzacja nauki jest nawet trudniejsza od samej nauki?

– Genialny problem. Wczoraj wieczorem w Imperial College w Londynie miałem wykład na temat Abdusa Salama, jednego z najwybitniejszych fizyków, laureata Nobla, który współtworzył współczesną teorię cząstek elementarnych. Poproszono mnie, abym w pół godziny opowiedział o modelu standardowym

[budowy materii] – a więc o teorii niezwykle subtelnej i skomplikowanej.

W takich sprawach łatwo wpaść w pułapkę – zostawić słuchaczy ze złudzeniem wyjaśnień, mnóstwem mądrych słów, z których nic nie wynika, poza tym, że mówca nie ma pojęcia, o czym mówi.

Ale wydaje mi się, że najgłębszy sens każdej cząstki wiedzy można przekazać nawet w pół godziny.

W przypadku modelu standardowego jest nim symetria. Zacząłem od Johanna Keplera, który w 1611 r. napisał krótki – genialny i piękny – traktat o płatkach śniegu. Opisał, jak spadły mu na płaszc, gdy przechodził przez most w Pradze. Spojrzał na nie i dostrzegł, że mają coś wspólnego – sześciokątną symetrię. Choć wszystkie są różne, to ich symetria pozostaje ta sama. Zasugerował więc, że musi ona wyjawiać coś o naturze i strukturze tego, z czego składa się płatek śniegu.

Miał rację, choć nie znano wtedy atomów i nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że symetria płatków śniegu bierze się z własności molekuł wody.

To samo dotyczy modelu standardowego. Salam założył, że pod złożonością tego opisu rzeczywistości kryje się piękna symetria. W ten sposób w latach 60. przewidział istnienie tzw. bozonów W i bozonów Z, które przenoszą jedną z czterech podstawowych sił przyrody. W tym schemacie znalazła się też cząstka Higgsa. Ich istnienie najpierw wywiedziono z symetrii. Natomiast odkryto je znacznie później.

Pomyślałem, że opowiem tylko o tej jednej idei, bo wolę, aby ludzie zrozumieli coś, co – mam nadzieję – jest esencją odkrycia, zamiast zostali z iluzją zrozumienia.

W czasie wykładu, prezentacji lub wywiadu istnieje niebezpieczeństwo popisu, chwalenia się wiedzą. Jeśli się wpadnie w tę pułapkę, pada wiele skomplikowanych słów i zdań, których nikt nie rozumie. Ale każdy uważa, że mówca musi być bardzo mądry.

Mówi się jednak, że ludzie nie chcą wiedzieć. Chcą być zadziwiani.

– Może i tak. Ale... W kwietniu przyjeżdżam do Polski ze spektaklem – powiedziano mi, żebym nie nazywał go wykładem, bo bilety są drogie, będzie kosztowna oprawa, ekrany LED, duża ekipa – i pokażę zdjęcie olbrzymiej czarnej dziury w galaktyce M87.

Ta dziura ma masę sześć miliardów razy większą od masy Słońca. Wprost niewyobrażalną.

Mnie jednak najbardziej emocjonuje chwila, w której pokażę tzw. diagramy Penrose'a. To sprytny sposób na narysowanie mapy przestrzeni i czasu wewnątrz oraz na zewnątrz czarnej dziury. Dzięki nim można pokazać, że w środku czarnej dziury kryje się koniec czasu.

Zwykle zapada wtedy cisza świadcząca o prawdziwym zainteresowaniu. To wyjątkowa chwila, w której, mam wrażenie, widzowie rozumieją. Eureka! ●



FOT. THE ROYAL SOCIETY

***Brian Cox**

• ur. w 1968 r., profesor fizyki na Uniwersytecie w Manchesterze i popularyzator nauki, w tym kosmologii, znany z programów radiowych i telewizyjnych BBC. Współautor dziewięciu książek popularnonaukowych. Komandor Orderu Imperium Brytyjskiego.

Wiosną prof. Cox przyjedzie do Polski. 15 kwietnia w Warszawie oraz 17 kwietnia w Poznaniu przedstawi multimedialny spektakl „Horizons. A 21st Century Space Odyssey” (Horyzonty. Odyseja kosmiczna na miarę XXI w.).



Tak naprawdę dokładnie nie wiadomo, kiedy się urodził. Jedni przyjmują datę 25 stycznia 1688 roku, inni 25 lutego tegoż roku – na pewno w słowackiej wsi Terchová, 25 km od Żyliny. Z datą śmierci jest podobnie – 17 bądź 18 marca 1713 roku. Jeszcze nie wiadomo, o kim mowa, ale jeśli napiszemy, że jego rodzicami byli Martin Jánošík i Anna Cisníková (Cesneková), to, cytując Ewę Chodakowską, „wszystko okazuje się jasne”.

Juraj Jánošík, harnaś, karpacki zbójnik, bohater narodowy Słowaków, tatrzański Robin Hood. No właśnie, z tym szlachetnym profilem działalności Jánošíka to już wiemy, że nie do końca tak było, że zabierał bogatym, a dawał biednym. To znaczy bogatych łupił, a jakże – to było logiczne – ale z tym dzieleniem się z ubogimi to już niekoniecznie. Ponoć tak, ale jednakowoż znakomitą większość łupów banda Jánošíka miała zostawiać dla siebie, bądź obdarowywać tych, których się opłacało. Względnie dziewczęta.

Zanim Jánošík zajął się zbójowaniem, walczył w antyhabsburskim powstaniu węgierskich chłopów, na którego czele stał Ludwik II Rakoczy. Po klęsce zrywu wstąpił do armii austriackiej, a stacjonował na zamku w Bytczy. Tu poznał niejakiego Tomáša Uhorčíka, herszta zbójników. Pomógł mu uciec z więzienia, potem sam pożegnał się z wojskową służbą i dołączył do uhorcikowych.

Kiedy harnaś w 1711 „odszedł do cywila” (przyjął imię Marin Mravec), na czele bandy stanął Jánošík.

Zbójowanie skończyło się zimą 1713 roku, kiedy Jánošík został pojmany. Gościł wtedy właśnie u Mravca vel Uhorčíka, a legenda głosi, że schwytano go w karczmie dawnego kamrata, kiedy to uciekającemu Jánošíkowi jakaś kobieta sygnęła pod nogi ziarna grochu, na których ten miał się poślizgnąć.

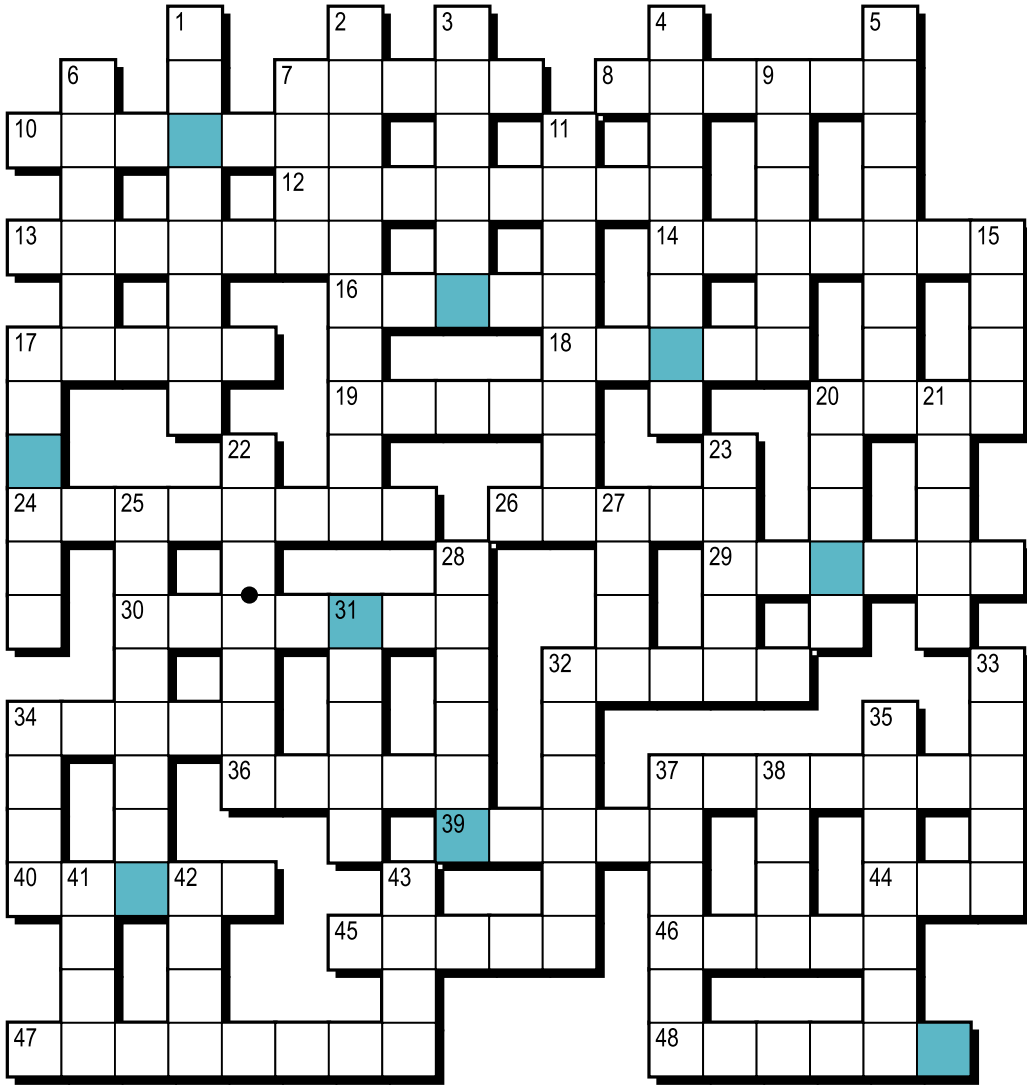
Proces odbył się w Liptowskim Mikulaszu, a Jánošík został skazany na karę śmierci przez powieszenie na haku, wrażonym w jego lewy bok. Ponoć zaoferowano mu łagodną śmierć w zamian za wydanie towarzyszy, ale ten odmówił ze słowami: „skoro już mnie upiekliście, to teraz mnie zjedzcie”.

Legenda Jánošíka wykraczała poza lokalną i rozlała się na Polskę, Czechy, Ukrainę i Węgry. Słowacy uważają go za narodowego bohatera (jego wizerunki pojawiały się na banknotach i monetach), a Polacy do niedawna przypisywali mu polską proveniencję.

Postać Jánošíka rzecz jasna kojarzy nam się z Markiem Perepeczką, który zagrał tytułową rolę w serialu „Janosik” (1974) Jerzego Passendorfera, luźno opartym na losach prawdziwego Jánošíka. Co ciekawe, nie był to wcale pierwszy polski Jánošík ekranowy – tym był Lech Owron w filmie „Orle” nakręconym w 1927 roku. Sześć lat wcześniej Czesi i Słowacy zrobili swojego „Jánošíka”, w którego wcielił się Theodor Pištěk.

Jasne już jest, że dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy wszelkim zbójnikom i zbójowaniu. Niech żyje Jánošík! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 90 z 17.02:

- Poziomo:**
3) Tusk 8) Tomasz 10) ocelot
11) Behemot 13) Wisława
14) psiarze 15) Seszele
16) lampart 17) Splotek
18) Sylvester 21) głos
24) języczek 28) mordka
29) Manx 30) Toruń
31) Bielicka 34) Rademenes
36) Spaślak 38) kotysanki
39) chód 40) ogon 41) maine coon

- Pionowo:**
1) Bonifacy 2) Wartap
4) uśmiech 5) kot perski
6) felinolog 7) łotrostwo
9) Cheshire 11) Bastet
12) Feliks 18) syjam
19) łazanie 20) jaguary
22) Łódź 23) szatierka
25) zając 26) kotka
27) Kobieta-Kot 31) bruk
32) luty 33) kroniki 35) kicie
36) sadło 37) Lloyd

HASŁO:
KOCIA KOŁYSKA

ZBÓJOWANIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7) rozbójnik morski
8) zbójnica krwista (owad)
10) zakochany w Marynie
12) „Tato nie wraca; ranki i ... we łzach go czekam i trwodze”
13) szef zbójcerzy z komiksów o Kajku i Kokoszu
14) zabranie siłą czyjejs własności; rabunek
16) współczesne hordy zbójów
17) mama Cypiska
18) Janosik ... Litmanowski, bohater opowieści Kazimierza Przerwy-Tetmajera

- 19) potyczki, bitwy
20) Zbójnica ..., jaskinia w Gorcach
24) Fryderyk, autor dramatu „Zbójcy”
26) Zbójcecka ..., szczyt w Pieninach
29) po zbójniku, czyli po węgiersku (smacznego!)
30) „Rycerze i ...”, serial z lat 80.
32) szajka, zgraja
34) w sezamie czterdziestu rozbójników
36) Marek Perepeczko lub Václav Jiráček
37) murowana – w pieśni o zbójnikach
39) zbóje, łotry, niegodziwcy
40) sakiewka, trzos
44) książkę ..., wróg Rumcajsa
45) „...”, córka zbójnika”, powieść Astrid Lindgren

- 46) święty, patron złodziei, zbójców
47) górskie kryjówki zbójników
48) Kasia, współreżyserka filmu „Janosik. Prawdziwa historia”

Pionowo:

- 1) „Ręce do góry” Kultu (o zbójach)
2) skandynawscy rozbójnicy morscy sprzed wieków
3) imię Lebiody, pocziwego zbója z powieści „Misja profesora Gąbki”
4) „... Robin Hooda”, film z Errolem Flynnem
5) Ivan, zagrał harnasia Uhorčíka w filmie 48
6) przygrywa do zbójnickiego
7) harnaś w puszcze

- 9) uzbrojona gromada rabusiów
11) Marian, zagrał Murgrabiego w serialu „Janosik”
15) Jaga dla Łamignata z komiksów Janusza Christy
17) szef bandy łupieżców
20) imię Jánošíka
21) nawrócony zbój z legendy
22) ... i czterdziestu rozbójników
23) atak zbójców na kupców
25) balet Karola Szymanowskiego
27) imię Brzezińskiej, autorki powieści fantasy „Zbójceki gościniec”
28) jego ułaskawienie dla Janosika nadeszło zbyt późno

- 31) sir Walter, autor powieści „Rob Roy”
32) Robin Hood lub Mały John
33) imię Delona, francuskiego aktora („Czarny Tulipan”)
34) np. zbójnik ciemny (należy do torbaczy)
35) w rękach karpackich zbójników
37) szwagier Kwiczota
38) przywódca
41) Zbójnica ..., turnia w Tatrach Zachodnich
42) Zbójnicki ..., przewężenie Dunajca w Pieninach
43) madejowe

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295017

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play